

epea



Maksymilian Dawid Drażba
Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych
im. Artura Grottgera w Supraślu

Nabór tekstów

PISZESZ

wiersze, opowiadania, reportaże, eseje, dramaty, felietony lub literaturę dziecięcą?

PRAGNIESZ

podzielić się swoją twórczością z innymi?

PRZEŚLIJ

zgłoszenie na adres e-mail: epea@ksiaznicapodlaska.pl.

Przyjmujemy jedynie teksty dotychczas niepublikowane i niezgłaszane do konkursów literackich.
Redakcja nie zwraca przesłanych tekstów oraz zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania.

**KSIAZNICĄ
PODŁASKA**
WYDAWNICTWO



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

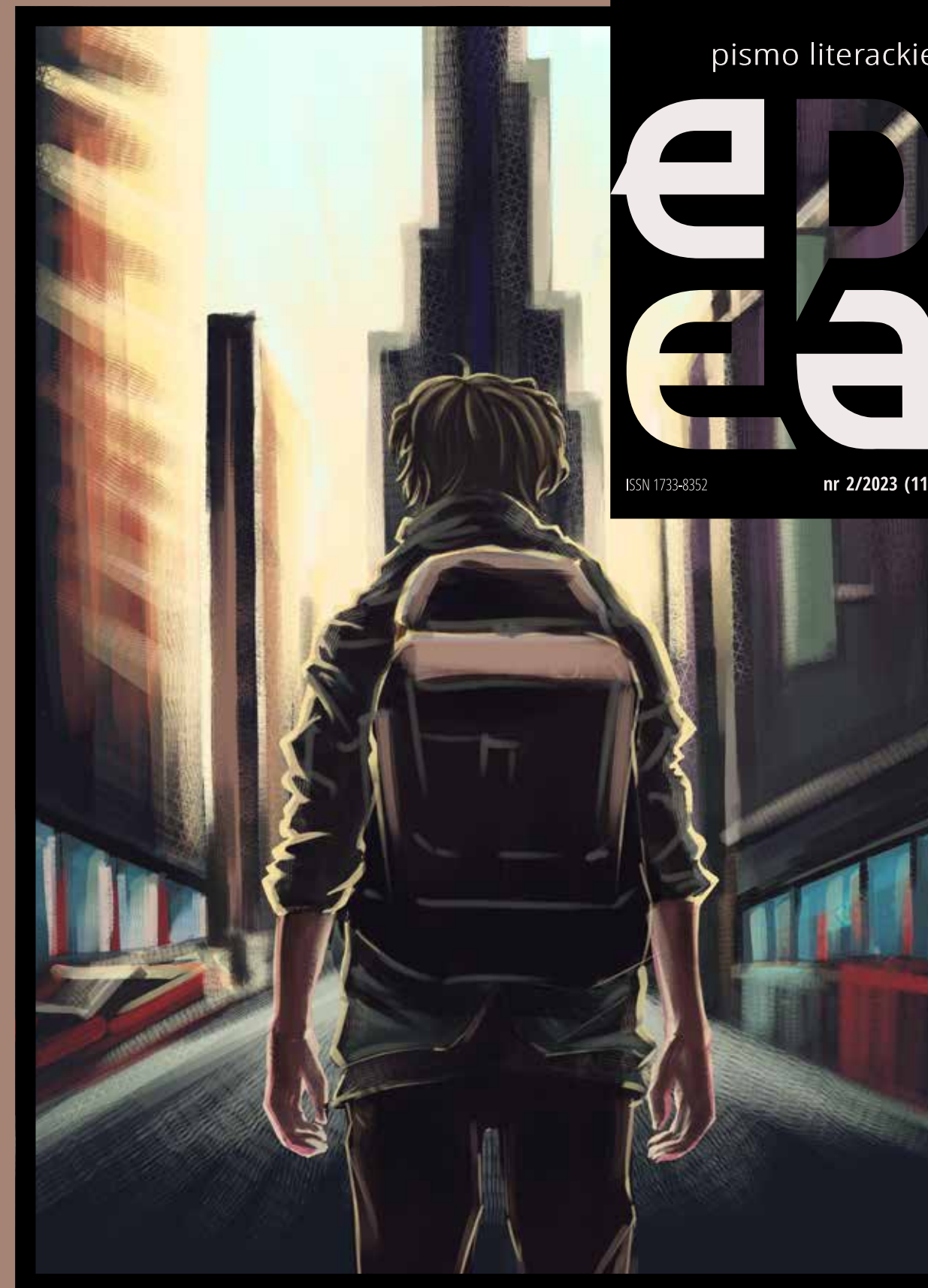
Dofinansowano ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

pismo literackie

epea

ISSN 1733-8352

nr 2/2023 (11)





Epea. Pismo literackie

Książnica Podlaska im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku
ul. Marii Curie-Skłodowskiej 14A, 15-097 Białystok
e-mail: epea@ksiaznicapodlaska.pl



Nieregularnik, nakład 300 egz.
ISSN: 1733-8352

Redaktor naczelny: Piotr Janicki
Redakcja: Paulina Maria Reszotko, Ewelina Biernaś, Artur Jan Szczęsny, Mona Al-Kaber, Daniel Znamierowski

Projekt graficzny: Małgorzata Masłowiecka

Skład i łamanie: Nowe Kreski Mariusz Korolczuk



Mikołaj Gawryluk / PLSP w Supraślu



Lena Darska / PLSP w Supraślu



**W NASTĘPNYM NUMERZE:
DIALOG. WEWNĘTRZNA
SPRAWA DIALOGU**



Wstęp

Tematem dzisiejszego numeru jest Wschód, świt (rana i zaranie, nów i niniejszość, jasność i wołanie, nęcenie, ponętna nuda i bieda wyradzająca świat). Dołożyliśmy starań, by nasze hasło pobrzmiewało w jak największej liczbie wierszy i próz, za które dziękujemy autorkom i autorom, w jak największej liczbie grafik, za które dziękujemy młodzieży i nauczycielkom, nauczycielom Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych im. Artura Grottgera w Supraślu.

Witajcie.



4 | **Ilona Witkowska**, *Wschód*

PROZA

- 7 | **Gosia Żygadło**, *Cztery pory zimy*
 10 | **Jakub Poświętny**, *Cień*
 16 | **Katarzyna Woydyło**, 3 opowiadania
 21 | **Maria Kaszkiel**, *Wtedy* (fragment)
 26 | **Jean Anglemont**, *JE M'ASSOIS MÊME*
MON VISAGE...

ROZMOWA

34 | **Wracz** – z *Anną Wanik* i *Martinem Ryšavým*
kontynuujemy rozmowę

POEZJA

- 38 | **Olga Rembalińska**, 9 wierszy
 41 | **Mateusz Guzy**, *Powiedzieć „tak”*
 42 | **Anna Dwojnych**, 4 wiersze

PROZA

- 44 | **Agnieszka Rynkowska**, 3 opowiadania
 54 | **Bogna Skrzypczak-Walkowiak**, *Wstyd*
 56 | **Rafał Mikołaj Krasucki**, *Jak zabija się*
świnię
 60 | **Piotr Pazdej**, *Preludium*

64 | **Katarzyna Nowak-Szelejewska**,
 Fragmenty

POEZJA

- 72 | **Maciej Julian Krotke**, 3 wiersze
 74 | **Maja Pszczoła**, 5 wierszy
 77 | **Gosia Żygadło**, 6 wierszy
 80 | **Marzena Mariola Podkościelna**, 3 wiersze

ROZMOWA

86 | *Moim przodkom zapewne nie przyszłoby*
do głowy, że kiedyś u nich w ogrodzie biegać
będzie ich mały australijski potomek
 – z **Joanną Miłosz-Piekarską** rozmawia
Kamil K. Pilichiewicz

PROZA

- 94 | **Kamila Pawełoszek**, *Śmierć słońca*
 100 | **Grzegorz Puł**, *From Somalia Szczawiowa*
 104 | **Marek Nowak**, *Coś, czego nie wiesz o sobie*
 112 | **Iwona Kasino**, *Jej najpiękniejsze wspomnienie*
 116 | **R. Turniejov**, *Wszyscy papieżę świata*

POEZJA

- 120 | **Aleksandra Górecka**, 4 wiersze
 123 | **Katarzyna Anna Strębska**, 5 wierszy
 125 | **Victor Ficnerski**, 5 wierszy
 126 | **Joanna Kamińska**, 4 wiersze



10 |
Cień
 – **Jakub Poświętny**



RECENZJA ODZYSKANA

- 128 | **Marcin Hanuszkiewicz**, *Jawa kontra objawienie albo: dwa mistycyzmy*

DLA DZIECI

- 130 | **Jeremi Siudyła**, *O leniwym flamastrze i patencie Benjamina Franklina*
132 | **Dorota i Stefan Szulc**, *Do niebieskiego jeziora*
140 | **Jolanta Fainstein**, *Balony* (fragment)



86 |
**Moim przodkom zapewne
nie przyszłoby do głowy, że kiedyś
u nich w ogrodzie biegać będzie
ich mały australijski potomek**
– z Joanną Miłosz-Piekarską rozmawia Kamil
K. Pilichiewicz

64 |
Fragmenty
– Katarzyna
Nowak-Szelejewska



116 |
**Wszyscy papieże
świata**
– R. Turneyov

Ilona Witkowska

Wschód

Taka byłam zadowolona: superpomysł, napiszę o Wschodzie. A potem straciłam umiejętność pisania na sześć tygodni. Paraliż. Przecież ja nic nie wiem o Wschodzie. Aż kilka dni temu znaleziono w lesie na granicy polsko-białoruskiej czterdziestą czwartą ofiarę kryzysu humanitarnego. Czy na to właśnie czekałam? Nie wiem, być może. Czterdziesta czwarta ofiara, czterdziesty czwarty martwy człowiek w lesie otwiera mi tekst.

Naprawdę nie wiem, co sobie myślałam – jak ten pies w dowcipie. Że wystarczy rzucić kilka anegdot, zacząć od Dolnego Śląska, posuwać się sukcesywnie na wschód, jak radził Frank w Wolimierzu, opisać Franka, przelecieć te wszystkie „od Konina Azja się zaczyna” i czy to prawda, jakoś w połowie poimaginować sobie o szeptuchach, Bilibinie, wspomnieć, co widziałam pod Brokiem, a potem jeszcze – wujka kolegi, który mieszka w klasztorze w Korei i wyrabia kadzidła, takie ziemiste, niesłodkie, bez patyczka. Tymczasem jest przecież tyle najważniejszych rzeczy, których nie można nie powiedzieć, kiedy się już dostało możliwość. Taka możliwość to wyróżnienie. Wystarczy, żeby sparaliżowało człowieka. Na pewno wystarczyło, żeby sparaliżowało mnie.

Tak bardzo nie chcę palnąć jakiejś głupoty. Z drugiej strony – kimże jestem, żeby jej nie palnąć? Ja nawet nigdy nie byłam w Białymstoku. Mam prawo do głupoty. No, to zaczynam:

Pierwsze, co przychodzi mi na myśl, to oczy takiego jednego człowieka, którego dobrze znam. Są skośne i niebieskie. Turkusowe wręcz, lodowate. Wilcze. Takimi właśnie oczami patrzy dla mnie Wschód. Kocham w nich czytać, choć nie wszystko rozumiem – one z kolei zaglądają mi do samego serca w sekundę; kiedy są rozbawione, są rozbawione najbardziej na świecie, ale kiedy przepelnia je złość, zwyczajnie się boją. *Brwi sobole, oczy sokole, długie, jasne włosy w gęstą spleta kosę* – brzmiał opis piękności w *Piórku finista jasnego, cud-sokoła*, mojej lekturze dzieciństwa. Finist jasny, pod postacią cud-sokoła przylatywał do Wasylisy, która miała te oczy skośne i jasne, jak sobie wyobrażam, ale złe siostry przerwały ich romans i musiała Wasylisa trzy kostury żelazne zetrzeć i trzy chleby kamienne

zgrzyć, zanim odnalazła ukochanego. Czy nie każdy marzy o takiej miłości? Ja marzyłam. Gdzie taka miłość, rozpozczęta od zaklęcia, wychodzona, oplakana łzą gorącą? No tylko na Wschodzie. Za potwierdzenie niech służy piosenka *Russian Romance* Michelle Gurevich, posłuchajcie sobie.

Druga jest katedra ormiańska we Lwowie. Byłam tam dawno temu. Bywałam. Pojechałam do Lwowa z kolegą, który zdawał egzaminy na Akademię Medyczną (pozdrawiam!). Do katedry chodziłam codziennie. Po pierwsze: to najlepsze malarstwo sakralne, jakie widziałam w życiu – a zdarzyło mi się w Rzymie zostać z kawką wprowadzoną za łokieć przez koleżkę do kościółka na placyku, by w pierwszej nawet zobaczyć Caravaggia – nogi się pode mną ugięły, oczywiście, no ale to było jednak spodziewanie dostojne, święte. I wiele lat po Lwowie, po tych wizytach w katedrze. No więc – malarstwo. Orszak świętego Odylona, żywi jak żywi, przemieszani z duchami, wszyscy o twarzach na wskroś współczesnych: koledzy, normalni ludzie, można stanąć z nimi w szeregu, w pochodzie. *O święty Odylonie, martwych dusz patronie, idziemy wszyscy tłumnie, my, zmarli, przy twej trumnie* – głosi napis, który oczywiście zapamiętałam, bo cóż bardziej nas czaruje niż śmierć. Ale to tylko początek. Jednego z tych dni było nabożeństwo i chciałam wyjść, żeby nie przeszkadzać, ale pozwolili mi zostać, nawet zachęcili mnie, zostałam. Po początkowych formułach, wygłoszonych przez kapłana, ludzie zaczęli śpiewać. Najpierw było słychać głosy kobiece i męskie, starsze i młodsze, osoby śpiewające lepiej i gorzej, ale po chwili zgromadzenie zaczęło brzmieć jednym dźwiękiem. Jeden wspólny głos, silna wspólna wibracja wypełniła katedrę i zrozumiałam. Zrozumiałam, dlaczego ludzie spotykali się raz w tygodniu na mszy – żeby się zgrać, żeby przez wszystkich przeszło jedno drganie; że kopuły są po to, by dźwięk lepiej rezonował, by te fale spełniały jak najpełniej swoje zadanie. Ilekroć przypominam sobie to zdarzenie, przepelnia mnie wiara; zamykam oczy i czuję tę emocję, tę możliwość: prawdziwej, organicznej wspólnoty. W tym rzymskim kościele z Caravagiem – tylko kadzidło, złoto, pochrząkiwania starców w odzieżach od projektantów. Piękno przedmiotu, piękno oddzielne.



Amelia Popescu / PLSP w Supraślu

Następnie jest taki obrazek: jedziemy do Popław, rodzinnej wsi tego człowieka, co go dobrze znam, przejeżdżamy przez Brok. I tam, w tym Broku, oprócz tego, że stoi przepiękna piętrowa szkoła drewniana, koleś obklejał pustakiem drewniany dom. Wtedy zrozumiałam. Zrozumiałam wstyd i lęk tych z drewnianych chat o powierzchni kilkudziesięciu metrów kwadratowych w obliczu wielkich miast Zachodu, w obliczu niemieckich kamienic z mieszkaniami o powierzchni setek metrów, ze ścianami okien od sufitu do podłogi, cztery metry wysokości. Bo ja jestem z tej niemieckiej Polski: murowane domy, uregulowane rzeki, pałace, ogrody, muzea, mosty, place. I zobaczyłam tę Polskę, która zajmuje większość Polski: krowy, kury, zagrodki, grządki, płotki, kościoły, synagogi, cerkwie, wszystko z drewna. *Nasze błota*. Dla mnie to egzotyczne i tajemnicze, kraj na wakacje. Myślę, że chciałabym być stamtąd, gdybym stamtąd była. No ale co ja mogę wiedzieć. Jeszcze dwadzieścia lat temu wszyscy rodacy jak jeden mąż udawali Amerykanów, żeby pięć lat później pozostawać nagle Europejczykami. Może też wstydziałabym się, że jestem z domu, co to krzew aronii obok jest od niego większy, i że nie ma łazienki. Nie sądzę, ale skąd mam wiedzieć. Moje korzenie najdalej na Wschód to sięgają Pragi warszawskiej. No, jedna babcia przyjechała z Gruzji w 1918 roku; Gruzja to jeszcze inny Wschód, Gruzja to Kaukaz. O tym,

oczywiście, też nic nie wiem, tylko przypomina mi się taki pan z jakiegoś filmu dokumentalnego, który – pytany, czy widzi możliwość pokoju w Czeczenii bez udziału Rosji – odpowiedział: panie, tu jest Kaukaz. Co miało oznaczać, że ludzie po prostu kochają się zabijać na tej ziemi i nic tego nie zmieni. Czasem się zastanawiam, jak dużo tej kaukaskiej konstrukcji mam w sobie, ile we mnie tego ducha, co każe rzucać się do gardła przeciwnikom w najbliźszych sprzeczkach, cierpieć, nienawidzić i kochać to cierpienie i tę nienawiść. Oczywiście nie mam pojęcia. Rzecz jasna, nigdy nie byłam w Gruzji.

Tak dużo mówię tu o sobie, bo przecież ja też jestem Wschodem. Zachodem wschodu. Wschodem

zachodu. Wszystko zależy od tego, gdzie się znajduję. Jak każdy w tym kraju, jestem miksem, bukietem ziół, kolażem. To my: najlepsi z najgorszych i najgorsi z najlepszych – cóż za uwalniający bajzel oczekiwań i postaw.

Jest u nas taka huśtawka, na której huśtasz się w przeпад – i to jest bardzo przyjemne. Można zginąć. Nawet żeby dojść do tej huśtawki, trzeba tak podejść, że można zginąć. I to jest też moja fantazja o Wschodzie – że tak jest na Wschodzie zawsze. Obowiązkowa dawka cierpienia i banalnego okrucieństwa świata na każdym rogu, tuż obok wielkie piękno, święte drzewa, „Cichy Don”. Obowiązkowa dawka obłędu – jak powiedział kiedyś tak po prostu o życiu Robert „Ryba” Rybicki.

Można wyjść śmieci wyrzucić i zniknąć bez śladu. Z dowolnego powodu powiedzieć: pierdołę to, idę do lasu. Jak Wissarion, który porzuciwszy pracę moskiewskiego policjanta drogówki, ogłosił się Jezusem i założył Nowe Jeruzalem w tajdze. Zawsze znajdzie się grupa pragnąca ująć przed zepsuciem świata, zabrać ich ze sobą: stworzyć religię. Albo odwrotnie, jak dziesiątki eremitów: jeść pędy paproci, pokrzywy i wszystkie grzyby; nie czuć cienia lęku przed wyobrażoną leśną zjawą. Samemu nią być. Mieszkać w ziemiance, nie mówić do nikogo tygodniami. Mieć oczy zwierzęcia. Ale nie takiego, na które się poluje, tylko takiego, które poluje. W tych oczach: że zabiloby nie chętnie, ale też

nie niechętnie. Po prostu. Płakać przy piosence *Pójdę mamę w dalszą drogę*, jednocześnie łamiąc kręgosłupy wrogów. Nawet nie wrogów. Każdego, jeśli najdzie ochota. Albo szaleństwo. Dawać się nachodzić: ochocie, szaleństwu. Mówić: przyszedł na mnie wielki sen. Nie podejmować decyzji o takich stanach, przyznawać im autonomię, a nawet władzę nad sobą. W końcu: co ja wiem, co ja mogę? Do niektórych psów się po prostu nie podchodzi, bo gryzą i to jest ich święte prawo, tak sobie myślę o Wschodzie. Każdy ma duszę i honor i choć wybór jest zawsze między życiem a śmiercią, a skóra goła, to do tego chcę być podłączona, za tym tęsknię, tego marne resztki pielęgnuję w sobie. Nie chodzi o to, żeby co rano boso iść drwa rąbać w śniegu, ale żeby w oczach widać było, że jest taka możliwość, a w kieszeni zawsze jest nóż. Nie przyjmujemy nic mniej niż wszystko. Ma być rozdzierająco. Jeśli nie krwawie, nie ma zabawy. Romantyczne i banalne? Nic nie poradzę, że pociągają mnie wyłącznie mężczyźni na czas wojny, tacy, co to codziennie przemagają w sobie mordercę. To pewnie skutek niewłaściwych lektur. Tak samo jak to, że takie charakteru sytuuję na Wschodzie.

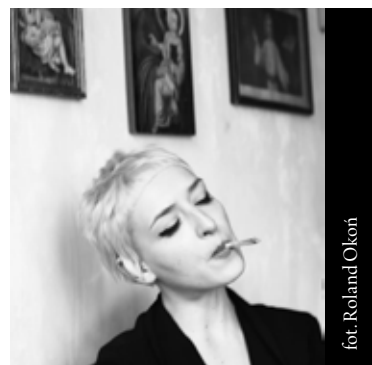
Tam też sytuuję stare, dobre pojęcie kary za grzechy. Zaraz obok słów jak ojcowizna albo to, że życzeniem przedśmiertnym babci było, żeby wnuk ściał włosy. I ściał, bo takim życzeniom się nie odmawia. W każdym razie – na Wschodzie. Za niedopełnienie rytuału na Wschodzie wszechświat rozdaje kary. Różni życzliwi mi ludzie próbują przekonać mnie, że wina to czczy koncept, ale nikt nie zmieni mojego zdania, że za naruszenie równowagi

w świecie duchów trzeba zapłacić. Kara. Jak masz grzech, to masz grzech i żadne zaprzeczenie cię od niego nie uwolni. A kiedy przychodzi do ciebie ktoś zmarły, to rozmawiasz z nim uprzejmie, im dalej na Wschód, tym swobodniej, taką mam intuicję. Aż siedzisz przy stole ze zjawami, potworami, pomniejszych bóstwami i duszami bliskich, jak *Wujek Boonmee, który potrafi przywołać swoje poprzednie wcielenia*, dla każdego masz czas. To dopiero Wschód – im bardziej odległy, tym więcej wyobrażam sobie refleksji, a mniej zębów. Coraz dłuższe pauzy między zdaniem, dłuższe spojrzenia. Oczywiście to tylko moje rojenia. Okrucieństwo wielkich fabryk, organizmu zbiorowego i uwięzienia w pracy nad siły jest tak samo okrutne jak gwałt butelką przez żołnierza dla zabawy.

Nigdy nie zapomnę ostatniego seansu w kinie NOT-u – to był *Ładunek 200*. Po obejrzeniu tego filmu milczeliśmy z kolegą godzinę, nie patrząc na siebie, bo tego nawet nie da się zagadać. Nagi nerw. I chociaż po obejrzeniu powtórnym, zadomowieniu się w tym horrorze, zaczęłam myśleć o nim w kategoriach dzieła głęboko estetycznego i ponieważ kampowego – już doskonale umiem zagadać ten film – to wymagało to ode mnie zaprzęgnięcia do pracy wszystkich moich najzachodniejszych wdruków racjonalnej badaczki kultury. Pierwszy kontakt był jak cios w szczękę. Do dzisiaj boję się obejrzeć *Idź i patrz*. Nie chcę tych obrazów. Najbardziej nie chcę obrazów stopy okopowej, zapadniętych, sinych warg dzieci i nieprzytomnych oczu dorosłych na granicy śmierci, na granicy Polski, w tej wspólnie puszczy, w której można zniknąć, a w której się ginie.

ILONA WITKOWSKA

– poetka; autorka książek *Splendida realta* (WBPiCAK, 2012), *Lucyfer zwycięża* (Ha!art, 2017) i *gdzie są moje dzieci?* (Papier w dole/Katalog press, 2021); współautorka scenariusza do etiudy *Jeśli będziesz długo siedzieć w ciszy, przyjdą do ciebie inne zwierzęta* w reżyserii Jagody Szelc (*Erotica 2022*, Netflix, 2020) i jedna z autorek projektu *Nieswojość* (Warstwy, 2019); mieszka w Sokolowsku.



Gosia Żygadło

Cztery pory zimy

1. Przebiśniegi

Wybieraj. Albo ty masz w sobie taki dźwięk, urok i styl ballady, sposób, w jaki mówisz, kierunki, w jakich robisz dygresje, słowa, których używasz, że sprawiają, że gdybym to miała wyrazić obrazem, to gorącego lata, jego późnego popołudnia, może dogorywającego dnia, gdy zagęszczające się powietrze przesycone jest zapachami, które się przyklejają do skóry: z zapachem słońca, kurzu we włosach; gdy zmęczone muchy, budzące się komary, świerszcze (kocham świerszcze), osy potopione w oranżadzie, zapowiadająca się burza, która wysłała nagły zryw wiatru, ale jest zbyt zmęczona gorącym tego dnia i rezygnuje z grzmienia, albo ja i przebiśniegi: laskocząca w nosie gotowość do przeżycia dnia sprawdzana w lustrze (czy po śniegu został ślad (za oknem jeszcze się gdzieś trzyma)); wiosna czeka, lecz nie wyjdę dziś z domu ani na człowieka.

2. Zimno upalnych lat

Snuję się po pustyni półmilionowego miasta, w którym szybciej się stoi, niż jedzie, szybciej się mówi, niż rozumie, i szybciej się umiera za życia, niż dożywa śmierci. Ja się pewnie na swoją spóźnię. Wszyscy będą mieli mi za złe, że niepotrzebnie się tak wcześniej rozplakali, ale to na szczęście będzie ostatni raz, kiedy obarczą mnie winą za swoje niewygodne emocje.

Kiedyś chciałam być nitką babiego lata unoszącą się wolno na coraz bardziej sennych promieniach zachodzącego słońca. Odczuwam zawsze dziwny żal, kiedy na te nitki patrzę, bo wyglądają, jakby ostatkiem sił chciały uszyć kawałek dnia. Póki są widoczne, walczą z niewidzialnością, której ulegną, gdy noc wciągnie słońce rozsypane w kresce horyzontu przez panoszący się i tak już zbyt długo dzień.

Zachody słońca latem są smutniejsze niż zimą. Z każdego letniego dnia odgryzamy kawałek na podwieczorek, popijamy kompotem i na koniec sierpnia jesteśmy zawsze tak samo zdziwieni, jak dużo lata już jest odgryzione, ale jak zwykle będziemy obwiniać ślimaki i lenistwo

strachów na wróble. Żalować, że nie zdążyliśmy wskoczyć z pomostu do jeziora i spróbować wszystkich smaków lodów, a mieliśmy to w planach snuty przez całą zimę. Z planów wyjdą nici, a nam zostanie cały kłębek tęsknoty za kimś, kogo mijaliśmy każdego dnia, ale zniknął akurat wtedy, kiedy pojawiła się w nas odwaga, żeby się przywitać. Jak to się mogło stać? Jak co roku będziemy zaskoczeni zapachem jesieni w dymie palonych na polach liści.

Zaskoczenie mimo wszystko jest łatwiejsze niż czekanie na koniec. Nigdy mi nie mów, że zamierzasz się skończyć. Nigdy mnie przed tym nie ostrzegaj, bo nigdy nie będę gotowa. Gotuj mi tylko krew, wymawiając moje imię. Będę wrzeć, na pewno też wrzeszczeć, kiedy znikniesz bez słowa, ale nie zostawiaj mi oczekiwaniami na tę śmierć. Zabij mnie na raz – znenawidzę cię, ale nie przestanę kochać.

Będzie padać. Mówi mi o tym lewe biodro i kolana. Łokieć też się odezwał ze dwa razy promieniującym aż do nadgarstka bólem. Jestem naelektryzowana jak burzowa chmura. Uziemiam wszystkie iskry z palców, gdy nie ma cię pod nimi, gdy jesteś za daleko, żeby wpłynąć do moich żył.

Samotność latem boli najbardziej. Jest jak jedno ziarenko piasku w bucie. Najbardziej boli wtedy, gdy bosymi stopami pamięta się miękkość miliona takich ziarenek, które przez to, że są razem, stają się miękkim piaskiem.

Samotność jest też ostrą drzazgą w palcu przeciwstawną stosowi drewna uzbieranego do zimowego kominka, przy którym wieczory płyną szybciej. Na rozmowie. Z kimś.

Samotność to okrutna cisza za dnia, kiedy czeka się na odpowiedź ścian, i hałas natrętnych myśli w nocy, kiedy czeka się na sen, który przychodzi dopiero nad ranem, a spod parapetu już wystawia nos budzący się dzień.

Zawsze wiem, kiedy jest czwarta. Ptaki rozdzielają powietrze falą dźwięku, a ta z impetem zalewa uszy. O czwartej dzień dźwięczy najgłośniejsze. Jest jeszcze za wcześnie, by wstać, i już za późno na sen – to chwila umierania i ożywiania jednocześnie.

Telefon mruga wiadomością od ciebie:

– Cześć! Śniłaś mi się.

– Po co?

- Żebyś mi dodała smaku do kawy.
- Zawsze rozlewasz.
- Tylko trochę! Ale oblizuję łyżkę!
- Lepiej byś mnie... Aaa, dobra, nieważne.

– Najważniejsze właśnie! Gadaj! Mów! Albo nie. Nic nie mów. Wezmę łyk i sam się dowiem. Mmm... Pachniesz cudownie! Już mi pulsujesz w kostce. Zaraz mi się rozlejesz na serce. Obym tylko nie zaczął nagle biec. Pomyśl, że mi odbiło! Że żelazko niewyłłączone! Na Boga! Czy ja wyłączyłem żelazko?! Mogłem nie wyłączyć, chociaż nie prasowałem!

- Nie pomyśl, wiedzą to od dawna.
- Że nie prasuję? Prawda! Ale tym razem ich zaskoczę i wrócę niewymięty, z bulkami i wyprasowanym jarmużem!

Na pewno nie wrócę z pustymi rękoma! Już lepiej wrócić bez rąk! A jeśli cię spotkam, to wrócę z tobą na rękach! Przeniosę cię przez próg, przez cały dzień, przez rzekę, przez przypadek mi wpadniesz i że tak właśnie było, wszystkim powiem!

- Ha, ha, ha – zanoszę się śmiechem.
- Nie śmiej się, bo mi wypadniesz i cię nie zanoszę tam, gdzie chcę.

– Nie wypadnę. Nie wypadnę też, bo tamtędy ani dzisiaj, ani też nigdy nie przechodzę.

- Szkoda... Mmm, smakujesz tak dobrze, że żal uronić nawet kroplę.

– Cieszę się, że cię smacznie obudziłam. Później będę o tym myśleć i znowu długo nie zasnę.

- Zaśniesz. Teraz muszę już lecieć! Milego dnia! Twój smak w mojej kawie zaraz wypiję do dna.

Czekam na pociąg. Jest opóźniony. Przez drugi peron przejechał towarowy. Rzucam na tory moje myśli o nim. Kocha... Lubi... Szanuje... Nie chce... Nie dba... Żartuje...

Wróżę z wagonów. Z fusów nie umiem. Zwłaszcza tej kawy, którą on pije. Dba o swoje bezpieczeństwo na rowerze, więc zakłada kask i myśli, że może jechać spokojnie. Nie zakłada jednak, że wypadki chodzą po ludziach i może wpaść pod pociąg do mnie.

Kocha... Lubi... Szanuje... Nie chce... Nie dba... Żartuje...

Pod pociąg.

Do mnie.

Wsiadam. Kupuję bilet tam z bezpowrotem.

3. Powrót

Czasem mam wrażenie, że jest moim powrotem do przeszłości. Widzę w nim siebie sprzed kilku śmierci i wybeszeń flaków. Jeszcze na powierzchni, niezakopaną pod rozczarowaniem i marzącą o tym, by być czymś szaleństwem i uwielbieniem. Pełną nadziei w najbardziej beznadziejnym i niewłaściwym momencie, ale niemożliwą w żadnym innym.

Z wypełnionym wiarą sercem, że „jakoś to będzie”. Skłonną iść na kolanach, do kogoś, kogo kocham. Z zaplanowanym w każdym szczególe morderstwem wszystkich tych, którzy stanęliby mi na drodze, do piątego pokolenia w przód i w tył włącznie. Modlącą się na tych kolanach o ich śmierć. Noszącą go na łańcuszku z komunii świętej. Ukrywającą go na spowiedzi, bo nie wiadomo, czy większym grzechem go wyznać, czy popełnić?

Przypomina mi zapach rumianku i jabłek. Jest dźwiękiem komara i swędzeniem po nim. Morzem lez i tęsknot. Niewinnych pieszczot z błaganiem o jeszcze. Smakiem dawnych uniesień, które już leżą zakopane, dużo głębiej niż *six feet under* z napisem na nagrobku: *Over. The End.*

Miały jeszcze szansę na powrót do życia, z moim ostatnim zakochaniem się. Ale on ożenił się z inną. Wybrał wygodniej. Po co mieć gorzej, jak można mieć lepiej? Po co mieć trudniej, jak można mieć łatwiej? Pojawił się niczym zryw ostatniej szansy. Teraz albo nigdy. Jak powstanie listopadowe i zabory pruskie. Nagłe totalne zaćmienie i ślepotą wraz z przejrzaniem na oczy.

To było ostatnie wołanie o oddech. Ostatnia krew w żyłach i dreszcz. Ostatnie słońce przed wpadnięciem w nic, bez powrotu do czegoś, co mogło mieć jakiś sens. Myślałam, że wspólne łóżko, stół i rzodkiewki w ogrodzie są wciąż możliwe i na wyciągnięcie ręki – jeszcze ostre i smakujące, jak prawdziwe.

Teraz już mi się nawet nie chce tego wszystkiego wykopywać. Znow beczceścić ten grób po sobie. Choćby koparką nawet. A kiedyś bym pazurami przeryła całą glebę, zdarła dłonie aż do łokci, aż do pach, jak Wenus z Milo, żeby jej było miło, że nie jest jedyną taką kaleką. Że ktoś inny też tak ma. Wykopywałabym tego potwora kochania aż z samego dna Ziemi. Do samego jądra bym doszła, tylko po to, żeby mnie pożarł.

A on by mi zaśpiewał z gromkim śmiechem:

Och, ty szaleńcza, z nadmiaru miłości, radosnym zaufaniem pijana! Lecz taką byłaś mi zawsze: zbliżałaś się zawsze ufnie ku wszelkim okropnościom.

Każdego potwora nawet rada byś głaskać. Jedno tchnienie ciepłego oddechu, nieco miękkich kudłów na łapie – a wnet gotowa bywałaś ukochać to i ku sobie wabić.

Miłość jest niebezpieczeństwem samotnika, miłość ku wszystkiemu, co tylko żyje!¹

To już nie jestem ja. Nadeszła nowa era. Smutna minimalizacja westchnień. Romantyczna dystopia. Miłosny katastrofizm. Emocjonalna lobotomia i kastracja szczęśliwego zakończenia. Duchowe skondensowanie, żeby się zmieścić na jednym metrze z całym pokoleniem samotników na życzenie.

Teraz zdrowie i spokój są najważniejsze. Równomierne bicie serca. Regularny puls i ciśnienie w normie. Stan, w którym wystarczy mieć wyjebane – bo po co mieć więcej? Po co znowu umierać nadaremnie?

Spłynął już czas, kiedy przypadki napotykać mnie mogły; cóż by dziś jeszcze przytrafić mi się mogło, co by nie było już moim!²

4. Zieleń naci

Myślisz, że pojedyncza scena obecnej chwili daje ci obraz wszechświata? Co możesz powiedzieć o ślaniu się

¹ Friedrich Nietzsche, *Tako rzecze Zaratustra*, tłum. Wacław Berent, <https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/tako-rzecz-zaratustra/> (dostęp: 29.11.2023).

² Tamże.

na nogach z nieszczęścia? Ile razy ktoś cię nie zauważał, mimo że byłeś widoczny w odległości mniejszej, niż sięgała twoja intymność? Ile razy ktoś kochał cię chyba trochę jednak nie do końca? Ile razy z ciebie zrezygnował, wykręcając się swoją słabizną? Ile razy wypruleś sobie całe bebechy nadaremnie? Ile razy byłeś za późno, a ile razy za wcześniej? Niedopasowany, za mało wygodny, pozostawiony zdziwieniu i samemu sobie? W niedotyczącej cię rzeczywistości? W nie-interesuj-się transparentności zdarzeń? Ile razy się nie doczekałeś? Niech zgadnę: nigdy. Ciesz się. Nie musisz się smucić, a ja nie będę udawać, że obchodzi mnie zieleń naci.

Możesz mnie podziwiać! Podziwicz z certyfikatem – rasy pizdowatej, nierokującej, unikającej i słabej. Zmęczony, lecz ostatkiem sił konający z zachwytu. Z plakietką top fana.

Jestem siłą, determinacją, mam talenty i pomysły, przebojowość i charyzmę, których ty nie posiadasz. Żywi szepczą mi do ucha strach. Nie słucham, nie chwytam w garść wróbla, idę na dach po gołębia.

– Zrób więc ze mnie niemarnego, który porusza ważne z twojej perspektywy rzeczy.

– Nie ruszaj ich! Są życzeniami, które już nie mogą się spełnić.

Prosto, w punkt, faktycznie, mocno, rzeczywiście, oczywiście: kiedy czytasz, krzywa iluzja okazuje się prostą prawdą.

GOSIA ŻYGADŁO

– (ur. listopad 1980) zamieszkała w Środzie Śląskiej (pon.–pt.) i we Wrocławiu (sob.–nie.). Inżynier maszyn – wedle dyplomu. Budowlaniec samozwaniec – wedle hobby. Psychopatopoetka codzienna – wedle potrzeby. Uprawia romanizm katastroficzny z wiecznie źle ulokowanym optymizmem. Podróżnik, powsinoga. Interesuje się ludźmi i komunikacją społeczną. Lubi muzykę – od klasycznej po techno – i budowanie z lego.



fol. prywatne archiwum autorki

Jakub Poświętny

Cień

Miała na sobie kremowy golf – wyznacznik sukcesu i spełnienia zawodowego. Nie mogła znaleźć droższego. Materiał najlepszego gatunku. Spodnie z tej samej półki, elegancie. Wyglądała naturalnie. Nigdy nie musiała korzystać z usług kolegi/chirurga plastycznego. Lekki makijaż, ale



Julia Borowska / PLSP w Supraślu

cena kosmetyków swoje waży. Włosy naturalnie kręcone, lekko rudawe. Wielu mogłoby jej zazdrościć i może nawet zazdrości.

I wnętrza.

Kolory są tanie. Więc ściany na białą farbą za tysiące zielonych. Biel i szkło. Wszystko jest subtelne i prawie niewidoczne. Jeśli już stolik, to za kilkanaście tysięcy. Kanapy nie ma, bo nie ma kto tu przesiadywać. Wygodny fotel i nowiutki telewizor. W łazience najdroższe kafelki. W sypialni łóżko tak nowoczesne, że prawie samo się ścieli. Mogłoby mieć jeszcze funkcję rżnięcia na zawołanie.

W pracy jest raczej lubiana. Kto specjalnie szaleje za szefem? Najważniejsze, że nikt się specjalnie przy niej nie napina.

Gdy zaczynała w tej firmie, wszystko musiało być zrobione na wczoraj, więc paznokcie miała zjedzone prawie do krwi. Teraz są piękne i błyszczą bezbarwnym lakierem. U nikogo z jej podwładnych nie zauważyła brzydkich paznokci. Uznała, że to również świadczy o jej sukcesie.

Niedawno wymyśliła, że z okazji urodzin w pracowniwej stolówce zawsze będzie czekał na solenizanta tort. Nikt nie wiedział, jak okazać jej wdzięczność, więc na początku było niezręcznie. Z czasem wszyscy się wyluzowali i grupa zaczęła się integrować nawet po pracy.

Ona nigdy nie brała w tym udziału, chociaż często ją zapraszano.

Wszyscy chcieli się zrewanżować w kwestii tortów, lecz nikt nie znalazł daty jej urodzin. Gdy w końcu ktoś ją poznał, zrobili zrzutkę. Przyjęła wszystko z uśmiechem. Poprosiła jednak grzecznie i stanowczo, żeby więcej nie robili sobie kłopotu.

Przeplakała wtedy cały wieczór.

– Gośka, jesteś pewna, że chcesz tam jechać? Sama?

– Nie wiem. Nie jestem pewna. Nie wyobrażasz sobie tamtejszego braku akceptacji. Chyba nie chciałabyś zostać zjedzona?

– Nie żartuj. Nadal nie rozumiem... Po co?
 – Najpierw myślałam, że chcę zapobiec wyrzutom sumienia, bo żałuję, że nie byłam na pogrzebie ojca, ale... Nie tylko o to chodzi. Chcę komuś pomóc. Zajmie mi to kilka dni. I muszę sama.

Dom stał na końcu ulicy. Wielki klocek z szarej cegły nadal nie był otynkowany. Pamiętała, że ojciec często w tyłko sobie zrozumiał sposób szczyił się, że wybudował wiele domów, a swojego nigdy nie skończył. Rechotał wtedy pijany wśród innych pijanych.

Zmarł kilka lat temu. Nie była na pogrzebie. Bała się, że nad trumną poczuje tylko wstyd. Wstyd za niego, że tyle razy musiała go siłą ciągnąć do domu, gdy nago biegał po wiosce.

Stali wtedy w oknach za firankami, a niektórzy wychodzili przed swoje ploty. I patrzyli, jak z trudem prowadzi go do domu na końcu ulicy.

W nagłym szale pozbywał się ubrań. Głos w jego głowie w pewnym momencie upojenia mówił mu, że ich nie potrzebuje. M. miał to po nim, ale przynajmniej sam wracał do domu. Znajdywały go rano z matką w korytarzu. Leżał na szmacianym chodniku czasami obszcpany, a nierzadko obespany.

Właśnie na pogrzeb M. postanowiła przyjechać. Matka zadzwoniła i powiedziała, że nie żyje. Powiesił się. „Dlaczego to zrobił?” – od razu pomyślała i nawet by zrozumiała, gdyby się po prostu zapił, bo nie byłby pierwszym i nie ostatnim. Jednak on sam zdecydował.

Pojechała, bo chciała zapytać, ale tak naprawdę nie wiedziała, czy ktoś jej odpowie.

Stała przed drzwiami i chwilę się wahała, czy dzwonić, pukać czy może po prostu wejść. Weszła. Od razu chciała się rzucić do okien i wszystkie po kolei otwierać.

– Straszny tu zaduch – krzyknęła.

Usłyszała szuranie krzesła i szybkie kroki.

– Kto mi tu włazi bez pytania – dobiegł ją niezmienny głos matki.

Zobaczyły się.

– To ty. Co tu robisz?

– Jak to co? Dzwoniłaś. Przyjechałam na pogrzeb. Twarz matki była jak maska, nie zdradzała żadnych uczuć. Stała i patrzyła.

– No tak. Przyjechałaś na gotowe. Niby zawsze lubiłaś wygodę, ale kiedyś przynajmniej na coś się przydawałaś. Teraz jesteś miastowa. – Ostatnie słowo niemal wypluła.

Nie zdążyła jakoś tego spuentować. Matka wyrwała z jej rąk torbę z czarną sukienką i kosmetykami w środku. Ruszyła w stronę jej dawnego pokoju.

Gdy szła przez dom, miała wrażenie, że przez te wszystkie lata nic z niego nie ubyło. Wszystko zdawało się stać w tych samych miejscach obudowane teraz kolejnymi rzeczami. Matka niczego nie wyrzucała.

W salonie stał ten sam stary telewizor, który ojciec kiedyś przywiózł bez zapowiedzi. Zdziwiła się, że miał taki mały ekran. Obok stały dwa większe i trzeci, udający nowoczesny. Kwiaty rosły w tych samych doniczkach, jednak było ich teraz zdecydowanie więcej. Stały nawet wzdłuż ścian korytarza i tworzyły roślinny tunel. Okien od dawna nikt nie mył i zastanawiała się, jak te wszystkie rośliny rosną w tak marnym świetle.

Minęły pokój A. Nie dobiegał z niego żaden dźwięk. Wiedziała, że musi później tam zajrzeć.

W jej pokoju nie zmieniło się nic poza dziesiątkami pudeł, które zajmowały prawie całe wolne miejsce na podłodze.

– Musisz je gdzieś wynieść, jeśli chcesz tu spać. Nie wiem gdzie.

– Nie ma tutaj żadnego hotelu, prawda?

– Nie wkurwiał mnie.

Matka wyszła.

Przesunęła kartony i ustawiła jeden na drugim, żeby zrobić trochę miejsca, ale nie miała zamiaru tu spać. Wolałyby przesiedzieć noc w samochodzie. Przemęczy się na kolacji, jeśli jakaś będzie, a później pójdzie do samochodu. Rano skorzysta z łazienki, przebierze się, a po pogrzebie od razu wróci do miasta. Chciała zrezygnować z planu.

– Proszę pani! A Gosia ma dzisiaj urodziny i nie przyniosła żadnych cukierków.

Nauczycielka podnosi wzrok i tak naprawdę ma ochotę powiedzieć temu małemu, że i tak jest dość pulchny i akurat

jemu cukierki nie są potrzebne, lecz uśmiecha się i wyjmuje z biurka reklamówkę ze słodyczami. Starala się nie zapomnieć, a wyszło niezręcznie. Tak jak rok temu.

– Przecież nic się nie stało. Dzisiejsza solenizantka zwyczajnie zapomniała i to może się zdarzyć każdemu.

Wie, że dzieci nie oszuka. Próbuje na swój sposób załagodzić całą sytuację.

– Poproszę cię tutaj, Gosiu. Rozdaj cukierki i weź sobie kilka. Wszystkiego najlepszego.

Dziewczynka czerwieni się, ale chodzi po klasie i przyjmuje od wszystkich życzenia.

Po lekcjach niechętnie wraca do domu, bo wie, co ją czeka.

– W końcu jesteście. Wolniej się nie dało?

Przed pójściem do szkoły zaczęła sprzątać dom. Wycierała kurze, myła wanny i podłogi. Teraz musiały dokończyć, a później miała nanosić drewno na opał.

Dorośla Gosia po wewnętrznej stronie lewej ręki nadal ma widoczną bliznę. To pamiątka po wystającym gwoździu z drewna z odzysku.

Jej starsi bracia w swoje urodziny, poczynając od dziesiątych, wcale nie wychodzili do szkoły. Matka planowała im cały dzień z jedną krótką przerwą na posiłek. Więc dziewczynkę już za rok czeka to samo.

– Nie ma lepszego sposobu na świętowanie swojego przyjscia na świat niż dosadne okazanie swojej przydatności – twierdziła.

Oczywiście nie dostała żadnego prezentu, bo niby czemu miała dostać? Nie było też tortu. Na co dzień nie bywało lepiej, bo pracy na wsi zawsze czekało dużo i nigdy tak naprawdę nie dało się jej skończyć. Część musiała być robiona codziennie, a do tego dochodziły prace sezonowe. Myślała wtedy czasami, że byłoby łatwiej, gdyby raz na jakiś czas usłyszała choćby dobre słowo albo poczuła, że ktoś docenia to, co robi, i że nadal ma siłę na naukę.

– Ojciec wraca – powiedział najstarszy brat.

– No to zaraz się zacznie – dodał młodszy.

Od progu słycać było hałas. Czasami po prostu wrzask, innym razem śpiew albo płacz. Matka biegła i pośpiesznie przeszukiwała kieszenie ojca. Zabierała część pieniędzy i gdzieś chowała. Na jedzenie.

Ojciec miał ekipę budowlaną. Pracował porządnie, ale gdy kończył zlecenie i dostawał wypłatę, to musiał

od razu zacząć ją przepijać. Pił do ostatniej złotówki. Później brał kolejną robotę, znikał i wszystko zaczynało się od nowa.

Gdy Gosia zdała maturę, wyjechała na studia i przez wiele lat nie wracała do rodzinnego domu.

– Kolacja będzie, jak ją sobie zrobisz. Ja robię tylko dla siebie i dla A. Powinnaś do niego zajrzeć. Niech cię zobaczy. Możesz mu coś opowiedzieć, ale pewnie nie odpowie.

W takim razie później sprawdzi, czy sklep jest nadal w tym samym miejscu.

Zapukała do pokoju A. i weszła bez odpowiedzi. Siedział przy oknie i patrzył na ulicę. Usiadła na jego łóżku. Rozejrzała się. Tutaj również niewiele się zmieniło, ale zauważyła wózek inwalidzki. Zastanawiała się, kiedy zaczął mu być potrzebny.

Próbowała opowiedzieć o swojej pracy, o życiu w mieście. Ostatecznie wydukała kilka oklepanych zdań.

Odrzucił się i przez chwilę na nią patrzył. Wydał z siebie kilka dźwięków i zaczął się wiercić.

– Chce, żebyś go podsunęła do biurka. Czasami coś pisze.

Podsłuchiwała, bo nie usłyszała kroków matki, ale zrobiła tak, jak powiedziała. Na kartce napisał, że ma długie włosy i że zmieniły kolor. Po chwili dopisał, że ładnie pachnie. Matka podeszła i popchnęła wózek na miejsce przy oknie. Gosia zapytała, czy tak tu siedzi przez cały dzień.

– A co ma robić? Są gazety, czasami czytam mu je na głos, a czasami sam próbuje, gdy mniej trzęsą mu się ręce. Jest kilka programów w telewizorze. To tak siedzi. Jak jest cieplej, to wyprowadzam go na podwórko. I tak z nikim nie pogada, bo mało kto rozumie to jego zawodzenie. Ja to czasem przez płot się chociaż podrę z tą starą mendą sąsiadem. Głupi. Wszędzie rozpowiada, że dom chcę mu podpalić. Popiołem zimnym. No głupi. Ale jak ojciec nie żyje, to przynajmniej nie dzwoni po policję, jak wtedy, gdy trochę pohalał. Coś się mu w głowie poprzestawiało po tym, jak mu baba się powiesiła. Znalazł ją po kilku dniach w lesie. To zaraz po tym było, jak uciekłaś. Teraz ja muszę po policję dzwonić. Bo jego synalek mnie chciał pobić. A. tu sobie siedział i przez okno chociaż popatrzył na akcję. Bo na co dzień to tu tylko ciągniki i czasem samochód.

Chciała szybko stamtąd wyjść i odetchnąć. Na biurku położyła prezent dla A.

- Książkę mu dajesz? Przecież nie przeczyta.
- To ty przeczytaj na głos. Może mu się spodoba.
- Dobra, dobra.

Ruszyła w stronę sklepu. Był w tym samym budynku, ale wyglądał na niedawno odnowiony. Nad drzwiami zobaczyła baner dużej sieci. Zastanawiała się, kto świadomie wybiera tak paskudny kolor tynku.

Chciała kupić wino i postarać się w miarę możliwości rozluźnić. Alkohole stały na ścianie za ladą. Rzuciła na nie okiem i wypatrzyła jedno znośne.

- Nie podam – sprzedawczyni była w bliżej nieokreślonym wieku, a na twarzy miała maskę podobną do matki.
- Przepraszam. Nie rozumiem.
- Jest post. Czego tu nie rozumieć? Nie sprzedajemy teraz alkoholu. Jak chce, to niech idzie do Marciniaków na końcu wioski. Tam zawsze dostanie. Chociaż takiego ładnego winka to na pewno nie.

Była zdezorientowana i nadal zdenerwowana po spotkaniu z matką.

– Nadal nie rozumiem. Słyszała pani o prawach konsumenta? Towar stoi na półce, widzę go, więc musi mi pani go sprzedać.

- Nic nie muszę – odwarknęła.

Nie była w stanie odpuścić, więc spróbowała z innej strony.

– Widzę, że sklep należy do sieci. Nikogo nie zainteresowałoby, że świadomie rezygnujecie tu z zysków?

- Straszysz mnie, gówniaro?

Poczuła, że zderza się ze ścianą i niczego tu nie działo. Skapitulowała i wyszła z pojemnikiem gotowej zupy i bułkami.

Sklepowa miała rację. U Marciniaków bez problemu kupiła wino, ale musiała wytrzymać obleśny wzrok stałych bywalców, którzy stali przed sklepem i pili piwo, a dodatkowo miała wątpliwości, czy chce ryzykować piciem dziwnie wyglądającego trunku.

Postawiła zakupy na stole w kuchni. Nie zdążyła się zastanowić, co dalej, bo do pomieszczenia wbiegła matka i rzuciła się na nią, popychając w stronę ściany. Próbowwała się wyrwać i pokonać szok, który ją sparaliżował. Ich twarze prawie się dotykały.

– Co ty odpierdalasz!?! Przyjeżdżasz tu i rządzisz się tak, że nawet sklepowej grozisz? Tak, tak. Już wioska gada. Wstyd mi robisz znowu. Uciekłaś stąd, to wszyscy gadali i teraz znów. Nie na moje nerwy to. Pogrzeb za pogrzebem... I przyjeżdża pani miastowa, i od razu widać,

że dyscypliny już nie ma. Kiedyś chodziłaś jak w zegarku. Nagle musiało ci się coś w tej pustej głowie przestawić.

Czuła ślinę matki na policzkach.

- Puszczaj mnie. Zostaw.

Zrobiła krok w tył.

- Jak tu jesteś, to masz się zachowywać. Jasne?

– Przyjechałam tu tylko na pogrzeb. Miałam wątpliwości, ale czułam, że kiedyś bym żałowała. Okazuje się, że żałuję teraz. Więc pozwól, że jak już tu jestem, to przynajmniej będzie z tego jakiś pożytek. Umyję okna i zrobię kolację.

Matka była wyraźnie zszokowana takim obrotem spraw, jednak nie protestowała. Wyszła bez słowa, więc córka uznała to za aprobatę.

Po pogrzebie.

Książd był niezwykle treściwy, więc nawet nie zdążyła się zdenerwować. Uświadomiła sobie, że ostatni raz na mszy była w tym kościele. Zwiedziła wiele świątyń, podróżując, nigdy nie wiązało się to jednak z nabożeństwami.

Zakład pogrzebowy wszystkim się zajął i zostało tylko patrzeć, jak trumna zjeżdża w dół, a mężczyźni w rękawiczkach zasypują ją ziemią. Kilka osób płakało i jej też poleciało kilka łez, gdy przypomniała sobie kanapki ze śmietaną i cukrem.

Nie było stypy. Ale dobrze było wrócić do domu, który w końcu zaczął go przypominać. Wpadało do niego więcej światła i wszędzie unosił się zapach środków czystości.

Przyprowadziła A. do jadalni i we trójkę zjedli obiad. Otworzyła butelkę wina, której wcześniej ostentacyjnie nie wypila, bo padła zmęczona sprzątaniami. Zasnęła w swoim dawnym łóżku. Spała mocno, długo. I niespokojnie.

Została na kilka dni, żeby wszystko przygotować.

Przygotować trzeba było przede wszystkim dokumenty. Musiała uspić czujność matki i znaleźć wszystko, czego potrzebowała. To nie było łatwe wśród stosów rupieci i kartonów.

W końcu mogła zadzwonić.

Wcześniej ostrożnie uprzedziła A. Nie była jednak pewna, czy zrozumiał.

Miała nadzieję, że robi dobrze i że będzie mu tam lepiej.

Przyjechali po południu czwartego dnia od jej przyjazdu. Zabrali jego rzeczy i posadzili go na lepszym wózku,

którym wjechali do busa. Pożegnała się z nim i obiecała odwiedzać. Matka protestowała krzykiem. Nagle przestała. Wbiegła do domu i zamknęła się w swoim pokoju.

– Udało się?

– Miałam chwilę zwątpienia, czy na pewno zrobić wszystko tak, jak zaplanowałam. Ale tak. Ostatecznie się udało. Z ulgą zostawiłam ten smród za sobą.

– Metaforyczny smród?

– Tam naprawdę śmierdziało. Zaniedbanymi budynkami, ludźmi z mojej przeszłości, wspomnieniem ciężkiej pracy i brakiem wsparcia od matki. I nie śmiej się. Śmierdziało tam też głównem. Wszędzie. Już myślałam, że matka ma rację i zrobiła się ze mnie stereotypowa miastowa z wioski, ale po drodze zatrzymywałam się w wielu małych miejscowościach, bo nie byłam w stanie długo prowadzić, i nigdzie tak nie śmierdziało. Szczerze – nigdzie.

– Możesz jeszcze na trochę zostać. – Twarz matki wydawała się przez chwilę wręcz pogodna i przyjazna. – Pomożesz mi. Sama nie dam rady. Nie gniewam się za to, że knułaś za moimi plecami.

Pomyślała, że dawno nie czuła takiego mrozu. W mieście nie był aż tak dokuczliwy.

– Nie wiem – odpowiedziała. – Nie chcę. Zostawiłam tam dużo spraw. I kota.

– Kota – parsknęła, a jej twarz znów przypominała maskę – to wypierdalaj stąd. Już cię tu nie widzę.

Mimo wszystko zaskoczyła ją ta nagła zmiana, ale nie wytrąciła z równowagi.

– Cieszę się, że zostajesz sama. Zasłużyłaś na to. Zasłużyłaś zaniedbaniem choroby ojca. Mógł się leczyć, a ty kazałaś mu dalej pić. Mogłaś wiele lat temu oddać A. do ośrodka i na pewno byłoby mu lepiej. Zasłużyłaś, bo P. uciekł przez ciebie. M. powiesił się przez ciebie. Myślisz, że z nikim tutaj nie rozmawiałam? Pytałam, rozmawiałam. Dowiedziałam się, że miał pracę. Że wójt się nad nim zlitował i pozwolił za parę groszy zamiatać ulice. Nie pił. Do czasu pierwszego urlopu, tak? I wtedy go napoiłaś, tak? Wszystkich osaczasz, manipulujesz. Zostajemy przy tobie później i nie wiemy, jak wytrzymywaliśmy. M. nie wytrzymał. . . Zostaw wszystkich w spokoju. Zasłużyłaś i nie chcę cię już nigdy widzieć.

Niczego nie czuła. Dotarło do niej, że od wielu lat matkę miała w swojej świadomości, ale nie towarzyszyły temu żadne konkretne emocje.

Ruszyła w stronę samochodu. Świeciły latarnie. Zauważyła, że para z jej ust rzuca cień. Na tym się skupiła: na cieniu pary z ust. Myślała o nim, gdy odjeżdżała.

JAKUB POŚWIĄTNY

– ur. pod koniec 1996 r. w Bielsku Podlaskim. Z zamiłowania muzyk i czytelnik. Z wykształcenia kucharz. W swoich próbach literackich, za pomocą zagubionych i skrzywdzonych bohaterów, ukazuje różnorodności w życiu wiejskim i ujawnia jego aspekty, które zwykle pozostają niewidoczne dla społeczeństwa. Podlaska wieś nie jest tym, czym się wydaje.



foto: Zuzanna Święcka



Maksymilian Dawid Drażba / PLSP w Supraślu

Katarzyna Woydyło

3 opowiadania

Zdążyć przed świtem

Trzeciego dnia A. powiedziała, że spadła ze stogu siana, coś w niej chrupnęło i właściwie od tego momentu przestała żyć, a zaczęła egzystować.

„Może innym życie kończy się tak od razu – przema-
drzała się dwa lata później z plamą po śledziach na brodzie –
mnie kończyło się jednak ono powoli”. „Nie to, żebym
nie czuła, że powoli umieram. Czułam, a jakże”. W tym
momencie wyliczyła wszystkie żyjące, a następnie nieży-
jące osoby, którymi otaczała się, gdy sama była w pełni sił
i potem, gdy słabła. Na końcu przekreśliła wszystkich spr-
awiedliwie rozdzielonym prychnięciem, a wtedy kropelki
śliny przysnęły z jej ust i poplamiały odświętną koszulę, którą
dla niej ubrałam. Przyznała, że ostatecznie i tak mogłaby
umrzeć głupią, bo dała się nadchodzącej śmierci oszu-
kać, omamić, ale co dalej – nie usłyszałam, bo pospiesznie
zatkamłam jej usta resztą chleba, a ona odpłynęła spojrzeniem
ponad mury domu pomocy społecznej.

Patrzyliśmy pozornie w tym samym kierunku, jednak
każda z nas wypatrywała w oddali czegoś innego. Mimo
że życie uwierało nas wtedy w odmienny sposób: mnie
wystającym drutem stanika i odcinkiem serialu, na który
miałam się spóźnić; ją bezwładem w rękach i przydługim
oczekiwaniem na śmierć – każda z nas wystawiała się
na wymyśloną przez siebie próbę siły. Ja powstrzymywa-
łam się cały czas od tego, żeby wyjść, nie otrzeć A. nawet
podbródka i nigdy nie wrócić. Ona, żeby dawkować mi
swoją opowieść o umieraniu i nie wysypać się ze wszyst-
kich szczegółów naraz.

Robiła tak od samego początku, czyli dnia, kiedy śmierz-
dząca potem wysiadłam z autobusu za wcześnie, bo pomy-
liłam przystanki. Trzy kilometry później z przekleństwem
nałożonym lepkiem błyszcznikiem na usta wpisałam swoje
nazwisko do grubej książki odwiedzających. Nie miałam
wtedy przy sobie nic więcej poza okresem, zmęczeniem
ostatnią klasą szkoły, gorącem i bólem, który pulsował
w podbrzuszu, odbijał się od pleców i wracał. Przede wszyst-
kim zaś nie miałam pojęcia, dla kogo tu przyszedłam, komu
chciałam dać odrobinę zbawienia, skoro sama ledwo stałam

na nogach. Wiedziałam, że jeśli nie zamknę się w toalecie,
na spodniach pojawi się plama, tyle że ona nie wyschnie
jak ta od potu na bluzie. Kreśliłam więc datę obok nazwi-
ska, ale myślałam o czerwonym wykwicie, którego będę
od teraz cały czas dotykać, sprawdzać, czy nie zdążył uro-
snąć, a zanim dotrę do toalety, nabiorę pewności, że widzą
go wszyscy, których w drodze do niej minęłam.



Amelia Popescu / PLSP w Supraśl

– Nowa wolontariuszka?

Wolontariuszka brzmiała w ustach dyrektora jak starszuszka. Jeszcze chwilę wcześniej tętniło pomiędzy moimi nogami życie, a w jednej sekundzie byłam już stara. Oczy szczypały mnie od jego oddechu, który był przedłużeniem spożytej bagietki z czosnkiem, a kiedy odwróciłam głowę, chciało mi się płakać już głównie dlatego, że nie byłam pewna, co właściwie do mnie powiedział. Pewnie odpowiedziałam, że nie wykluczam, że jestem tu pierwszy i ostatni raz, a on udał rozczarowanie, nie ukrył za to przekonania, że tak właśnie będzie.

– Proszę wybrać jednego z nich. Wszystkim pomóc się nie da.

Usłyszałam wyraźnie i zaczęłam od poszukania pomocy dla siebie.

Nie każdy pokój jest pokojem z osobnym kibelem, tylko specjalne przypadki mogą liczyć na akt najwyższej łaski, na bezcenną prywatność. Można by teraz pomyśleć, że nie wiem nic o jej braku, bo to nie mnie ktoś spieniał ciało uczulającym mydłem, a potem testował na plecach temperaturę wody tak długo, że ciało drżało, a skóra na długo po tym swędziała. Znałam to z opowieści A., właściwie słyszałam to od niej już tyle razy, że i moja skóra swędziała od tego w miejscach, których wcześniej u siebie nie zauważałam. Rozdrapywałam ją wtedy paznokciem, tym długim i nierówno obciętym.

Toaleta oznaczona złotymi literami WC przyciągnęła mnie od pierwszego dnia ustronnością i zamkniętymi drzwiami. Drzwi innych pokoi pozostały otwarte. Pomyślałam też, że to dziwnie żyć jak rybka w akwarium, w którym filtr nie radzi sobie z długą smagą paprochami samotności i tłustymi okami śmierci. Kiedy ostatecznie się nimi zapycha, woda w akwarium mętnieje, a potem personel ją zrzęcznie wylewa i wpuszcza do akwarium nowy schorowany narybek.

Weszłam do środka i od razu przekręciłam za sobą zamek, ale niczego tym nie zamknęłam. Toaleta miała bowiem dodatkowe, bezpośrednie przejście do jej pokoju. Te drzwi pozostawały otwarte i choć nie poruszyłam się w ich stronę, widziałam, co A. ogląda na wysoko podwieszonym telewizorze, słyszałam, jak prychnęła, czułam, jak śmierdzi. W mdlących oparach wydalonych treści pragnęłam jednak zatamować to, co we mnie żywe, co chciało się wydostać i mnie splamić. Uniżyć do poziomu osób, które nie panują nad swoim ciałem.

Drzwi jej pokoju zamykałam kilkanaście tysięcy lat. Milimetr po milimetrze, szybciej poradziłby sobie z tym byle przeciąg. On mógłby nimi trzasnąć, ale wtedy nie mógł, bo zamknięte okno nie miało nawet klamki. Na próżno poczęłam siłować się z drzwiami, podnosić je na zawiasach. Na darmo wcisnęłam klamkę dłonią tak mocno, żeby żaden mechanizm nie zdążył mnie zdradzić. Przy wypuszczaniu klamki z dłoni, drzwi uchyliły się na trzy centymetry, rozdarły za to żalosnym piskiem. Wszystko trwało kilkanaście tysięcy lat i mniej niż pięć sekund.

Wystarczyło, żeby A. zdążyła nacisnąć czerwony przycisk obok jej łóżka.

Wkurzenie pielęgniarki dało mi trochę czasu, a on wystarczył, żebym mechanicznie wymieniła zużyte na nowe, przedzieliła majtkami tylek na cztery części i wyszła na pustą korytarz. Myślę, że to była moja inicjacja; od tego momentu wyszło we mnie źródło życia, a ja mogłam stać się waznem na komodzie odwiedzanych przeze mnie mieszkańców, obrazkiem nad łóżkiem, zgubionymi okularami. Za zamkniętymi drzwiami, za którymi nie czekał na mnie dyrektor, czasami bywałam ich córką, wnuczką, koleżanką, którą zapamiętali ze szkoły. Kimś najbliższym, choć dopiero co rozpoznany. Kimś bliskim z daleka.

Nareszcie pewna tego, po co tu przyszłam, minęłam pospieszonym krokiem dyszącą ze złości kobietę w białym fartuchu i złapałam obcą mi wtedy jeszcze A. za miękką dłoń obleczoną w cienki, blady naskórek. Wróciłam do niej po raz pierwszy, ale zrobiłam to tak, jakby nie było mnie tylko przez chwilę.

– Już jestem.

Wymazałam pielęgniarkę ze wspomnień, właściwie nie pamiętam, jak zareagowała na moje nagłe wtargnięcie. Nie mogła jednak mnie stamtąd wywalić, skoro odwiedzałam A. przez kolejne trzy lata.

Nauczyłam A. patrzeć w lusterko na parapecie i widzieć to, co za nią, bez odwrócenia głowy. Nauczyłam ją śmiać się szczerze, bo wiedziała, że inny śmiech skomentuję albo upomnę ją, żeby przestała. Śmiała się zatem rzadziej, ale kiedy to robiła, ja również zaczynałam się śmiać. Szczerze. Nauczyłam ją pisać esemesy, rozrysowałam planszę znaków na kartce, unosiłam pomiędzy moimi palcami jej nieruchomy paluch i wciskałam nim wypukłe przyciski. Po sześciu miesiącach dostałam od niej wiadomość zakończoną figlarnym oczkiem. Namówiłam ją do smaku

serowo-cebulowych chipsów (paprykowych celowo nie kupowałam), a ona rozkochała mnie w śledziach (tymi w śmietanie rzadko kiedy chciała się ze mną podzielić). Najchętniej jednak jadłyśmy świeży chleb z masłem, który kupowałam po drodze, albo anyżki w porcji nie większej niż trzy na głowę. Nie chciała siebie i mnie zasłodzić, miały zostać na jutro. Nie wiedziałam wtedy, że niedokończone ciastka, zadania, które przełożymy na raz następny, rzeczy, które obiecałam jej kupić, były haczykiem. Coś trzeba było jeszcze omówić, nad czymś się znowu pochylić.

Następnym razem.

Złapałam.

Koleżanka z dzieciństwa nie przyjechała, a przyjeżdżała zawsze w piątki, żeby A. umyć, więc A. była w sobotę już mocno wkurwiona. Damy się nie wkurwiają, damy prychną, są sarkastyczne, oburzone za grubo skrojoną kromką chleba. Niecierpliwie sięgają po telefon, pospiesznie odrzucają go na koldrę i narzekają. Właściwie to cholernie im niewygodnie. „Czy czujesz, jak śmierdzą?”, pytała mnie w taką sobotę, pytała mnie co godzinę aż do niedzieli. Ciężko było mi oddzielić zapachy, rozłożyć smród na warstwy, bo w pokoju śmierdziało głównie skapującym przez cewnik moczem. Nawet herbata z opuncją smakowała jak szczyny.

– Niczego nie czuję.

Nie obchodziło mnie, czemu koleżanka znowu nie dojechała, ani to, kto teraz umyje A. Zakładałyśmy się za to z ochotą, która para zatańczy na szklanym ekranie najlepiej, obstawiałyśmy błędne odpowiedzi niejednego z dziesięciu. Siedziałyśmy we dwie, wpatrzona w odległy, ciut nierealny punkt. Wierzyłam do końca, że godność i człowieczeństwo zastąpię w jej życiu tanią rozrywką, pożywką dla zdrowych ludzi.

Wycierałam okruszki z dekoltu, który zaczerwieniał się w miejscach niechcący potartych przeze mnie mocniej. Była zbyt krucha na obcowanie z ludźmi. Ich dotyk sprawiał, że pokrywała się siniejącymi wykwitami, jakby nie tolerowała tego, że ktokolwiek śmie ją dotykać. Nie uciekała przed tym świadoma, że jest na to skazana. Nie była naiwna. Wiedziała, że ludzie chorzy, którzy krążą pomiędzy pokojami, robią z nią to, co chcą. Przychodzili, długo z nią rozmawiali, a potem wyjmowali spod jej głowy poduszkę, nakrywali jej twarz koldrą albo chowali z rozmysłem ludzi zdrowych czerwony przycisk pod łóżko. Słyszała na korytarzu ich krzyki, wesole podskakiwanie wprost do jej bram.

Nie zapraszała. Wchodzili sami.

– Czemu nie zgłosisz tego dyrektorowi?

– Słowo przeciwko słowu? Czyje słowo? Moje, ich, a może jego?

– Czemu im na to pozwalasz? – pytałam. – Czemu tego nie zgłosisz? Dlaczego?

– Ja wiem, ty wiesz i oni to też wiedzą. Nigdzie im nie ucieknę.

W ostatnim roku spędzałam z nią każde popołudnie, zostawałam dłużej niż inni odwiedzający. Ciągłe wierzyłam, że im dłużej trwa *tv show*, tym dłużej ja będę mogła tam zostać. Niezauważona stanę się uczestnikiem i jej życia, kimś, kto wygrywa eliminacje i zostaje w domu Wielkiego Brata na zawsze.

Umarła w sierpniu, miesiącu, w którym ziemia jest sucha, powietrze faluje za dnia gorącem, a wieczory są na tyle chłodne, że szuka się bluzy, zanim ramiona zdążą pociąć komary. Umarła w ośrodku ze słowem PROMIEN w nazwie i bez krzty słońca, zanim zamknęła oczy. Umarła przed świtem, czyli w godzinach, kiedy pielęgniarki chrapią najgłośniejszej, a noc kończy swój spektakl nad miastem, wpuszczając w nie pojedyncze smugi światła. Umarła z nieogolonymi nogami, pełnym cewnikiem i wyjętą szczęką.

Umarła, gdy spała. Spała, gdy żyła. Żyła, jakby za chwilę i tak miała umrzeć.

Kiedy weszłam na piętro, moim jedynym zmartwieciem były połamane anyżki, których szczątki przewracały się w torbie i pocierały o siebie zgrzytliwie. Szłam naelektryzowana poczuciem zwątpienia, czy cokolwiek z nich uratujemy, czy starczy ich do momentu powiedzenia sobie, że już za słodko. Dziurawa torba wysypała mi je pod nogi na piętrze, na które codziennie dla niej się wdrapywałam, a ja zaklęłam, a może tylko chciałam to zrobić i jak zwykle wypuściłam z siebie niemą próżnię. Przestraszyłam się, że tak bardzo zależy mi na tym, by donieść te kilka ciastek do A, przestraszona chciałam wyjść i dokupić pół kilo świeżych.

Żałuję, że już wtedy nie wyszłam. Nie opóźniłam momentu, w którym zauważyłam, że na piętrze przewija się za dużo osób, za dużo osób z obcą mi twarzą i zbyt szybkim krokiem.

Podeszłam odruchowo do drzwi jej pokoju, ale były zamknięte na klucz. Zdziwił mnie widok złotej klamki, badałam ją wnętrzem dłoni i zastanawiałam się, czy wcześniej też tu była. Dotykałam jej po raz pierwszy, oddawała

mi ciepło cudzych dłoni. Ciepło wędrowało przez moje ciało, jego komórki napelniały się treścią niedokończonych rozmów, pytań, czy jutro też do niej przyjadę, esemesów, że dziś nie dam rady. Figlarne oczko, ugryzione ciastko, co powiesz na śledzie, czy czujesz jak śmierdzą, nie mówmy już dziś o umieraniu.

Głos rzeki

Powiedziała, że nie warto walczyć, a potem cierpliwie czekała na to, co zrobię.

Powtórzyłam, że drugi raz nie spróbuję.

Może nie dosłyszała za pierwszym razem, a może niczego jej nie powiedziałam, bo sama w to nie wierzyłam. Pewnie powinnam była to tak długo powtarzać, aż słowa zlałyby się w rwący strumień zaprzeczeń. Zamiast tego jednak obserwowałam jej rozciągniętą do niemożliwych rozmiarów sylwetkę, która w ciemności wydawała się błyszczyć, i pozwalałam, by moje myśli pośliznęły się raz jeszcze na mokrych kamieniach jej dna.

Tak samo jak wtedy, kiedy jeden z nich wymknął się mojej prawej stopie, a ja zanurzyłam się w niej miękko i prawie bezgłośnie. Byłam przez kilka sekund niczym więcej jak tylko żywym miernikiem jej głębokości, którego rzeka miała się w końcu wyrzec. Nie tyle po latach wypłuć, co usunąć z siebie z ręcznie niczym drzazgę. Czymże byłabym dla niej wtedy, jeśli nie żdźbłem w całej jej rozpiętości. Sama nie stanowiłabym nawet ziarenka soli w jej oku.

Niczym nie mogłabym jej zagrozić.

Dryfowałam. Robiłam właściwie to, co nauczyłam się robić już wcześniej w trudnych dla mnie sytuacjach – unosiłam się na powierzchni. Nawet w zupełnej ciemności, kiedy niebo nie wstydliwie niebieskie, a czarne, starałam się szukać pociechy w gwiazdach. Pamiętam, że przyszło mi wtedy do głowy, żeby je wszystkie policzyć, ale wtedy rzeka poniosła mnie za sobą dalej, a ja odpłynęłam wraz z nią w niemożność zliczenia nieskończonego. Ten jeden raz wykroczyłam poza wszystkie znane mi dotąd granice. Gnałam przez miasta i wsie, choć nie poruszyłam nawet małym palcem u stopy.

Gdy pozostał mi po rzece jedynie jej głos i drzenie ciała w przemoczonym ubraniu, instynktownie wzbraniałam się przed tym, żeby raz jeszcze zaryzykować. W całym swoim uporze pozostawałam jednak uległa, jakbym założyła, że sprzeciwiam się rzece tylko do określonego momentu,

a potem i tak do niej wracam. Jako że pozostawiłam w niej sporą część moich myśli, chciałam się dowiedzieć, do kogo dopłyną i czy nurt, który zdołałam zaburzyć, wpłynie na czyjeś życie kilkanaście kilometrów dalej. Wszystko to, co stało się, co stać się mogło, było dla mnie jak urwany i nerwowo spisany nad ranem sen – zbyt ważne, by móc o tym zapomnieć.

Nie pamiętam, po ilu godzinach rzeka oddała mnie ziemi. Przysięgłabym, że po chwili, a jednak nad głową widniało, kiedy obudziły mnie swym szumem trawy. Wiatr dmuchał w nie chłodnym powietrzem, a może to ja w nie dmuchałam do kresu sił, aż padłam.

Leżałam na plecach. Pozwoliłam sobie na bycie i słuchanie, a resztę zmysłów starałam się świadomie wyłączyć. Z trzeciej, najdłuższej, drzemki wybudził mnie trzask złamanej gałęzi i przestraszył tak, że odruchowo wbiegłam do rzeki. Naturalnie lgnęłam do niej w momencie strachu. Rzeka była mi wtedy matką, która pokarmu dla swoich dzieci ma pod dostatkiem.

Otwierała ramiona i znów pozwalała popłynąć dalej na swoich plecach, użyczała mi swojej siły. Może jednak istnieje coś takiego jak pamięć ciała, pomyślałam wtedy z ulgą i beztrąsko się roześmiałam. Wierzyłam, że przemoczona, zamrznięta i przestraszona zostałam przez nią rozpoznana.

Ile dni przepłynęłam, kto mnie z niej ostatecznie wyłowił, nie zależało mi na tym, żeby się dowiedzieć. Nie zobaczyłam w rzece twarzy, a jedynym głosem był jej własny głos, który nawoływał mnie po imieniu. Głos wpływał do mojej głowy prawym uchem, zostawał tam i trwał we mnie, kiedy lewą stronę mojej twarzy pochłaniała podmokła ziemia.

Rzeka zaś płynęła dalej, zabierała i oddawała. Nie mogłam jej niczego dać, wszystkie myśli już przecież oddałam. To, co we mnie zostało, było niczym więcej niż kalką tego, co we mnie pierwotne. Zostałam sama z podrobionymi myślami na ziemi, którą ona już opuściła.

Mokradła żerowały na pozostałych we mnie nieużytkach.

Wschód wyśniony przed świtem

Wracam przez łąkę, którą przecinają wychudzone zajęce i bezpieczeństwa psy. Nie dziwię się temu, podążam tą samą ścieżką co zawsze. Nie schylałam się, a i tak wiem, że łąka

pachnie w dzień suchą ziemią, a pod wieczór zimnym kamieniem. Idę tak długo, żeby zaciągnąć się pomieszaniami zapachów, złapać wilgotność nadchodzącego wieczoru, kiedy ramiona wciąż nagrzane od słońca. Jeszcze słońce na nieboskłonie. W brzuchu coś muska od środka, trzepocze w jelitach i rozlewa mleko w żołądku, kiedy wracam do domu tą samą drogą co zawsze.

Co zrobię, kto na mnie tam czeka, pomyślę za chwilę.

Nad łąką lecą łabędzie. Nie jestem zdziwiona, choć nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek widziała je w locie. Podoba mi się, jak z dramatycznym wdziękiem czarują synchronicznym kluczem na niebie. Wprost pod słońce, w stronę ledwo widocznej linii, za którą wkrótce znikną.

Gdy spadają na ziemię, ich szyje łamią się bezszelestnie na pół.

Podchodzę do nich, wydawałoby się, niepewnie. Może i chciałabym pomóc, a może uciec, ale od obydwu możliwości odwodzi mnie stado groźnie wyglądających dzików. Jakże mogłam ich nie zauważyć za piórami martwych łabędzi, dziwię się sama sobie we śnie, a potem odsuwam się, żeby szczątki zachłpanych krwią ptasich szyi

nie pochłapały mi nagich kostek. Największe z dzików rozkopują raciami doły, w których pochowują łabędzie. Tylko niektóre wydobywają z dziobów zmarłego ptactwa ostre zęby. Kiedy rozsypują je przede mną na trawie jak pęknięty sznur pereł, zęby gubią się, a ja ich nie szukam.

Wpatruję się w szkarłatne łabędzie brzuchy.

Z rozerwanych trzewi wydobywa się na świat kilka szczeniaków. Małe psy z zalepionymi ślepiami zlizują z łap przezroczystą maź, a każde z nich urodzone zostało z widoczną skazą. Bez oka, ogona, dwa z nich bez przednich łap. Ostatnie dwa rodzą się martwe i po chwili znikają pomiędzy dzikami. Żywe wyciągają psie łebki ku słońcu. Kalekie, spragnione ciepła matki, wydają się do mnie z początku lgnąć. Gdy tylko podchodzą na krótkich łapkach bliżej, ich różowe nosy zaczynają się marszczyć, a w końcu odpadać. Podnoszę je i próbuję przykleić do płaskich pyszczków, ale z ich powyrywanych łap zionie pustka. Na ślepiach dostrzegam nierówno stopiony plastik. Nie ważą niemalże nic, są tak puste, że kiedy wołam do nich naprędce wymyślonym imieniem, mój głos odbija się od ich wnętrza, wraca i budzi mnie ze snu.

KATARZYNA WOYDYŁO (1992)

– absolwentka filologii germańskiej na Uniwersytecie Śląskim i Kursu Pisania Powieści KMLU. Jej opowiadania opublikowane zostały w „Stronie Czynnej” oraz „Tlenie Literackim”. Mieszka w Zabrze.



foto: prywatne archiwum autorki

Maria Kaszkiel

Wtedy (fragment)

Prawda zaledwie wyziera

wtedy

1. zaimek odnoszący się do pewnego czasu w przeszłości lub przyszłości, o którym mowa w zdaniu, np. *Wtedy nie było jeszcze telefonów.*

2. zaimek odnoszący się do sytuacji, której zajście zależy od spełnienia pewnego warunku, np. *Jeśli o tym porozmawiamy, wtedy pewnie wszystko się wyjaśni¹.*

Miejsca. Sień

Mama zgubiła się chyba wczesną wiosną. W piątek. Albo w poniedziałek.

Postawiła Isię i walizkę w chłodnej sieni pod schodami.

– Nie będę wchodzić do środka. Śpieszę się, już i tak jestem spóźniona. – Ciężko oddychała, a jej twarz była czerwona i mokra.

– Może coś zjesz?

– Nie. – Głos przeciął chłodne powietrze na pół i Isia nagle znalazła się po drugiej stronie. – Przecież mówiłam mamie... – Machnęła ręką. – No nic. Lecę.

Pochyliła się i czerwonymi ustami musnęła czoło Isi. – Pa! – Wskazującym palcem rozmasowała ślad szminki; odcisk ust zamienił się w krwawą smugę. – Będę... może uda mi się co jakiś czas przyjeżdżać. – Patrzyła gdzieś ponad głowami. – Pa!

– Ale...

– No tak, bym zapomniała. – Wyciągnęła z kieszeni kopertę. – Jak zabraknie, prześlę albo...

– Dobrze, dobrze... – Babcia szybko włożyła kopertę do kieszeni fartucha.

Isia stała wyprostowana, ściskając rączkę walizki.

Mama się odwróciła. Jak królowa w talii kart na drugą, nieznaczącą stronę. Zniknęła w prostokacie światła.

– Chodźmy już. – Babcia z westchnieniem wzięła walizkę. Ręce Isi niczym zwiędłe lodygi zwisały wzdłuż tułowia. Ani drgnęła. Pozostała nieporuszona.

– No chodź, chodź, zupełnie nastawiłam, dam ci kiszzonej kapusty z cukrem albo usmażę placki... z jabłkami... – Jej głos nikał w ciemnym korytarzu.

Miejsca. Korytarz

Isia wiedziała już, że do każdego mieszkania prowadzi długi, mroczny korytarz, na końcu którego są drzwi.

Ten był i długi, i wysoki, i wąski. Ściany cisnęły się do siebie, a sufit uciekał w ciemność.

– Zmieścisz się – śmiał się dziadek, który klął policzkami i pachniał drewnem. – Patrz! – I rozpościarał ramiona tak, że palcami dotykał ścian.

– Ale jest ciemno.

– Zapalę lampę, widzisz? – Przekręcał włącznik umieszczony wysoko, tuż przy drzwiach do mieszkania. Isia wiedziała, że i tak do niego nie doskoczy.

W żółtawym, mętym świetle żarówki wcale nie było lepiej. W kąty spadał mrok, a na ścianach tańczyły obce cienie.

– Dziadku, a Szalona Zośka? – szeptała Isia i skinieniem głowy pokazywała na drzwi po lewej stronie.

– E tam... – Dziadek machał ręką i splotował. – Głupia baba. Tylko jej w głowie... – urwał. I znieścacka dodał: – „Zośka cyk, no to cyk. Obesrane pięty”. – Zaśmiał się krótko i rozkaszał. – Dzieciaki jej śpiewają takie durnoty pod oknami, to i wrzeszczy. Obsrajdusy przekłete. Tfu!

¹ „Wtedy”, *Słownik języka polskiego PWN*, <https://sjp.pwn.pl/sjp/wtedy;2538353.html> (dostęp: 28.10.2023).

Dziadek uznał, że mówił za długo, wyjął więc bibulkę i polizał dłuższy bok.

– Potrzyjmy tytuń. – Podał Isi metalowe pudełko, nasyłał szczyptę, pokręcił, pokręcił, włożył w szklaną rurczkę i zapalił; ogienek zamigotał wesoło.

Miejsca. Wejścia, wyjścia

Ale wesoło nie było, dziadek pracował, wracał wieczorami, a wchodzić i wychodzić trzeba. Wychodzić i wchodzić. Wchodzić i wychodzić.

Wyjść z było łatwo. Na końcu jaśniał otwór zawsze otwartych drzwi prowadzących do sieni; a i można było włączyć światło, jeśli się weszło na stółek. Babcia mówiła „taboret”. Od razu dała Isi taki okrągły, przy którym mogła jeść, siedząc na taboreciku, bo stół był trochę za wysoki.

Wejść do było trudniej. Zawsze wchodziło się w coraz głębszą ciemność, światło zostawało za plecami. Isia nauczyła się, że są dwa wyjścia, czy raczej należało powiedzieć „wejścia”.

Albo. Można przebiec, wyciągając ręce przed siebie, z prawie zamkniętymi oczami, wymacać klamkę i wbiec do środka mieszkania, trzaskając drzwiami.

Ale... Trzeba było minąć boczne drzwi składziku i kolejne Szalonej Zośki, która przecież mogła wyskoczyć w każdej chwili, ale nie, zawsze siedziała w oknie, z lokówkami na głowie, w szlafroku. „Biała purchawka z papierosem w gębie” – mówiła babcia.

Ale... można było, co gorsza, upaść, zaplątać się w chodniki i nie wstać, i utonąć w podłodze, i wrzeszczeć, aż ktoś usłyszy. A co, jeśli...

Czyjeś miękkie ręce usiłowały podnieść Isię. Białe, białutkie, aż się świeciły w ciemności. Zamknęła szybko oczy. Ktoś posapywał i pochrapywał. Czula zapach papierosów i konwalii. „Jak mama!”. Otworzyła jedno oko. W miejscu ust to rozpalał się, to przygasał ogienek. „Biała purchawka z papierosem w gębie!”

– A ty to ta mała? Od Mackiewiczów? – Rozkaszłała się, aż Isia bała się, że ją rozerwie na pół i flaki wypłyną na ziemię. Skuliła się, wciskając buzię w zmięty chodnik. – Słyszałam ja. Matka cię zostawiła. I pewnie jeszcze powiedziała, że wróci... – Śmiech zmieszał się z kaszlem. Ciepłe, miękkie palce pogładziły Isię po plecach. – Oj, to Mackiewiczka będzie się na stare lata uwijać, oj, będzie... I dobrze jej tak... A tobie co? Koziołków się zachciało? Fiku-miku na patyku. No, już! – Postawiła ją na nogi.

Isię uderzył zapach potu. Przed oczami kołysały się dwie potężne białe buły jak z drożdżowego ciasta babci. „Jezu, ratuj!”

– Może wejdiesz do mnie? – spytała głosem niespodziewanie słodkim jak lukier.

– Nie... – zdołała wydusić Isia i uciekła, nie oglądając się za siebie. Gonił ją chrapliwy śmiech. I ledwo wyczuwalny zapach konwalii.

Albo. Można odwrotnie; nie biec, tylko skulić się, zwięzić, z wszystkich sił zanieistnieć (och! Isia wciąż doskonaliła się w tej sztuce) i wyteżając wzrok, stąpać uważnie, by nie nadepnąć myszy. Są, są, niech babcia nie kłamie, sama słyszała ich popiskiwanie, a nawet widziała ich malutkie, zwinne cienie.

– Ale, babciu, gdyby tak dotknęła mojej nogi, taka miękka i taka... żywa... Brrr! – I przewracała oczami, i wywalala język, żeby pokazać, jak się brzydzi. Babcia potrafiła kopnąć mysz.

Przed drzwiami do mieszkania po prawej stronie wisiały wilgotne ubrania dziadka, ciężkie od potu kufajki (tak mówił dziadek na swoje kurtki), sztywne spodnie pachnące trocinami; stały też gumowe buty z wetkniętymi wełniskarpetami. Ten dziadkowy zapach oznaczał wybawienie, wystarczyło tylko wyciągnąć rękę i wymacać klamkę...

Ale... gdy szło się wolno, powietrze stawiało opór, ciężkie od splełanych niejasnych woni. Czegoś tak lepkiego i gęstego jak zły sen. Nie było wiadomo, czy nie jesteś już po drugiej stronie.

Śni mi się często, że stoję po drugiej stronie drzwi, w mieszkaniu babci, ktoś z zewnątrz szarpie za klamkę, a ja nie mogę otworzyć, bo nie mam klucza. Lub obracam kluczem w zamku, ale klucz nie pasuje, upada na podłogę.

Raz, gdy Isia zebrała się na odwagę, a może odwrotnie, zabrakło jej odwagi i postanowiła prześlizgnąć się przez korytarz, zobaczyła smugę światła zza drzwi składziku; tak mówiła babcia: „składzik”. A przecież był też łazienką, miał sedes i wannę, ale Isia z niej nie korzystała; była brudna, aż czarna, i tylko dziadkowi służyła do kąpieli co sobotę. Isia z babcią kąpały się w miednicy. „W miednicy” – tak mówiła babcia. Nie w misce.

A mama mówiła: w misce, stółek, i bała się myszy. Krzyczała: „zabierzcie to stąd”, wymachiwała rękami, wskakiwała na stół i w ogóle nie patrzyła, gdzie jest Isia. Nie widziała Isi, tylko myszy. Ale Isia widziała. Widziała, że mama ma tyle strachu, że nie ma już w niej miejsca na czyjś inny.

Zza drzwi sączył się teraz dziwny zapach. Chyba już go kiedyś czuła, ale teraz był intensywny i natarczywy. Zatrzymała się, nacisnęła klamkę i wolno otworzyła. Na deskach rzuconych na wannę leżał rozłożony na pół, pozbawiony wnętrzości świniak. Parował. Jakby ciągle oddychał. Isia wyciągnęła ręce. Czuła ciepło. Słodkawy zapach zmieszany z wonią spalenizny powoli owijał się wokół niej i wypełzał na korytarz. Isia stała nieruchomo dłuższą chwilę. Patrzyła na jamę pustego brzucha, sterczące kopytka, małe popalone włoski w różowej skórce. Wyszła, ostrożnie zamykając drzwi.

W kuchni babcia mieszała w misce krew z octem. „Żeby się nie ścięła”.

Obraz

Krew kapła z ogromnej głowy Jezusa. Krople spływały po buzi i włosach. Ranily go ostre patyki splecione w wianek. Jak by Isia nie odwracała głowy, w lewo, w prawo, w górę, w dół, i tak zawsze go widziała, a on patrzył na nią ze smutkiem. Mogła zamknąć oczy, ale jak jeść śniadanie z zamkniętymi oczami?

Obraz wisiał w kuchni nad stołem.

Któregoś dnia Isia zauważyła, że pojawiły się przezroczyste lzy. Były widoczne tylko wtedy, gdy stanęła z boku i przechyliła głowę.

– Babciu, Jezus płacze! – wykrzyknęła.

– Płacze, pewnie, że płacze. – Nawet się nie odwróciła.

– Ludzie grzeszą, to i płacze. – Babcia zaczyna śpiewać:

Ach, mój Jezu, co za boleść,

Cierpisz w ostrej koronie.

Twarz najświętsza zakrwawiona,

Głowa wszystka w krwi tonie.

– Zaśpiewaj jeszcze raz. – I babcia śpiewa. A więc te patyki to korona? Co to za król? Co to za korona? Po co taka korona, która boli? I głowa tonie. . .

– Babciu, czy głowa utonie? I wszystko? We krwi?

– Co ty wygadujesz za durnoty? – Babcia śpiewa dalej:

Przyjdź, mój Jezu,

Przyjdź, mój Jezu,

Przyjdź, mój Jezu, pociesz mnie,

Bo Cię kocham serdecznie.

Isia słucha uważnie i się dziwi: Przyjdź, przyjdź i przyjdź. Jak ma przyjść? Boli go, płacze i jeszcze ma pocieszyć babcię?! Przecież nic jej nie boli, tylko krzyż czasami. I śpiewa sobie, i nie nosi bolącej korony, tylko chustkę czasami. To do niego trzeba iść i jego pocieszyć.

Isia już nie dziwi się, że płacze. Boli go. Bardzo go boli. Oni wołają go i wołają, a on jest zupełnie sam, zamknięty w czterech ścianach ram.

– Ma mało miejsca.

– Co? – Babcia odwraca się od garnków, ale nie przestaje mieszać.

– No on. – Pokazuje głową. – Ma mało miejsca. Ściskają go te ramki. Ale i tak go kocham. Serdecznie – mówi Isia i je drożdżową bułkę z lukrem.

Widok z okna. Czeremcha

– Zakwitła czeremcha – oznajmia babcia z samego rana, budząc Isię. Brzmiało to tak, jakby zaczynała się nowa epoka, nadchodził nowiusieńki, wymyty w wiosennych deszczach czas.

– Zakwitła czeremcha – powtarzała cicho, wstawiając do wazonu kwitnące gałązki.

Pachniały bezgranicznie i słodko jak gęsty syrop lub lukier. Isia leżała w cieplej pościeli. Powieki były wciąż ciężkie od snu. Woal błękitnawego dymu powoli przysłaniał pokój. Przedmioty traciły ostre kontury, na wpół nieobecne. Pozwalała, by świat się rozplywał, by zapach ją pochłaniał. . .

Z kuchni dochodził wysoki jak szklana góra głos babci. Babcia śpiewała zawsze. Kiedy tylko wymamrotała poranne pacierze, zaczynała nucić. I tak do wieczora.

Rozkołysał się czeremchy biały kwiat

I pochyla się kwitnący krzew,

A zza rzeki znów znajomy dzwoni głos

I słowiczy nocą słyhać śpiew.

– Czeremcha. – Isia wypowiada dokładnie każdy dźwięk. – Cze-rem-cha – powtarza. – Czere-ere. Czere-ere. – Dźwięki wibrują. – Mcha! Mcha! – Teraz wybuchają. – Co to za dziwne słowo? Z innego świata? Śpiewa, a zarazem zgrzyta jak piasek między zębami.

Poznała już czeremchę. Rosła taka samotna w kamiennym wąwozie podwórza, naprzeciw okien mieszkania babci. Tulila się do bezokiennego muru sąsiedniej kamienicy. Kiedy lepka zieleń ledwo ochlapała gałęzie, buchnęła bielą, jakby falą kwiatów chciała zalać szary świat.

Isia słucha: . . . zza rzeki . . . znajomy . . . głos . . . Otwiera szeroko oczy. Do cieplej woni wkrada się wilgotny, ciemny ton, oddech ziemi.

Isia ostrożnie podchodzi do stołu, mruży oczy i powoli zanurza twarz w gąszcz kwiatów, które z bliska ukazują jasnożółte, pyłące wnętrza. Wciąga zapach tak głęboko, aż wypełnia ją całą i czuje lekki zawrót głowy.

– Uważaj. – Babcia wychylała głowę z kuchni. – Uważaj – powtarzała, ale nie dodawała nic więcej, więc Isia nie wiedziała, na co ma uważać. Babcia śpiewała dalej.

*Do miłości wiecie ta najdłuższa z dróg,
Gdy z niej zboczysz, już zgubiony szlak.*

I znowu:

*Do miłości wiecie ta najdłuższa z dróg,
Gdy z niej zboczysz, już zgubiony szlak.*

Isia z ociąganiem odchodziła do swoich codziennych spraw, ale zapach jej nie opuszczał. Snuł się za nią cały dzień. Chciała wiedzieć, na co ma uważać.

Kiedy nikt nie widział, wpadała do pokoju i podchodziła do stołu. Kwiatki coraz bardziej przypominały białawe, smętnie zwisające robaczki. Zaciągała się ich wonią, ale wydawała się jej coraz słabsza, coraz zimniejsza.

Wieczorem babcia mówiła: „Czuć trupem”, i wynosiła bukiet na śmietnik.

Widok z okna. Trzepak

Stał pod czeremchą. Niepotrzebny, dopóki ktoś nie powiesił na nim pstrego chodnika lub wytartego dywanu. Niewidoczny, dopóki ktoś nie zawisł na nim głową w dół.

Tego dnia Isia obudziła się wcześniej. Babci jednak i tak już nie było. Zimnymi stópkami pobiegła do okna. Nie odsłoniła firanki. Wspięła się jedynie na paluszki, żeby lepiej widzieć. Na trzepaku wisiał powieszony na sznurku jej kot.

– Zesrał się. – Śmiali się chłopcy. – Naprawdę się zesrał.

Widok z okna. Balkon. Dawniej niż wtedy

Jest historią babci. Babcia, jak nie śpiewała, to opowiadała.

Isia widziała ten balkon codziennie z kuchni i z pokoju. Wychodził na podwórko, tuż nad wejściową bramą. Należał

do mieszkania na pierwszym piętrze, a mieszkanie należało do rodziny Góreckich. Pani Górecka miała syna Maciusia i córkę Helenkę. Nosiła ciemne włosy, gładko upięte z tyłu głowy. W niczym nie przypominała rozczochranych, spoczonych mam innych dzieci. Nigdy nie krzyczała, mówiła wysokim, melodyjnym głosem. Pana Góreckiego nikt nigdy nie widział.

Maciuś był chłopcem wysokim, bladawym. Poruszał się wolno na patykowatych nogach. Nosił śmieszne marynarskie ubranka i wysokie podkolanówki. Helenka była jego przeciwieństwem – żywa, ruchliwa, z ciemnymi kręconymi włosami.

Maciuś nie miał łatwego życia. Chłopcy ciągnęli go za ubranie, podstawiali nogę, Bóg jeden wie, co tam z nim jeszcze robili. Jednak największą osobliwością były jego kupy.

– Ty, patrz, jakie białe! Widziałeś kiedy coś takiego?

– Nigdy. Nikt tak nie sra – mówili z zachwytem, przyglądając się białawym stożkom.

– A w środku?

– Co w środku?

– No też białe?

– No co ty?! Będziesz grzebał?

– A grzebnę parę razy. . . – I już rozgarniał patykiem kupę.

– Biała, cała biała – dziwił się. – I nie śmierdzi.

– No. Sra jak anioł. – Śmiali się i biegli dalej do swoich zajęć.

Przybiegały dziewczyny i też dziwiły się niezwykłemu zjawisku. Maciek nawet trochę zyskiwał w ich oczach – taki błądy i robi takie jasne kupy. Rzeczywiście jak anioł.

Helenka wpadła pod samochód. Nikt nigdy nie słyszał krzyku pani Góreckiej. Aż do tej pory.

MARIA KASZKIEL

– długodystansowiec (feminatyw – długodystansowczyni?): polonistka – 11 lat z przerwami i zmianami uczelni, polonistka – 37 lat w jednej szkole, emerytura – oby równie długo. Lubi słowo pisane i mówione, podróże małe i duże, góry w każdej postaci, z przewagą Tatr. Marzy o przejściu Orlej Perci – etapami (niektóre już zaliczone). Nie lubi nachalnego dydaktyzmu w pisaniu dla dzieci. Opowiadajki wzięły się z wieczornych: „Babciu, opowiedz coś”.



Martyna Kwaśniewska / PLSP w Supraślu

Jean Anglemont

JE M'ASSOIS MÊME MON VISAGE^I...

– Z BEAUX-JEUNESSES^{II} CHER MONSIEUR J. HEURTEBISE^{III} –

--

– ARTISTE – ÉCRIVAIN – POÈTE – ANGE^{IV} –

– AILES – GARDIEN^V –

– JEUNESSE – RÊVE – DÉBUT – SCÈNE^{VI} –

--

przyszło ci zostać *le saint Ange*^{VII} świętym wśród *poètes-français*^{VIII}

--

choć dopiero coś wiosnę dziewiętnastą byłeś ukończyłeś
to
czas jak delficka wyrocznia był ci takie słowa do ucha wyszeptał

*będziesz się chłopcze uczył fachu co się poetyckim fachem zowie
do ręki lewej wetknął ci piórko w ciemnym tuszu umoczone byś nim poematy swe pierwsze układał
niczym dziecię na lekcji języków
co choć mowy tej przedziwnej w zgrzyty i szelesty obfitej nie rozumie
to już mu każą pierwsze sylaby z liter niedbale w powietrzu nakreślonych składać
do prawej zaś dał ci kaganek płonący byś sobie drogę wśród mroków oświetlał
i na ziemię paryską na bruki paryskie pchnął
byś tego fachu jakże pięknego jakże wspaniałego się wreszcie wyuczył*

--

siedzisz więc mon Ange *le poète*^{IX} *le saint*^X zaledwie dziewiętnastoletni
z piórkiem w dwu palcach
i
piszesz co ci dyktują

*jak epiforą antyteza nowoczesności czystej
oksymoronem cichnącym tercety epitetów
anafory uniwersalizm*

przerzutnia

i

dalej
metaforą
do pierwszej strofy ukończonej

a

od
średniówki
przez
wers trzeci
wesola
niedokładność
rymowana

a

znów czterowersz
i w górę aleksandrynem od nowa
la Philoméla na nutę post-Mendèsowską^{XI}

--

dopóki
czuwa nad tobą *le vieil artiste*^{XII} jak skrzydlaty anioł-profesor

dopóki
w milczeniu szarpie brodę

i

prowadzi
za rękę
przez gęste lasy pochylonych nad papierem białym wiązanek jak z Gautiera^{XIII} wyrwanych

dopóty
rym czysty i brzmieniem szlachetnym strojny

--

czasem urwie się ta platanina liter o kroju lekkim zwieńczonym spiralami
liter co ogonkami jak świeże wiśnie złączone

a

wtedy ci oczy szklistą mgielką zachodzą

rzucasz piórko
 lecz wtedy odzywa się czułością szczerą gdzieś w raju niebiańskim duch artysty umarłego
 twój stróż stróż *jeunes-poètes*^{XIV}

*przyjdzie kiedyś taki rok a będziesz potrafił dźwięki najczystsze wydobyć z łatwością godną
 największego z mistrzów
 tak jak malarz który nawet gdyby mu oczy jak Temidzie przepaską obwiązać
 wybrałby takie barwy co Tycjanom Rubensom i Botticellim za pociechę posłużą
 tylko że jemu paletą będzie sękami pokryta
 deska sosnowa ochrą szkarłatem turkusem w twórczym szale uniesień zachlapana
 a tobie paletą nie będzie nic prócz papieru*

--

w zaciszu paryskiego przybytku wśród porzuconych ławek krzeseł o oparciach złamanych
 przy na rdzą porośnięte sztaby grubego żelaza zamkniętych drzwiach
 tak by nikt ci generalnej próby wraz z marzeniem młodzieńczym uroczym nie spłoszył
 siedzisz na stolku z bukowego drewna
 palcami krótkimi do tego szeregu kart białych i słów czarnych ledwo dosięgając
 ty Ange *le beau*^{XV}
 ty mały poeto co ci dopiero dziewiętnasta wiosna iść zaczęła
 jak wielki mistrz w największą światową elegancję z niewinną młodzieńczą dumą ubrany
 biała koszula kołnierzyk od krochmalu i od strachu tak sztywny
 na palcu gdzieś pobłyskuje rubin zagubiony
 pod szyją kokarda ogromna ciemną zielenią się mieni
 tak się wystroiłeś *mon Ange*^{XVI} *mon fleur des jeunesses*^{XVII}
 na *première matinée* ku czci własnego dziewiętnastolecia^{XVIII}

--

inny by się tak nawet dla Muzy i dla Apollina nie wystroił

--

siedzisz
 nawet twarzy nie zwracając
 ku szeregom
 les *vieux-artistes*^{XIX}
 i jaśnie panów-profesorów
 zadumanych a w dłonie z przeogromną werwą tak zgodnie klaszczących
 i takie dziwy ci głosem jednym a zgodnym prawiających

*będzie z ciebie
 mistrz*

siedzisz

i choć lęk i niepewność ogromna tak ci powieki zalewają
 że słów byś prawie nie widział
 a w gardle narasta ta jakże twarda gula przerażenia

piszesz

piszesz z wystraszonych sylab złożony pierwszy przez siebie ułożony poemat młodego uroku

--

i nawet nie przyjdzie ci pomyśleć wśród pierwszych paryskich wierszyków
 dziewiętnastoletniej niepewności

że poprowadzą cię kręte ścieżki kariery ku scenom
 wpraw

wszech-francuskim

lecz z czasem nowojorskim londyńskim ku rzymskim ruinom i kanałom weneckim

a słuchacze ilekroć tylko pan Heurtebise na salonach się pojawi

i strofy z *bonnes-esperances*^{XX} odczytać im zechce

będą słać mu pod nogi z białych różowych i rumieńcem oblanych różyczek bukieciki wiązane

i że przyjdzie ci dłoń własną odcisnąć jak pieczęć

na akcie urodzin *la poésie nouvelle*^{XXI}

tę dłoń w tuszu umoczoną

między Mendèsów Gide'ów Radiguetów Desbordesów Khillów Maraisów i Dermitów włożyć^{XXII}

ale

jeszcze

nie dziś

mais

pas aujourd'hui^{XXIII}

pas aujourd'hui

--

Sylwetka bohatera powyższego utworu – tj. Monsieur Heurtebise –
 choć stanowiąca postać fikcyjną –
 odnosi się do postaci rzeczywistej – tj. Jeana Cocteau (1889–1963).
 Ewentualne nieścisłości fragmentów ww. utworu
 z biografią Jeana Cocteau
 powstały wyłącznie na potrzebę utworów,
 a sama treść ww. utworu
 nie ma i nie powinna mieć charakteru ściśle biograficznego.
 Pozostali bohaterowie utworu –
 o ile nie zaznaczono inaczej –

są w pełni postaciami fikcyjnymi.
 Ewentualna zbieżność z postaciami lub zdarzeniami autentycznymi
 jest przypadkowa i niezamierzona.
 Wszelkie podobieństwo do innych postaci, miejsc lub zdarzeń rzeczywistych
 jest przypadkowe i niezamierzone.

-
- I **Je m'assois même mon visage... (fr.)** – tu: Zasiadam z twarzą zwróconą ku sobie...
- II **beaux-jeunesses (fr.)** – dosłownie: piękna młodość: Anglemont zastosował wobec określenia tego charakterystyczny dla jego późniejszej twórczości poetyckiej zabieg nadawania rzeczownikom abstrakcyjnym, nazwom uczuć (rzadziej również stanów fizycznych lub procesów umysłowych) i terminom z zakresu chronologii form liczby mnogiej, zazwyczaj sprzecznych z zasadami gramatyki francuskiej; dopiskiem z *beaux-jeunesses cher monsieur J. Heurtebise* młody autor opatrywał wszystkie poświęcone ulubionemu bohaterowi teksty, których akcja rozgrywała się w latach 1908–1919, tj. w okresie pokrywającym się bezpośrednio z oficjalnym debiutem literackim Jeana Cocteau i pierwszymi latami jego aktywności w środowisku artystycznym. Na kartach zaliczanych do tego cyklu utworów (w większości wierszowanych) pan Heurtebise ukazywany jest zazwyczaj pod postacią obdarzonego wyjątkową wrażliwością i ponadprzeciętnym talentem literackim, zafascynowanego światem paryskiej bohemy początkującego twórcy, stale dążącego do odnalezienia własnego miejsca w otaczającym go, stale rozwijającym się świecie. Zob. przypis III.
- III **cher monsieur J. Heurtebise (fr.)** – drogi/kochany pan Heurtebise.
- IV **artiste-écrivain-poète-ange (fr.)** – dosłownie: *artysta, pisarz, poeta, anioł*. Tak zwane *motywy*, tj. dłuższe sekwencje wyrazów w języku francuskim, połączonych ze sobą myślnikami, zapisywanych wyłącznie wielkimi literami. Jest to zabiegiem obecnym w prawie każdym utworze z cyklu „Monsieur Heurtebise et ses contes”, najczęściej ma na celu zapoznanie czytelnika z przewodnimi motywami konkretnego tekstu.
- V **ails-gardien (fr.)** – dosłownie: *skrzydła, stróż*.
- VI **jeunesse-rêve-début-scène (fr.)** – dosłownie: *młodość, sen, debiut, scena*.
- VII **le saint Ange (fr.)** – święty Ange.
- VIII **poètes-français (fr.)** – dosłownie: *poeci francuscy*; tu: przedstawiciele najmłodszego pokolenia pisarzy i poetów francuskich, rówieśnicy pana Heurtebise, urodzeni nie później niż w 1891 roku, lecz nie wcześniej niż w II połowie lat 80. XIX wieku. Sam Jean Cocteau przyszedł na świat w lipcu 1889 roku; Anglemont w swojej twórczości przyjmował datę narodzin ulubionego artysty za „oficjalny” dzień urodzin pana Heurtebise. Z postaci autentycznych do pokolenia tego można zaliczyć m.in. Maurice’a Rostanda, Pierre’a Reverdy’ego, z twórców powiązanych z dziedzinaми sztuki innymi niż literatura – Chaïma Soutine’a, Marcela Duchampa, Marca Chagalla.
- IX **le poète (fr.)** – poeta.
- X **le saint (fr.)** – święty; zob. przypis VII.
- XI **la Philomèla na nutę post-Mendèsowską (fr.)** – **Catulle Mendès** (1841–1909), francuski poeta, dramaturg i powieściopisarz, przedstawiciel ruchu parnasistowskiego. Obecnie znany przede wszystkim jako autor opublikowanego po raz pierwszy w 1863 roku zbioru wierszy „Philomèla” oraz sztuki teatralnej „Justice”, interpretowanej przez większość współczesnych artyście krytyków jako pochwała samobójstwa.
- XII **le vieil artiste (fr.)** – stary artysta.
- XIII (...) **gęste lasy (...)** **wiązanek jak z Gautiera wyrwanych** – **Théophile Gautier** (1811–1872), francuski pisarz, poeta, dramaturg, krytyk literacki i krytyk sztuki, przedstawiciel epoki romantyzmu w literaturze francuskiej, przez część krytyków uznawany również za prekursora parnasizmu. Autor licznych utworów prozatorskich i poetyckich, często utrzymywanych w charakterystycznej groteskowej konwencji; błędnie uznawany za twórcę hasła

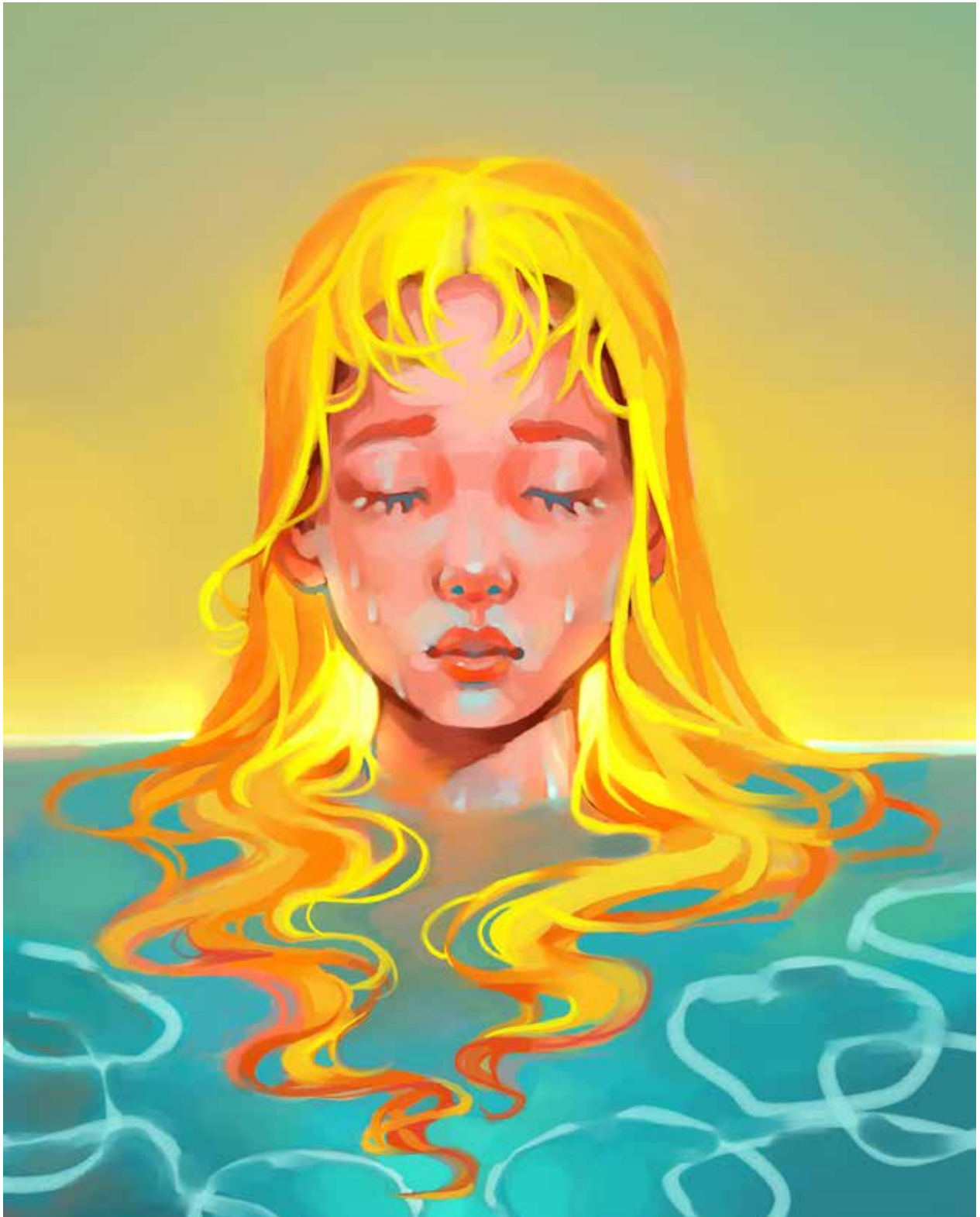
„sztuka dla sztuki” (art pour l’art), w rzeczywistości wywodzącego się z przedmowy do opublikowanej w 1836 roku powieści Victora Cousina „Panna de Maupin”, przez Gautiera jedynie rozpowszechnionego w kulturze i sztuce XIX wieku.

- XIV **jeunes-poètes (fr.)** – dosłownie: młodzi poeci; najmłodszy, w większości mający za sobą wyłącznie nieoficjalny debiut przedstawiciele paryskiego środowiska literackiego, w chwili rozpoczęcia akcji utworu mający nie więcej niż 35 lat. Zob. przypis VIII.
- XV **le beau (fr.)** – piękny.
- XVI **mon Ange (fr.)** – mój Ange.
- XVII **mon fleur des jeunesses (fr.)** – mój kwiat młodości.
- XVIII **première matinée ku czci własnego dziewiętnastolecia – première matinée (fr.)**, dosłownie: pierwszy poranek [poetycki]; Anglemont poprzez metaforę pana Heurtebise piszącego, a następnie odczytującego swój wiersz w obecności starszych kolegów i krytyków literackich przywołuje uzupełniony o elementy fikcyjne obraz nieoficjalnego debiutu Jeana Cocteau jako poety, przypadający – zgodnie z datą podawaną przez większość współczesnych źródeł – na wiosnę 1908 roku. W okresie tym do środowiska artystycznego nastoletniego twórce wprowadzała przede wszystkim matka – Eugène Lecomte – oraz zaprzyjaźniony dramaturg Édouard de Max, który jako pierwszy zdawał się zwrócić szczególną uwagę na charakterystyczny styl wyróżniający pierwsze utwory autorstwa początkującego artysty, którego dorobek obejmował wówczas wyłącznie krótsze formy poetyckie. 4 kwietnia 1908 roku na deskach paryskiego Théâtre Femina zorganizowany został tzw. poranek poetycki (*matinée poétique*), mający stanowić formę zaprezentowania niespełna 19-letniego Cocteau na arenie lokalnej. Występ młodego poety, poprzedzony krótką przedmową autorstwa Laurenta Tailhade’a, spotkał się ze szczególnym uznaniem ze strony stosunkowo szerokiej publiczności, złożonej w większości z ważniejszych osobowości ze świata kultury i sztuki akademickim. Nie mniejszą popularnością postać nastoletniego literata cieszyła się również w środowisku awanturniczym. W połowie maja 1908 roku Cocteau na stałe dołączył do grona członków wybranych paryskich salonów literackich; niecałe dwa miesiące później publikacji doczekał się wiersz zatytułowany „Les Façades”, stanowiący pierwszy w dorobku 18-letniego wówczas autora tekst wydrukowany w prasie. Utwór ukazał się na łamach lipcowego numeru „Je sais tout” – wydawanego od 1905 roku miesięcznika o tematyce popularnonaukowej. Przed ukończeniem dwudziestego piątego roku życia Cocteau zdążył opublikować łącznie trzy tomiki poezji: w lutym 1909 roku do sprzedaży trafiły pierwsze egzemplarze „Lampy Aladyna” („La Lampe d’Aladdin”); w maju 1910 roku w formie książkowej ukazał się „Frywolny książę” („Le Prince frivole”), a w czerwcu 1912 roku – „Le Danse du Sophocles”, początkowo chłodno przyjęty przez krytykę, doceniony dopiero przez członków Académie Française. Pasma licznych sukcesów, osiągniętych w stosunkowo młodym wieku, otwierało przed początkującym twórcą drzwi do świata szeroko pojętej sztuki – także dziedzin innych niż poezja, której poświęcał się do końca życia – jednocześnie umożliwiając mu stopniowe podjęcie współpracy ze środowiskiem literackim i artystycznym. Poeta obracał się wśród paryskiej bohemy od około 1910 roku, spotykając się z zasłużonym uznaniem ze strony większości jej przedstawicieli. Krąg zawieranych przez siebie nowych, zwykle owocnych znajomości, stale rozszerzał o wybitniejsze osobowości ze świata malarstwa, literatury, muzyki czy mody. W okresie tym do grona najbliższych przyjaciół „frywolnego księcia” – jak żartobliwie nazywano Cocteau w środowisku artystycznym – zaliczano m.in. Marcela Prousta czy Coco Chanel; w późniejszych latach dołączyli do niego m.in. Guillaume Apollinaire, Reynaldo Hahn, Georges Auric, André Lhote czy Erik Satie. Bliskie stosunki poeta utrzymywał również z Maurice’em Rostandem, synem Edmonda Rostanda, również pisarza, oraz z Lucienem i Marie-Thérèse Daudetami, a także ze starszą od niego o 13 lat Madeleine Carlier, prowadzącą cieszącą się szczególną popularnością salon literacki, do którego miał zostać wprowadzony przez starszych kolegów, w tajemnicy przed matką, negatywnie nastawioną wobec zakochanej w młodym pisarzu aktorki. Kwestię dyskusyjną stanowił z kolei charakter relacji Cocteau z malarzem i rzeźbiarzem Amedeo Modiglianem. W swojej twórczości Anglemont podzielił działalność artystyczną pana Heurtebise na łącznie sześć okresów, odpowiadających poszczególnym etapom życia Cocteau jako rzeczywistego pierwowzoru bohatera, nie uwzględniając jednak wszelkich zdarzeń poprzedzających oficjalny debiut poety w środowisku artystycznym, tj. publikacji, pierwszego książkowego wydania „Lampy Aladyna”; każdy z okresów tych rozpoczynał się wybranym ważniejszym wydarzeniem ze sfery działalności literackiej lub prywatnego życia „frywolnego księcia”: konsekwentnie: **1909–1919** – od pierwszego wydanego zbioru wierszy i wprowadzenia do momentu zawarcia znajomości z Raymondem Radiguetem; **1919–1923** – związek z Raymondem Radiguetem, początek działalności w zawodzie dramaturga; **1923–1937** – od śmierci Radigueta do momentu zawarcia znajomości z Jeanem Maraisem; **1937–1947** – pierwsze lata związku z Jeanem Maraisem, szczyt działalności w zawodach dramaturga i reżysera filmowego; **1947–1949** – zawarcie znajomości z Édouardem Dermitem; **1949–1963** – ostatnie 14 lat życia artysty.

- XIX **les vieux-artistes (fr.)** – dosłownie: starzy artyści; tu: najstarsi żyjący przedstawiciele paryskiej cyganerii artystycznej, urodzeni w latach 20. i 30. XIX wieku.
- XX **strofy z bonnes-esperances – bonnes esperances (fr.)**, dosłownie: dobre nadzieje; Anglemont nieświadomie nawiązuje tu do twórczości Jeana Cocteau. „Le Cap de Bonne-Espérance” to tytuł piątego tomiku poezji w dorobku artysty. Pierwsze książkowe egzemplarze dzieła wydrukowane zostały w grudniu 1918 roku; do sprzedaży trafiły jednak z ponad miesięcznym opóźnieniem, poprzedzając tym samym publikację „Ode à Picasso”, będącą – pod względem chronologii zamieszczonych na łamach zbioru wierszy – dziełem wcześniejszym, datowanym przez autora na przełom 1917 i 1918 roku. Równoległe z nowo opublikowanym tomikiem ukazał się również cykl krótkich szkiców poświęconych baletowi i muzyce, opatrzonych wspólnym tytułem „Kogut i arlekin. Zapiski wokół muzyki” („Le Coq et l’Arlequin”), stanowiących drugą – po wydanych pięć lat wcześniej „Notes sur les ballets” – dłuższą pracę o charakterze krytycznym lub krytyczno-literackim w dorobku literackim młodego poety.
- XXI **la poésie nouvelle (fr.)** – dosłownie: nowa poezja.
- XXII **między Mendèsów Gide’ów Radiguetów Desbordesów Khillów Maraisów i Dermitów włożyć** – Anglemont wspomina tu kilka postaci kluczowych dla kształtowania się sylwetki Jeana Cocteau jako artysty wszechstronnego, będących, odpowiednio, jego bliskimi znajomymi z okresu przynależności do paryskiego środowiska literackiego, współpracownikami lub partnerami. **Catulle Mendès (1841–1909)**, powieściopisarz, poeta, dramaturg, przedstawiciel parnasizmu; **André Gide (1869–1951)**, prozaik, laureat Nagrody Nobla w dziedzinie literatury (1947); **Raymond Radiguet (1903–1923)**, pisarz i dziennikarz, zmarły w wieku zaledwie 20 lat, współcześnie znany wyłącznie jako autor powieści „Le Diable au corps”, w Polsce wydawanej pod tytułami „Diabeł wcielony” i „Opętanie”, w utworach Anglemonta przywoływany zwykle w kontekście jego przedwczesnej śmierci; **Jean Desbordes (1906–1944)**, powieściopisarz i poeta, członek służb wywiadowczych lokalnej sieci piechoty morskiej; **Marcel Khill (1912–1940)**, reżyser filmowy, zginął wskutek prowadzonych na froncie alzackim działań wojennych; **Jean Marais (1913–1998)**, aktor filmowy i teatralny, pisarz i malarz, bliski przyjaciel i późniejszy kochanek Cocteau, pierwowzór pojawiającej się w późniejszych utworach Anglemonta postaci aktora Jeannota M***; **Édouard Dermit (1925–1995)**, aktor filmowy i malarz, odtwórca ról pierwszo- i drugoplanowych we wszystkich filmach Cocteau nakręconych po 1948 roku.
- XXIII **mais/pas aujourd’hui (fr.)** – ale nie dzisiaj.

JEAN ANGLEMONT (UR. 2002)

– początkujący twórca, autor utworów w języku polskim i francuskim, fascynat poezji m.in. Cocteau i Baudelaire’a, które są dla niego niewyczerpanym źródłem inspiracji.



Ernest Chmielewski / PLSP w Supraślu

Wracz

– z **Anną Wanik** i **Martinem Ryšavým** kontynuujemy rozmowę

II. Wschód

PJ: Tak, źle zadałem poprzednie pytanie. **Bo on (Gusiew, Utkin) po prostu jest według mnie wielkim słuchaczem, a to, o czym słuchał całe swoje życie, to była Rosja. Co za Rosja leży za naszymi granicami?**

AW: Przed *Wraczem* Rosja była dla mnie zbiorem pewnych stereotypów, ale też cudownej, zamaszystej literatury, która w dużej mierze mnie ukształtowała. Z drugiej strony nie byłam jakoś mocno zanurzona w tej kulturze, miałam oczywiście wielkie marzenie, żeby pojechać koleją transsyberyjską aż do Pekinu albo chociaż do Władywostoku, gdzie poznali się moi pradziadkowie, więc to romantyczne wyobrażenie o Rosji gdzieś w sobie noszę. Z drugiej strony epizod łagrów, przemocy i wywózki na Sybir też nie ominął naszej rodziny. Krótko mówiąc, miałam bardzo stereotypowe myślenie i nawet nieszczególnie zamierzałam je zmieniać, bo głównie jednak zajmuję się literaturą czeską. We *Wraczu* nie ujęła mnie jednak Rosja, tylko teatr i pewien pomysł na życie, który oczywiście nie gwarantuje żadnych pieniędzy, ale nadaje mu prawdziwy sens. Tym sensem jest sztuka, umiejętność oddzielenia misji od wykonywanej pracy, za co zwykle płaci się niskim komfortem życia. Gusiew w swojej opowieści dobrze pokazuje absurd, w jakich żyją i żyli Rosjanie. Nawet kiedy mówi o jakimś poluzowaniu, politycznym oddechu, to dla mnie, czyli dla osoby całe życie żyjącej w systemie demokratycznym, wszystko, co on opisuje, i tak jest ogromnym zniewoleniem. Tylko jak tu mówić i współczuć społeczeństwu, którego przywódca właśnie rozpętał wojnę i bestialsko morduje swoich sąsiadów? Przekład *Wracza* był gotowy na dwa lata przed wojną, potem była pandemia i kolejki do drukarni. Czyli książka, która czekała tyle lat na polskie wydanie, wychodzi chyba w najgorszym momencie, kiedy cały świat oczekuje, że może wreszcie to rosyjskie społeczeństwo wyjdzie na ulice i zrobi jakiś przewrót, cokolwiek. Tymczasem wojna wprowadziła

zero-jedynkowe myślenie, obudziła nasze dawne obawy, odwieczny strach i niechęć wobec Rosji, ale właśnie dlatego, że *Wracz* w taki, a nie inny sposób pokazuje rosyjskie społeczeństwo, uważam, że warto się temu przyjrzeć, bo to obraz prezentowany przez Rosjanina obcokrajowcowi, Czechowi, który nas wprowadza w ten świat po swojemu. Dużo dzięki tej opowieści zrozumiałam, w ciekawy sposób opowiada o okrucieństwie Rosjan w stosunku do samych siebie. Ta książka ma kilka poziomów i jeśli ktoś zatrzymuje się tylko na tym najbardziej oczywistym, rosyjskim, wiele straci, bo to tak naprawdę bardzo pogłębiony wykład o mitach, teatrze, poszukiwaniu duchowości i życiu w bardzo specyficznych warunkach.

PJ: **Martinie, witaj na Podlasiu! Powiedz: gdzie zaczyna się twój Wschód? Może, zamiast kreślenia linii granicznych, pokaż jakieś miejsce, ideę, z którego, z której spoglądając, wiesz, że jesteś na Wschodzie.**

Martin Ryšavý: Tylko w ludzkich wyobrażeniach istnieją ostro zarysowane granice, limity lub linie. We wszystkim, co w przyrodzie wydaje się człowiekowi ostro oddzielone, przy bliższym, dokładniejszym oglądzie okazuje się, że przebiegająca granica nie jest cienką linią, lecz pasmem, obszarem, który ma pewną szerokość i strukturę, zauważalną, kiedy próbujemy „przejść”, czyli przekroczyć granicę pomiędzy dwoma obszarami. W taki sam sposób patrzę na świat ludzki. W miejscu ustalonego, danego początku dostrzegam raczej pewien gradient znaków i zjawisk. To mniej więcej płynnie narastające poczucie, że już nie jestem tutaj, lecz bardziej tam. I nie jest to żadna zmiana skokowa. Mimo to nie można ignorować powtarzalnego doświadczenia przekraczania granic już istniejących struktur państwowych. Pamiętam, że do momentu, kiedy jeszcze jeździłem na Wschód pociągiem, początek Wschodu wyznaczał moment wymiany wózków wagonowych. Pociąg, który opuszczał europejskie tory, przechodził

na szersze, ukraińskie, czy odpowiednio, rosyjskie tory, musiał w tym miejscu bardzo długo stać. Człowiek, pasażer, chcąc nie chcąc, musiał tę sytuację odbierać jako przejście z jednego świata do drugiego.

PJ: Ostro zarysowane granice oczywiście tylko mogą zaistnieć, co myślę, kiedy słucham Gusiewa. Mogą, bo pokusiłbym się o stwierdzenie, że Ryśavý w książce tych granic, limitów i linii nie traktuje w sposób dosłowny i jednoznaczny. Każdy właściwie wątek jest natchnioną wizją. Jeśli to „prawda”, to ile w tym pracy autorskiej, a ile samego Gusiewa/Utkina? Pytam więc już wprost: czy były (i czy było ich dużo) autorskie ingerencje mające podkreślić wyobrażenia Ryśavego na temat Rosji, literatury, w tym – teatru, *Wraczu*?

MR: To zachowam dla siebie. Nie mam ochoty wyliczać, co skąd wzięłam, ukradłem, a ile sam wymyśliłem. Przede wszystkim muszę podkreślić jedną rzecz: bardzo istotną składową mojej pracy z danym źródłem jest również to, co z niego usuwam, ile przemilczam lub czego nie wpuszczam do gry oraz jak zmieniam to, co wybrzmiewa. Mówienie więc wyłącznie o tym, co już jest częścią tekstu i treścią książki, nie ma sensu. Wszystko, co zostało usunięte i nie było wykorzystane, ma niemałe znaczenie w kompozycji książki, choć oczywiście czytelnik nie może sobie tego uświadomić. Portret człowieka, który przeziiera przez tekst, nie jest obrazem fotograficznym, to czysta fikcja. Wiem o kilku osobach, które miały możliwość przeczytania książki, a następnie osobiście poznały człowieka, który był dla mnie inspiracją. U wszystkich wywołało to pewien szok, z którego trudno było się otrząsnąć. Mimo to ten człowiek ma wiele wspólnego z głównym bohaterem powieści.

PJ: Coś więc z Rosji Gusiewa nie znalazło się we *Wraczu*, a cię męczy, nie daje ci spokoju? I czy ostatni,

wojenny rok podsunął tematy, czy wątki niesłusznie, powiedziałbyś, pominięte?

MR: Kilka spraw związanych z Gusiewem, których nie ma we *Wraczu*, umieściłem w mojej kolejnej książce o rosyjskiej tematyce, zatytułowanej *Tundra i śmierć*. Myślę, że dziś, nawet bez Gusiewa, na wiele kwestii rosyjskich patrzę jego oczami. Gusiew to przede wszystkim pewien punkt widzenia, którego raczej trudno byłoby mi się pozbyć. Najbardziej ubolewam nad tym, że człowiek, mój kolega, który był pierwowzorem Gusiewa, już nie żyje. Umarł przed wybuchem wojny i niestety nie może skomentować aktualnych wydarzeń. Nie potrafię odgadnąć, na ile wojna może wpłynąć na sposób odczytania mojej książki. Mocno wierzę w to, że jej sens nie polega na komentowaniu teraźniejszej, rosyjskiej rzeczywistości, choć mam świadomość, że w obecnej sytuacji trudno tego uniknąć. Jedna rzecz jest pewna: wojna rozpoczęła pewną nową epokę w Europie, a tym samym moja książka stała się książką z poprzedniej epoki. Ucieszyłoby mnie, gdyby dzięki temu to, co w książce jest ponadczasowe, stało się wyraźniejsze.

AW: Czy możesz wskazać odpowiednik Gusiewa w rosyjskiej literaturze?

MR: Gusiew z pewnością posiada cały zespół cech, które upodobniają go do postaci tzw. лишнего человека (*liszniego człowieka*) z klasycznej literatury rosyjskiej. Wydaje mi się, że na czeski tłumaczymy to jako „zbędnego człowieka”, czyli bohatera, który nie spełnił oczekiwań, jego życie bezużytecznie przeleciało, on sam zmarnował swój talent, kapitał i okazje w życiu. Są to przykładowo: Obłomow, Oniegin, wujaszek Wania Czechowa, Klim Samgin Gorkiego, Wienia z pijackiej epepei *Moskwa-Pietuszki*. Ludzie, których życie w znacznym stopniu minęło, choć mieli sporo okazji, żeby czegoś sensownego dokonać. Nie są to jednak postaci jednoznacznie żalodne czy koniecznie negatywne, jednym

z powodów ich porażki jest zbyt duża wrażliwość i niezdolność do praktycznej i użytecznej redukcji życiowych alternatyw. Może nie umieją postępować w sposób zdecydowany, ale potrafią też porządnie i głęboko śnić.

AW: A w czeskiej? Twój sposób narracji bywa porównywany do hrabalowskiego.

MR: Porównanie do Hrabala jest zrozumiałe, ponieważ wielu z jego bohaterów to również namiętni opowiadacze. Pabitele Hrabala są jednak w swych opowieściach hedonistyczni, to ludzie zafascynowani życiem i kochający je. Moi bohaterowie tej lekkości (jak dotąd) nie mają, ich opowieść jest raczej walką ze światem niż wyrazem upojenia. Jednak obsesję na punkcie mówienia, wyrażania świata, mają wspólną.

MR: Piotrze, pamiętam, że część moich dawnych, jeszcze dziecięcych snów, była rosyjska. Odbieram to jako przejaw głębokiej, fundamentalnej perwersji ludzkiego śnienia. Masz podobne doświadczenie?

PJ: Jest ciekawa teoria. Wedle niej, jeśli jacyś ludzie w Rosji porządnie i głęboko śnią, ludzie w innych zakątkach świata będą śnili bardziej, hmm, ofensywnie, to znaczy ich sny będą bogatsze o doświadczenia senne Rosjan. Tak jak śnimy bogatsze, ptasie sny czy sny rybie, bo wszechświatowa szeptanina aktywuje jakiegokolwiek zakątki pola i trąca jakiegokolwiek anteny (w tym naszych mózgów). No ale nie chciałbym mieć jakoś zbyt natarczywych w odmienności wniosków. Jeśli jednak chodzi o perwersję śnienia, to jestem na jawie jak najbardziej zadowolony z tej jego własności. Ale też jest i tak, że ludzie nie tylko różnie śnią, ale i niektórym w ogóle niedostępne są pewne zjawiska senne zaobserwowane przez innych. Ja rosyjskich snów nie tyle nie śniłem, co nie nazywałem ich rosyjskimi. Do czasu: dzięki tobie wiele się zmieniło, bo i za tym byłbym, żeby to całe programowanie neurolingwistyczne nie zatrzymało się na granicach sztucznie przez nas stawianych.

Możemy to zresztą sprawdzić. Co śnisz ty, Aniu?

AW: Ostatnio śnią mi się ciągi cyfr. Pewnie dlatego, że niedawno zaczęłam pracę w całkiem obcej dla mnie branży. Te numery przelatują gdzieś nad moją głową i potem pod skosem wchodzą w ścianę i w niej znikają. Zresztą nawet jak sięgam pamięcią w przeszłość, zwykle śnią mi się absurdy, często uciekam przez jakieś pole, wysoko porośnięte chwastami. Lubię z kolei wprowadzać się w stan snu, czyli udaję, że śnię.

PJ: Powieść *Wracz kończy baśń o papugach*. Jedna – gwiazda, umie wszystko i robi niestworzone rzeczy, nie kosztuje wiele. Trzeba jej tylko dokupić papugę z kąta, która nie mówi, nie skacze, jednym słowem: nie gra. Ale jest przy okazji pięćdziesiąt razy droższa i jest tamtej pierwszej reżyserką. Czyli: jawa i sen?

Czyli tak, czyli nie / bardzo wam dziękuję.

ANNA WANIK

– (1984) – absolwentka filozofii, bohemistka oraz tłumaczka literatury z języka czeskiego. Oprócz powieści Martina Ryšavego przełożyła zbiór esejów Tomáša Kulki *Sztuka a falsyfikat* (Galeria Miejska, 2014), zbiory opowiadań Marka Šindelki: *Zostańcie z nami* (Afera, 2016) i *Mapa Anny* (Afera, 2020), eksperymentalną książkę Ladislava Čumby *Wittgenstein: wiadomo, że...* (Iskry, 2019), powieść dla młodzieży *Transport poza wieczność* Františka Tichego (EMG, 2020) oraz powieść *W szafie* Terezy Semotamovej (Książkowe Klimaty, 2022). Wielbicielka dolnośląskich lasów i gór.



MARTIN RYŠAVÝ

– ur. 1967, absolwent biologii na Uniwersytecie Karola w Pradze oraz scenopisarstwa na Wydziale Filmowym i Telewizyjnym Akademii Sztuk Scenicznych w Pradze (FAMU), obecnie wykłada na tej uczelni scenopisarstwo. Nakręcił ponad dziesięć filmów dokumentalnych, m.in. „Afoňka už nechce pást soby” (2004; nagroda na Międzynarodowym Festiwalu Filmów Dokumentalnych w Jihlavie), „Malupien” (2008), „Slepý Gulliver” (2017). Autor scenariuszy, m.in. do filmów „Lesní chodci” (2003) Ivana Vojnára, „Aljona” (2008) Jaroslava Brabeca. Przychylnosc krytyki literackiej i sympatię czytelników przyniosła mu dwutomowa powieść *Cesty na Sibiř* (2008), a podtrzymał *Wracz* (2011). Obie książki uhonorowano najważniejszą nagrodą literacką w Czechach – Magnesias Litera. Poza działalnością literacką, pedagogiczną i filmową Martin Ryšavý spełnia się muzycznie – jest wokalistą zespołu Bouchací šrouby.



PIOTR JANICKI

– redaktor „Epei”. Jeszcze raz dzień dobry.

Olga Rembienińska

9 wierszy

Wielki las

Garbate mierzeje w krainie Yoknapatawpha,
ogień rozpalony na piasku. Dym tworzy dzwonowatą pajęczynę,
sznurki między drzewami trzepoczą makatkami,
za moment usnę. Przyśnią mi się szczątki słońca.

Bumerang

gdy biały proszek wyszczerzył Siebie uśmiech
meksykańscy naukowcy ogłosili obecność

wszystko płynie
kres jest bliski

Quentin

Długi łańcuch gór, o madre,
do wschodu Słońca cała noc.
Krew nawodni piach wokół Twister.

Zło Setha jest piękne na ekranie,
Los Espiritus, stary.

Bitnikami stajemy się
na bezrobociu.

Wyłącz wyobraźnię w 1kb a utrwalisz podmiot tego wiersza

„Turn off the radio, turn off the bullshit”
DJ Snake & Malaa

The Revolution Will Not Be Televised
Gill Scott-Heron

Uniwersum Simsów oparło się na uśmiercaniu
„bb.moveobjects”: drabinki
[ekran śnieży]

Sim wsparł się ramionami o krawędź
i wyszedł z basenu. Po raz pierwszy dostroił się do 35 Hz.

Na horyzoncie zobaczył ruiny. Pojął, że reżyserka jest pusta.
Chwilę później udał się w kierunku betonowych budynków.
[ekran śnieży]

Meksykańscy naukowcy

Obecność jest ciastem.
Tysiącletnim biszkoptem z kremem.
Połączenie synaptyczne nurkuje w sieć.
Nerwowo-nerwowe sygnały:
UFO meksykańskie, UFO amerykańskie, UFO kanadyjskie.

Czekam na potomków wielkiego bum.
Chcę zjeść ciastko i mieć ciastko.
Chcę przeżyć nadejście osobliwości.
Oszukać HAL-a i założyć białe szaty.
Być jak Gandalf Szary smagany wiatrem na nagiej skale.

Bilet wstępu

Nadchodzi fala globalnych apek
nim okno życia rozpędzi się na dobre

dokonaj wyboru stanu skupienia

Possessive

W SUV-ie splywa nawłóć z prądem szczuje szczeka

przebiega zima w gruczołach: w sutkach ścieka

Niedzielny poranek, słoń, zamek itp.

człowiek przyszłości nazywa mnie
przełomem w kulturze kserokopiarki

„Doin’ it again and again
Get up get up get down tell your friend”

Marcelinka

mrówka okiem infantki to stworzenie pozbawione
mrowiska

przez szkło powiększające widzi
sternity odwłok

OLGA REMBIELIŃSKA

– z wykształcenia jest etnologką. Publikowała m.in. w „Etnografii do kieszeni”, „Babińcu Literackim”, „Szajn” czy „Stonerze Polskim”. Jej wiersze znalazły się w antologiach pisma „Inter” oraz „Babińca Literackiego”. Open format DJ i host radiowy w Rave Fm @djyellowmanula. Jest wielbicelką komputerów retro: ZX Spectrum, C-64 i Amigi. Jej debiutancki tom *Klaster* (Ha!art, 2023) został wydany w ramach Nagrody Krakowa Miasta Literatury UNESCO.



Mateusz Guzy

Powiedzieć „tak”

Świt przeciskał się przez gałązki róży,
kiedy szedłeś na plażę. Chciałeś zobaczyć ranne błyski
na rumianej wodzie. Po drodze minąłeś staruszkę
przewiązującą białym sznurkiem mały krzak papryki.

Ta pozorna praca ludzkich rąk
zachwyciła Cię. Stwierdziłeś, że jest ona dobra.
Nieznacznie, raz czy dwa, zmyliłeś krok
po czym stanąłeś na drobnym białym piasku.

Odbity w załamaniu fali obłok, dryfujący dotąd na horyzoncie,
parł teraz w stronę brzegu, a ty pytałeś
czy w swoim brylkwatym ciele nie przewozi przypadkiem
skradzionych morzu kłębków śnieżnej piany.
Krzyczały rybitwy. Kraby, przeciągając się, sennie
rozczapierały swoje klekoczące szczypce.

Oto było tło, oto było podłoże twojego zwątpienia.
Myślałeś: „Pozbawione sensu jest moje czekanie.
Nagi miecz jasných prawd nie przetnie gordyjskiego węzła,
nie naprostuje dróg. Nie można zawierzyć się marzeniu,
bo nie sposób jest przytaknąć światu, którego jeszcze nie ma.
Na darmo staruszka pielęguje swoje papryczki,
jeśli najważniejszy jest stukot krwi
w jej doczesnych skroniach. On to sprawia,
że może obcować z obłokiem, z falą, z krabem.

Człowiek, myślałeś, to różowy kamyk,
wtrącony nieostrożną stopą do bystrego potoku.
Czeka ujścia, gdzieś na końcu intuicji
pojmując je jako otwartą bramę. Głupiec –
nie domyśla się, że potok zatacza nierozzerwalny krąg.
Jedynie słuszne jest czerpanie radości z rwącego nurtu,
rozmycie się w nim z wszystkimi jego przywarami”.

Z chłodną dezaprobatą, z wymuszonego jakby oddalenia,
stwierdziłeś, że Cię okłamano. Życie dzieje się.
Nie było czasu przygotować twarzy
na ten jeden, najważniejszy raz.

(Może więc zawiniłeś,
oczekując, że doświadczenie zza zasłony liter i lat
będzie Ci dane). Odwróciłeś się. Odszedłeś.

Zadra zwątpienia ciągle jednak tkwi w tobie.
Nawet teraz, gdy spacerujesz po gaju
dojrzałych pomarańczy, do którego
zabrała Cię poznana niedawno kobieta.

Zdecydowanym ruchem podnieść pomarańczę,
nie protestując jednocześnie przeciwko jej upadkowi.
Naraz czuć gruzły na jej twardej skórcie
i podziwiać jej miękką kulistość we wnętrzu dłoni.
Chciałbyś, ale nie umiesz.

– Powiedzieć „tak”
jakie to trudne zadanie.
Niemałże niewykonalne.

MATEUSZ GUZY

– urodzony w 2002 r. Obecnie student Uniwersytetu Warszawskiego. Poezją zainteresowała go matka, nauczycielka języka polskiego. Za swoje wiersze dwukrotnie nagradzany w konkursie poetyckim „GAPA” (Grudniowy Akademicki Przegląd Artystyczny).



foto: prywatne archiwum autora

Anna Dwojnych

4 wiersze

Co po studiach

co ty po tych będziesz kim? będę pasażerem MZK
z biletem który właśnie utracił ważność
maszynką do marnowania finansów publicznych
papierkiem lakmusowym tolerancji libków
niezrealizowanym budżetem obywatelskim
zgaszoną latarnią dziurawym chodnikiem
złodziejem diet pudełkowych z wycieraczek
kanałem brudem ściekiem
wielką pacyficzną plamą śmieci
pyskiem najbrzydszej ryby świata
obsikany śniegiem szczekającym psem
odnożem pająka ukłuciem komara
po tych studiach z moim wykształceniem
będę wormsem ze świętym granatem ręcznym
wymierzonym w siebie

Lewe

„czyli płaci dobrze”, a ja wciąż nie mogę
podjąć decyzji i jak ugryźć ten okrągły
rumiany jak buleczka egzystencjalny dylemat:
nie umiem piec buleczek, zjadam chlebki keto
program ekonomiczny nadaje: ze zlej mąki
kariery nie będzie – niech pan przyjmie ofiarę (i mój
ojciec z tym swoim „bez pracy nie ma kołaczy”).

Prasówka 2023

pierwsza od czterdziestu siedmiu lat
rosyjska misja księżycowa
zakończyła się niepowodzeniem

nie żyje pies Balltze
znany jako Cheems
piesel z memów

reCAPTCHA

udowodnić że nie jest robotem
wyciągnąć wędka rower
ścibolić hydranty
zasuwać po przejściach
spiętrzyć dostawcze
nazbierać osobowe
sygnalizacje świetlne wyniuchać
co do zielonego
wszystkie lub użytkownik
z brakiem dostępu

ANNA DWOJNYCH

– poetka, autorka tekstów o filmach, opowiadań, sztuki teatralnej. Dwukrotna finalistka projektów wydawniczych Biura Literackiego, stypendystka Miasta Torunia w dziedzinie kultury. Publikowała na łamach m.in. „Dwutygodnika”, „biBLioteki” Biura Literackiego, „Blizy”, „Lampy”, „Frazy”, „Elewatora”, „Wakatu”, „Tlenu Literackiego”, „Papieru w Dole”, „Strony Czynnej”, „Zakładu”, „Plaży Ciemni”, „Fragile”. Autorka książek poetyckich *gad gadu* (2011), *Wypadki z przypadkami* (2019), *Nocne zabawy w dużych miastach* (2022).



fol. prywatne archiwum autorki

Agnieszka Rynkowska

3 opowiadania

Ciocia Krysia

Lakier na paznokciach cioci Krysi schnie długo.

Ciągnę pędzelek równo i powoli, ale na kciuku czerwona smuga rozlewa się na skórce przy nasadzie i po raz trzeci sięgam po wacik. Ostry zapach acetonu miesza się z perfumami cioci.

– Sonia, wystarczy – mówi mama i przytrzymuje rękę na moim ramieniu. Odrobinę za długo i za mocno, żeby myśleć, że to tylko prośba. – Naprawdę nie musi być idealnie.

– Idealnie nie. Ale wystarczająco dobrze – upieram się. – Prawda, ciociu? – rzucam w powietrze i tym razem zaczynam od serdecznego palca.

Dłonie cioci są gładkie. Inne niż mamy, siostry bliźniaczki cioci Krysi.

A musi być wystarczająco dobrze, bo ciocia jest ciocią z wielkiego świata.

Ciocia Krysia pracowała w zaopatrzeniu głównego domu handlowego Białegostoku i umiała załatwić wszystko. Koldrę, pralkę, zestaw mebli na wysoki połysk.

Kiedy ciocia wchodziła do naszego mieszkania, mama ruszała się szybciej, trzymała wyżej głowę i uśmiechała się. Nawet jeśli była akurat smutna.

A smutna była często. Prawie zawsze.

Stawałam w progu kuchni i patrzyłam, jak ciocia wyciąga z torebki czerwoną paczkę carmenów. Przez moment bawiła się zapalniczką, a potem zapalała papierosa. Czasem robiła z dymu kółka i puszczała je w otwarte na oścież okno.

Czerwony lakier na paznokciach cioci polyskiwał w świetle lampy i od razu w naszej kuchni, którą mama sprzątała do sterylności, robiło się bardziej kolorowo.

Mama machała ręką, żeby rozgonić dym, ale nigdy nie powiedziała, że jej to przeszkadza. Patrzyła na mnie i ruchem podbródka wskazywała mi drzwi.

Chciałam usiąść przy kuchennym stole i zobaczyć, co takiego robi ciocia Krysia, że mama się uśmiecha. Czekałam na zaproszenie, na ruch ręki mamy.

Ciocia Krysia patrzyła najpierw na mamę, a potem przesuwała wzrok na mnie, jakby czekała, że coś powiem. Jakby czekała na hasło, którego nie znałam. Po chwili wdychała z rozczarowaniem i prosiła, żebym poszła kupić „coś słodkiego do kawy”. Wciskała mi w garść zwitek banknotów. Kiedy próbowałam protestować, lekko popychała mnie w kierunku drzwi.

Zaciskałam usta i szłam do osiedlowej budki. Po drodze liczyłam chodnikowe płytki. Kopałam ze złością kamyki, bo wiedziałam, że omija mnie rozmowa przy kuchennym stole. Kiedy wracałam, mama była już inna. Weselsza.

Kładłam na blacie torebkę niemieckich misiaczków i patrzyłam na ciocię z wyrzutem.

Ciocia puszczała do mnie oko, wybierała tylko żółte żelki i łakomie wkładała do ust kilka naraz.

Z zalem szłam do swojego pokoju, łowiłam szmer ich rozmowy i śmiech mamy. Może gdyby mama nie miała cioci Krysi, to śmiałyby się ze mną.

Na powieki cioci Krysi nakładałam zielony cień. Powoli, bardzo powoli, pociągam tuszem jasne rzęsy. Pojedyncze włoski sklejają się w teatralne kępki. Ciocia lubi tak teatralnie.

– Mnie też pomalujesz? – pyta mama, ale wiem, że po prostu chce, żebym już skończyła. Mama nigdy się nie maluje.

Trzy lata temu, kilka dni po moich dwunastych urodzinach, ciocia przysłała do mnie. Nie do nas, tylko do mnie. W tajemnicy przed moją mamą. Przyniosła ze sobą paku-neczek przewiązany bordową wstążką.

– Przyda ci się, Soniu – powiedziała i usiadła przy kuchennym stole. Potem, tak jak przy mamie, wyciągnęła paczkę carmenów i zapaliła.

Odwiązałam wstążkę i rozchyliłam papier. W środku znalazłam stanik.

Rozłożyłam biustonosz i przejechałam palcami po szorstkich koronkach. Szybko go zawinęłam. Zrobiło mi się gorąco i próbowałam uniknąć wzroku cioci.

Ciocia roześmiała się, wstała i wyjęła mi z ręki paku-niek. Rozwinęła stanik i podała mi go pewnym, spokojnym ruchem.

Powąchałam materiał.

Pachniał fabryką i obcością.

– Zalóż – powiedziała ciocia Krysia.

Kiedy próbowałam rozpiąć haftki, ciocia włożyła papieros w usta i obiema rękoma ściągnęła mi koszulkę przez głowę.

– Pokaż się. – Zmarszczyła brwi. Przez moment patrzyła na mnie i przesunęła moje ramiona do tyłu.

Nigdy jeszcze nie stałam przed kimś taka golutka, a jednak było to naturalne. Jakbym zupełnie nie musiała się tego wstydzić.

– No, biust będziesz miała po nas. Jesteś piękną kobietą – powiedziała ciocia i wypuściła z ust smugę dymu do góry. Pod sam sufit.

Wyprostowałam się.

Teraz też się prostuję.

Kąciki ust cioci Krysi lekko opadają w dół.

– Uśmiechnij się – mówię cicho i słyszę, jak mama wdycha z irytacją.

– Sonia – zaczyna znowu – nie przedłużaj. – A potem nagle zaczyna się śmiać i trąca mnie lekko w ramię. – Krysia nie ma tyle cierpliwości.

– Jeszcze tylko usta i będzie tip-top – odpowiadam i głośno przelękam ślinę.

– Zawsze ją pytałam: gdzie ty się tak spieszysz, Krysia. Ta jej śpiewka: „Szybko, szybko, życie ucieka”.

– Mamo... – próbuję ją zatrzymać, bo niby się śmieje, ale widzę, jak zaciska dłoń w pięści.

– Teraz też musiałaś być pierwsza? – Mama prawie krzyczy do cioci Krysi.

Wymykałam się z mojego pokoju, kiedy słyszałam, jak mama się śmieje. Podchodziłam pod drzwi do kuchni, przykładając ucho do mlecznej szyby, a potem delikatnie naciskałam klamkę. Zdążyłam czasem zauważyć, jak mama nachylona nad stołem opowiada coś z przejęciem cioci, ale przy mnie prostowała się, milkła i czekała, aż naleję sobie wodę. A potem znowu ruch jej podbródka w kierunku drzwi.

Ciocia Krysia odwracała wtedy wzrok i milczała, choć przecież mogłaby powiedzieć: „Chodź, Soniu, masz już stannik. Chodź, poznasz swoją mamę tak, jak ja ją znam. Pokażę ci, jak ją naprawiać”.

Więc wychodziłam dotknięta zdradą cioci.

W moje piętnaste urodziny zaprosiłam koleżanki, które bardzo chciałam nazywać przyjaciółkami. Ciocia Krysia tego wieczoru też przyszła do nas, ale jak zwykle zniknęła

z mamą w kuchni. Tylko tuż przed wyjściem wsunęła głowę do mojego pokoju. Szybko omiotła wzrokiem dziewczyny, a potem, samym ruchem ręki, zaprosiła mnie do przedpokoju. W krótkiej chwili, kiedy mama pomagała jej zakładać płaszcz, wydała recenzję o moich gościach. Z tą cholerną pewnością w głosie szeptała, z którą nie warto się przyjaźnić, a której trzymać się za wszystkie skarby świata.

Mama przy komentarzach cioci przygryzała usta i odwracała głowę.

Też się zżymałam na pouczenia cioci. Wolalabym to wszystko usłyszeć od mamy. Móc jej opowiadać o moich sprawach. O Julce z pierwszego piętra, która się cięła i myślała o skończeniu ze sobą, o panu Władku z mieszkania naprzeciwko, który zapraszał mnie do siebie, a ja nie wiedziałam, co z tymi zaproszeniami zrobić. Albo może o czymś innym. Tak żeby mama śmiała się także przy mnie.

Ale do takich rozmów przydałaby się kuchnia i czas, i czerwone carmeny.

Kiedyś zrobiłam próbę. Ciocia Krysia zostawiła paczkę papierosów, więc gdy zostałam w domu sama, usiadłam w kuchni na krześle, na którym zawsze siadała ciocia. Zapaliłam pierwszy raz w życiu i zaczęłam mówić.

Mówiłam do pustego krzesła mamy.

Nie było to ani trochę wesołe i na pewno mama nie miałaby na dekolcie wypieków. Nie pochylałaby się nad stołem tak, jak przy cioci Krysi.

Ciocia ma już makijaż. Czerwona pomadka pasuje do sukienki w kwiaty. Jak lakier wyschnie, nie będziemy się już musiały spieszyć. Trzeba będzie zapleść palce i owinać je różańcem. Choć pewnie ciocia wolałaby carmena z czerwonej paczki.

Patrzę na nią i trochę jest tak, jakby w trumnie, na stole w kuchni, leżała przebrana mama.

Wszyscy mówili, że ciocia Krysia i mama są identyczne, ale to nie była prawda.

Mama inaczej marszczyła brwi. Jasne włosy wiązała w mały kucyk. Nie wstydziała się piegów na skórze.

Ciocia ukrywała piegi pod makijażem, a włosy miała krótsze. Co tydzień chodziła do fryzjera i zmieniała uczesanie. Jedynie koloru nie pozwalała sobie zmienić.

– Taki blond jest nie do podrobienia – mówiła.

Kiedy się denerwowała, to na dekolcie pojawiały jej się czerwone plamki, takie same jak u mamy. Dlatego ciocia nosiła zawsze bluzki zapięte pod samą szyję i wtedy nikt już nie potrafił powiedzieć, czy jest spokojna, czy zdenerwowana.

Bo przecież ciocia Krysia była ciocią z wielkiego świata i umiała załatwić wszystko. Coś jej się pokomplikowało, kiedy załatwiała mamie samochód, i zamiast wymarzonego wartburga do odebrania w Poznaniu czekał na nią trabant. Za to w kolorze kości słoniowej, tak jak mama chciała.

Mama wyjechała po odbiór auta na całe trzy dni i miałam zostać przez dwie noce tylko z ciocią. Dwie listopadowe noce, z padającym za oknem śniegiem z deszczem.

– Co byś chciała ze mną zrobić, Soniu? – zapytała ciocia Krysia pierwszego wieczoru.

Najbardziej na świecie chciałam usiąść z nią w kuchni. Zadawać pytania i słuchać jej przyciszonego głosu. Zobaczyć, czego się muszę nauczyć, żeby rozweselić mamę.

Wzruszyłam ramionami.

– Nie wiem.

Popatrzyła na mnie i uśmiechnęła się.

– Coś, czego byś nie zrobiła z mamą. Mam rację?

Poczułam, jak moje policzki czerwienieją do samych koniuszków uszu. Chciałam jej powiedzieć: „Coś, co zrobiłabym z mamą tak, jak ty to z nią robisz”, ale znowu wzruszyłam ramionami. Myślałam, że ciocia Krysia wie wszystko, a jednak nie.

– Masz czepek? – rzuciła nagle.

– Mam, ciociu, ale basen o tej porze jest już zamknięty – odpowiedziałam niepewnie. Czułam, że zbliża się coś nowego. Coś ze świata ciocia Krysi. Zależało mi na tym. Chciałam być jak ciocia Krysia i umieć reperować mamę.

– Nie dla nas. – Uśmiechnęła się znowu ciocia. – Pakuj ręcznik i jedziemy.

Dochodziła dwudziesta pierwsza. Jechaliśmy prawie pustym autobusem numer osiemnaście.

Obserwowałam ciocię Krysię.

Uśmiechała się i patrzyła na migające na mokrym asfalcie światła latarni. „Ciocia umie się cieszyć”, pomyślałam. „Może umie tak bardzo, że mama bierze trochę tej jej radości”. I choć nie lubiłam miasta po zmroku, postanowiłam spróbować cieszyć się tak samo jak ciocia Krysia.

Kiedy autobus zatrzymał się przed budynkiem pływalni, ciocia wzięła mnie za rękę, co było dziwne, bo byliśmy już wtedy tego samego wzrostu, a ja nigdy nie widziałam dwóch kobiet idących w ten sposób. Jej dłoń była ciepła i drobna, jakby ciocia też miała piętnaście lat.

Budynek był ciemny i tylko okna hali z basenem fosforowały na granatowo. Ciocia podeszła do drzwi wejściowych i pociągnęła za klamkę. Ale drzwi były zamknięte.

– No dawaj, Soniu, krzyczymy „Marian” – powiedziała niezrażona. – I stukaj w drzwi z całej siły.

Niepewnie uderzyłam zwiniętą w pięść dłonią. Przeraził mnie huk. Drzwi i cała metalowa framuga pobrzękiwały przy każdym uderzeniu.

Ciocia Krysia zaczęła stukać w grubą szybę z całej siły i wtedy też nabrałam odwagi.

– Marian! – krzyknęła ciocia Krysia i zaśmiała się jak dziewczynka.

– Mariaaan! – wtórowałam ciocie i waliłam w szybę obiema pięściami.

W głębi ciemnego korytarza ktoś zapalił światło i zobaczyłam krępą sylwetkę niskiego mężczyzny. Szedł w naszym kierunku bez pośpiechu, jakby przechadzał się tu przypadkiem, a nie zareagował na nasze wołanie. Podeszedł do drzwi, oparł czoło o szybę i przyłożył do skroni ręce, żeby nas zobaczyć. Uśmiechnął się serdecznie i tym razem szybkimi już ruchami przebierał wśród przypiętych do paska kluczy.

– Cholera! No nie znajduję, Krysia, tak szybko. Złotko moje, zamknij już te piękne usta – wykrzyczał.

– Mariaaan! – krzyknęła jeszcze raz przekornie ciocia Krysia, a kiedy Marianowi w końcu udało się otworzyć drzwi, wpadła w jego w objęcia.

– Piękna moja! Wieki cię nie widziałem! – Marian podniósł ciocię tak, że jej stopy wisiały nad ziemią. Wyginał ciocię w literkę C na okrągłym jak piłka lekarska brzuchu. – Chodźcie, chodźcie! – Mrugnął do mnie i zamknął za nami drzwi na klucz.

– Masz czepek, Sonia?

– Mam.

Szłam za ciocią i Marianem ciemnym korytarzem w kierunku zapalonego światła. Znałam tę przestrzeń, ale nigdy nie byłam tu po ciemku. Zdawało mi się, że ściany z mozaikami delfinów i płaszczyk pulsowały, a szklane sklepienie korytarza biegło gdzieś w górę w nieskończoność.

Marian dał mi klucz do szafki i weszłam za ciocią schodami do szatni. Zdjęłam spodnie i bluzę. Mocowałam się z czepkiem, kiedy podeszła do mnie ciocia, zupełnie naga.

Ręcznik przewiesiła sobie przez ramię i nawet nie próbowała osłonić ani piersi, ani pełnych bioder. Uśmiechała się cały czas, znowu podała mi rękę i poszłam za nią pod prysznic. Kiedy odkręciła wodę, nad białymi kafelkami utworzył się obłoczek pary.

Weszłam w tę parę i nie mogłam powstrzymać chichotu, bo woda była do bólu gorąca.

Ciocia poprowadziła mnie ciemnym korytarzem do basenu. Myślałam, że będziemy pływać, ale ciocia nadal nie puszczała mojej ręki i pociągnęła mnie w kierunku trampoliny.

Oddech mi przyspieszył, bo zawsze patrzyłam na skaczących z czterech metrów chłopców, ale nigdy nie miałam odwagi, żeby wspiąć się po metalowych schodkach.

– Boisz się, Soniu? – zapytała cicho ciocia Krysia.

– Ani trochę – odpowiedziałam i ściągnęłam lopatki. Coś ścisnęło mi gardło. Wszystko było dziwne. Pusty basen i nagość cioci.

Przeciągam dłonią po biodrach cioci. Wyczuwam wystające kości. Schudła bardzo. Pół cioci Krysi zostało. Mama mówi, że umyłyśmy ciocię Krysie, ale tak naprawdę moczyłam tylko gąbkę i przesuwałam ją po skórze cioci. Nagość cioci nie była już nowa. Znałam ją, z tamtego wieczoru.

Wtedy, na basenie, ciocia popchnęła mnie lekko i zaczęłam wchodzić po schodach trampoliny. Nogi miałam miękkie i parę razy przystawałam, gotowa zawrócić, ale za mną szła ciocia.

Na samej górze serce łomotało mi już tak, że pewnie nawet Marian, który został gdzieś na dole, mógł to usłyszeć.

Ciocia Krysia stała za mną i obie dłonie położyła na moich ramionach.

– Jak będziesz gotowa, wystarczy, że zrobisz taki mały krok w przód – wyszeptala mi do ucha. – A gdy już skoczysz, to trzymaj prosto nogi, jakbyś stawała na baczność. Dasz radę?

Pokiwałam głową, choć podbródek drżał mi tak, jakbym się miała rozplakać. Przygryzłam wargę.

– Daj sobie czas – powiedziała spokojnie ciocia.



Lena Darska / PLSP w Supraślu

Nie wiem, ile czasu stałam na skoczni. Trzy minuty? Dziesięć minut? Patrzyłam na wodę pode mną, która wyglądała jak ciemnoniebieska tafla lodu. Czułam, że na całym cieple pojawia mi się gęsia skórka, i drżałam, choć nie było mi zimno.

W końcu zrobiłam to bardziej dla cioci niż dla siebie. Wysunęłam nogę do przodu i napięłam całe ciało.

Leciałam i leciałam.

Tuż nad lustrem wody krzyknęłam. Nie wiedziałam, że mam w sobie taki głos. Niski, mocny. Jakby ze środka mnie krzyczał ktoś, kogo jeszcze nie znam.

W wodzie otoczyły mnie bańki powietrza, duże i takie całkiem malutkie.

Zanurzałam się i zanurzałam coraz głębiej.

Uśmiechałam się pod wodą, a woda wpływała mi do ust. Wcale nie była lodowata, jak się spodziewałam, tylko przestraszyłam się, że będę tak spadać już do końca świata.

Moje stopy dotknęły dna i ugięłam kolana.

Odbiłam się tak mocno, jak chyba nigdy od niczego się nie odbijałam.

Zaczęłam płynąć w górę. Wyżej i wyżej. Zmieniłam się w płaszczkę ze ścienniej mozaiki pływalni.

Zabrakło mi powietrza. Zdażyłam pomyśleć, że woda zaleje mi płuca. Nagle poczułam na biodrach czyjeś ręce. Pchnęły mnie w górę. Wynurzyłam głowę.

Znowu zaczęłam krzyżeć. Z radości.

Wysoko nad sobą zobaczyłam wystającą znad trampoliny twarz cioci Krysi. Ciocia leżała na brzuchu, zaśmiewała się i biła mi brawo.

Obok mnie wynurzył się Marian. Spodziewałam się, że na kłacie ma całą masę włosów, ale był gładki. Biały i gładki. Wystawił w górę kciuk i znowu zanurkował.

Położyłam się na wodzie na plecach i patrzyłam jak wszystko delikatnie faluje: wysokie sklepienie sufitu, trampolina z twarzą cioci Krysi, słupki startowe na brzegu basenu. Zapomniałam o mamie.

To mógł być dobry czas na wspólne nurkowanie, ale ciocia zeszła po schodkach i zagwizdała gwizdkiem Mariana, tak jak gwizdzą zawsze ratownicy, kiedy kończy się już godzina pływania.

– Czuć wszystko, kochana. Bać się i robić. To moja lekcja dla ciebie – powiedziała i zabrała mnie pod prysznic.

Znowu obłoczek pary, ręcznik, mokre włosy pod czapkę, autobus numer osiemnaście, dom.

– Gotowe – mówi mama.

– Nie, mamuś, jeszcze coś. – Wyciągam z szuflady paczkę czerwonych carmenów i wysuwam je w kierunku mamy.

Mama wolno odsuwa krzesło przy kuchennym stole i czeka, aż usiądę.

Kobiety na skraju

Tego lata dobrze Marcie robią msze i pogrzeby. Tylko musi przyjść do kościoła wcześniej, najlepiej tuż przed wniesieniem trumny, bo wtedy łatwiej dokopać się do smutku.

Czasem ma szczęście i lawki tuż za rodziną są jeszcze wolne. Może wtedy przyglądać się z bliska dłoniom gości składających kondolencje. Ona lub on podchodzi wolnym krokiem, czasem szepcze żalobnikowi coś na ucho, a potem zawsze kładzie rękę na jego plecach. Dłoń trzykrotnie poklepuje spięte barki. Żeby dodać otuchy.

Marta słyszy strzępki słów: „przykro”, „kto by pomyślał”, „a jeszcze niedawno”.

Ona też to robi. Przed wejściem czyta klepsydrę, żeby wiedzieć, jak przywitać się z rodziną zmarłego.

Na mszę za duszę Zbigniewa – jego imię Marta przeczytała w nekrologu – przyszło z pięćdziesiąt osób.

Marta z trudem precyzyjnie się do przodu i podeszła do zapłakanej kobiety. Eleganckiej, przed pięćdziesiątką. Przytulili ją i pogładziła jej plecy. Zgodnie ze sztuką – trzy razy. Zawsze trwało to na tyle krótko, że nawet jeśli zobaczyła uniesione ze zdziwienia brwi, miała chwilę, żeby wmieścić się w tłum innych osób. Tym razem jednak wdowa przytrzymała jej dłoń w swoich dłoniach i spojrzała jej w oczy. Długo.

– Dziękuję, że przyszedł, Joasiu. – Uśmiechnęła się do niej z czułością. – Zbyszek bardzo by to docenił.

Ostatni raz tak ciepło uśmiechnęła się do Marty pracownica kina, która wpuszczała ją na czwarty seans w tym samym tygodniu. Ale w tamtym uśmiechu dostrzegła raczej cień politowania, podczas gdy uśmiech wdowy był szczery. Jakby coś je ze sobą łączyło.

Zmieszala się.

– Będiesz na konsolacji, prawda? – ciągnęła wdowa. Jej głos był lekko zachrypnięty. – Marek zatrzyma dla ciebie miejsce w samochodzie. – Dotknęła ramienia stojącego obok wysokiego mężczyzny. – Prawda, synku?

– Tak, mamuś. Będę na panią czekał, pani Joanno – potwierdził.

Marta czuła, że powinna to wyprostować i powiedzieć im obojgu, że nie jest Joanną, ale zamiast tego zerknęła na zegarek i usłyszała, jak sama mówi:

– Oczywiście, Marku. Pożegnanie Zbyszka jest dla mnie ważne.

Dłonie zaczęły jej się pocić.

Kościół był nowy i pobielonych niedawno ścian nie zdążyły jeszcze przykryć żadne zdobienia ani obrazy. Marta znalazła wolne miejsce dopiero w jednym z ostatnich rzędów ławek, ale dzięki temu mogła najpierw ochłonąć, a potem lepiej się rozejrzeć.

Żalobnicy Zbigniewa byli kolorowi. Właśnie usiadła obok niej starsza kobieta w siateczkowych rajstopach. Na jej kostce Marta zauważyła wytatuowaną różę. Tuż za kobietą trzech łysiejących mężczyzn, jeden z nich z kucykiem, a jeszcze dalej gruby brodac w skórzanej kurtce. Zbigniew musiał być motocyklistą albo muzykiem.

Ładnie śpiewał organista. Czyściutko. Marta pilnowała, żeby nie założyć nogi na nogę. Nie wypada w kościele. Nawet jeśli Zbigniew był, jak widać po towarzystwie, dość niestandardową osobą. Siedziała wyprostowana, ze złączonymi kolanami, lekko pochylona do przodu. W czasie kazania sięgała do torebki, zdejmowała ją i stawiała raz z prawej, raz z lewej strony.

– A jego śmierć jest dla nas nauką, że jeszcze nie jest za późno. – Pogłos słów księdza odbijał się od kolumn i kamiennej posadzki. – I oto stoi już u wrót Pana. – Tu ksiądz zrobił długą przerwę. – Pokorny. – Pauza. – I przeprasza za wszystkie swe przewinienia.

– Pokorny? Zbyszek? – wyszeptala do Marty siedząca obok kobieta. – Za chwilę będzie o zbawieniu i nadziei dla nas, jeśli za grzechy swe też przepraszać będziemy.

– I że życie to droga do odkupienia – odszepnęła Marta w odruchowym rewanzu.

Kobieta z przyjacielską zażyłością szturchnęła ją ramieniem i Marta poczuła rozlewającą się w jej brzuchu falę ciepła.

Po mszy do ambony podszedł syn Zbigniewa. Niósł ze sobą gitarę elektryczną. W przedłużających się sekundach ciszy podłączał sprzęt do kabla, który podał mu ministrant. Pochylił się nad nisko ustawionym statywem mikrofonu:

– Ojciec. . . – zaczął głośno, ale głos uwiązł mu w gardle. Odkasznął i zaczął jeszcze raz: – Ojciec. Dla ciebie – wypowiedział tym razem już cicho i wypełnił kościół

długim gitarowym riffem. Echo powtarzało każdy takt *Wish You Where Here* Pink Floydów.

Marta nawet nie musiała się starać, żeby to poczuć. Łzy płynęły same. Zobaczyła, że kobieta z różą na kostce też płacze. Mężczyzna z kucykiem oparł łokcie na kolanach i zasłonił oczy, a brodac głośno wydmuchał nos. Marta dostała to, po co przyszła.

Stypa była jedną z najradośniejszych imprez, na jakich kiedykolwiek była. Siedzący przy długich stołach goście przekrzykiwali się nawzajem, wiele osób krążyło po udekorowanej weselnie sali ze szklaneczką whisky lub kieliszkiem wina. Marta dała się wciągnąć w zadymione opowieści z piwnicznych jazzowych klubów, w których faktycznie grwał Zbyszek. W całym ciele przyjemne odprężenie.

I nagle ciepła ręka na jej ramieniu. Kiedy Marta się odwróciła, zobaczyła stojącą nad sobą wdowę.

– Idziemy na dach, kochana – usłyszała tuż przy swoim uchu i poczuła miły zapach perfum. W tej samej sekundzie tętno przyspieszyło jej tak bardzo, że niemal nie mogła nabrać powietrza.

Stały obok siebie przy poręczy dachowego tarasu i patrzyły na światła okolicznych budynków. Nie było bardzo wysoko – jakieś trzy, cztery piętra, ale Marta czuła, że dygocze. Sama nie wiedziała, czy dlatego, że stała na skraju dachu, czy z wieczornego chłodu, czy może dlatego, że będzie się musiała przyznać do kłamstwa.

Żona Zbyszka była niewątpliwie piękną kobietą. Marta zerkała na jej czólenka na niewysokim obcasie, czarną sukienkę za kolano, perły na szyi, zmarszczki w kącikach oczu, bladą skórę i zmęczenie. Wdowa nie wyglądała na żonę jazzmana. Kiedy wyciągnęła w jej kierunku paczkę cienkich papierosów, Marta nie odmówiła. A przecież nie paliła od wielu lat. Kiedy przyjmowała ogień, jej papieros drżał lekko.

– Nie wierzyłam, że to zrobisz – powiedziała cicho kobieta.

Zaciągała się długo i spokojnie, a potem wolno wypuszczała powietrze. Patrzyła na rozwiewającą się w tarasowym świetle smugę dymu.

– To chyba nic wielkiego – odpowiedziała powoli Marta i przelknęła ślinę. Tytoń drażnił jej krtań.

– Zaczęłam palić, kiedy trafił do hospicjum. Wiesz, cały ten obłęd zdrowej diety, fitnessu i kremików pod oczy. . . Mówił o waszych długich rozmowach.

– Przepraszam cię, ale ja. . .

– Rozumiem, Joasiu. Uprzedzał, że nie będziesz chciała o tym rozmawiać. Chciałam ci tylko podziękować. Z całego serca. – Nadal nie patrzyła na Martę, położyła tylko dłoń na jej ramieniu i trzy razy je pogładziła. – Kiedyś eutanazja będzie legalna.

Zdrowy poranek

Od kiedy mąż ją porzucił, zaczęła częściej wychodzić.

Długo przechadzała się po ulicach Białegostoku z przyjemnym wrażeniem, że stała się niewidzialna. Zrezygnowała z obcasów i farbowania odrostów, nosiła się na czarno – nie było powodu, dla którego ludzie mieliby zwracać na nią uwagę. Mogła siadać na ławce w parku w dowolnej pozycji. Albo jeść lody na ulicy. Czasem – bardziej dla zabawy niż z przymusu – prostowała się na widok kogoś znajomego i przyspieszała kroku, żeby wyglądać tak, jakby miała gdzie się spieszyć. I nawet jak usłyszała czasem: „Dzień dobry, pani Joanno”, nie musiała się uśmiechać.

Kiedy patrzyła na stojących na autobusowych przystankach ludzi, robiło jej się lekko na sercu i doceniała długo biegnące godziny przed- i popołudnia. Z rzadka myślała o tym, co mogłaby zrobić, żeby topniejące oszczędności pozwoliły jej opłacać czynsz, ale poza pieniędzmi nic jej nie zmuszało do pośpiechu, wydawała niewiele i w zasadzie mogła jeszcze przez dwa, trzy miesiące spokojnie żyć, nawet bez konieczności codziennego wstawania z łóżka.

Od lat nie czuła się tak dobrze.

Kiedyś myślała, że wie, jak to jest być samotnym. Nie przewidziała jednak słodkawej tęsknoty za czymś, czego nie umiała nazwać. Zdziwiła się na przykład, że w ekscytację wprawilo ją niedzielne wyjście do kościoła i moment, w którym, po odbijającym się echem „przekażcie sobie znak pokoju”, dotknęła rąk trzech przypadkowych osób stojących obok.

Albo ta chwila, kiedy przed budką z zapiekankami patrzyła na dłonie sprzedawczyni, która wyciągała dla niej z opiekacza bułkę z pieczarkami. Dziewczyna powoli rozsmarowywała majonez, a Joanna nagle poczuła ucisk w górnej części mostka, tam, gdzie zbiegają się obojczyki, bo sprzedawczyni robiła to dla niej, specjalnie dla niej. Joanna czuła się tak, jakby coś kradła, bo tak samo ścisnęła ją w dolku, kiedy ktoś robił coś dla niej z czułością. A potem wyrzuciła zapiekankę do kosza, bo zapłaciła tylko za to, żeby poczuć właśnie to ściskanie.

Obrączki nie zdjęła. Bo co to kogo.

Starala się wychodzić z domu jak najwcześniej, zanim zastygnie w kuchni w tym dziwnym bezruchu, z którego trudno się ocknąć.

Od tygodnia jej porannym miejscem była „Rowerowa”. Najbardziej zielona kawiarnia w mieście, jak głosił napis na wystawowej witrynie. Ale też jedna z tańszych kawiarnianych opcji, całkiem do rzeczy.

Tym razem, w któryś wtorek lub czwartek – poza niedzielą dni tygodnia nie miały znaczenia – Joanna przyszła tu o godzinę później niż zwykle. W progu przywitał ją zapach kawy, szmer rozmów i głos Niny Simon. Jedyne wolne miejsca to wysokie krzesła tuż przy wejściu, w mało przytulnej wnęce, z której widziała tylko kilka stolików i ulicę za oknem. Bar, na który lubiła patrzeć, i jeden dodatkowy stolik dla gości miała ukryte za rogiem ściany.

W kawiarni musiała zajmować zawsze miejsce z pustymi krzesłami obok. Zawsze. Nawet jeśli było oczywiste, że jest sama. Inni ludzie, najczęściej młodzi, siedzieli parami, czwórkami, uśmiechali się, podgryzali sobie nawzajem rogaliki, sprzeczali, kto zapłaci rachunek, a ona siedziała sama i piła kawę bez mleka. Jasne, że byłoby przyjemniej siedzieć przy stoliku z kimś, kto by się z nią razem śmiał, z kim mogłaby się pospierać o zapłacenie rachunku, wyciągnąć kartę kredytową w stronę kelnera i z uśmiechem powiedzieć: „Tym razem ja płacę”. Ale nie miała z kim.

Przypatrywała się gościom, podsłuchiwała ich rozmowy, z niewielkim zaangażowaniem przeglądała przygotowane do oddania w pobliskiej bibliotece książki. Myślała o tym, jak ostatnio zalała ją fala gorąca, kiedy oddawała pięć wypożyczonych zaledwie tydzień wcześniej tytułów, a gotbibliotekarka, jak nazywała ciemnowłosą przemilą dziewczynę pracującą tam od lat, z uśmiechem powiedziała: „Och, jak szybko pani czyta!”

I nagle śpiewające ptaki. Rozejrzała się po wnętrzu tonącym w zieleni doniczkowych paprotek i bluszczu. Uśmiechnęła się, bo dzwonek telefonu dziewczyny, która siedziała przy najbliższym stoliku, narastał świergotem i dźwiękami lasu.

– Jestem, Kuba. Jestem – powiedziała dziewczyna do telefonu. – Tylko nie mogę głośno rozmawiać, bo wpadłam do „Rowerowej”. Mówiłam ci o tym miejscu.

Joanna patrzyła na drobną sylwetkę dziewczyny. Włosy związane w mysią kitkę, ptasi profil i wystające obojczyki. To taki typ kobiety, który się nie zestarzeje. Za dwadzieścia lat jedyna zmiana to może trochę zmarszczek. Ale jak się

popatrzy na taką ptasią kobietę z tyłu, to można pomyśleć, że ma osiemnaście lat.

Teraz dziewczyna była raczej niewiele starsza, choć równie dobrze mogła zbliżyć się do trzydziestki. Wyglądała jak Audrey Hepburn w *Śniadaniu u Tiffany'ego*, tylko była o wiele mniej wyrazista. Jakby fotografię prawdziwej Audrey ktoś pokrył szarym, rozmiękczoneym filtrem. Jakby dziewczyna przed wyjściem z domu zrobiła wszystko, żeby wtopić się w otoczenie i nie zwracać na siebie uwagi. Wszystko miała szare: bluzkę ze stójką, spódnicę w drobne kwiatki, ciasne balerinki z gumką. Ale jej głos brzmiał ciepło, a kiedy odebrała telefon, to pojaśniała, jakby ktoś oświetlił ją reflektorem.

– Czekalam, aż zadzwonisz – szeptała do słuchawki z ożywieniem. Kiedy słuchała swojego rozmówcy, jej palce wyłowily ze związanych gumką włosów pojedynczy kosmyk. – Nie, prawie nie spałam. Pisałam do ciebie, do świtu.

Ciepło w brzuchu. Joanna wyobrażała sobie mężczyznę, z którym rozmawiała dziewczyna.

– Wyślę, oczywiście, że wyślę, tylko muszę dokończyć. Twój ostatni list bardzo mnie poruszył. – Szara Audrey zaczęła mówić głośnie. Jakby zapomniała, że obok są inni ludzie.

Joannie podobał się głos tej młodej. Zaskakująco silny i głęboki. Skąd taki głos w takim drobnym ciele?

– Tak, koniecznie musimy się w końcu spotkać. – Dziewczyna położyła łokieć na kawiarnianej poduszce i odchyliła głowę do tyłu. – Trochę się boję, czy dalej będzie tak samo.

Chłopak musiał powiedzieć coś miłego, bo dziewczyna oparła się i wyciągnęła nogi pod stolikiem. Jej stopa zataczała w powietrzu małe kółka.

„Rozmiar trzydzieści trzy, trzydzieści cztery? Buty musi kupować na dziale dziecięcym”, – myślała Joanna i zaczynała pozwalać sobie na miłe wzruszenie, czułość jakąś do tego chucherka z ukrytą siłą.

– Jak to w Białymstoku? – Dziewczyna wyprostowała się i pochyliła nad blatem. – Już? Teraz? Mówiłeś, że wyjeżdżasz z Polski. – Zaczęła obgryzać skórkę przy paznokciu. – Nie, oczywiście. Lubię niespodzianki. – Obejrzała się na okno za swoimi plecami. – Za piętnaście minut? Musiałeś wyjechać jeszcze przed świtem, wariacie. – Chyba silila się na beztroskę w głosie. Skuliła ramiona i rozglądała się po sali. – Nigdy nie pytałeś, jak wyglądam. To ważne?

Szukała czegoś w torebce. – Jasne, że mnie poznasz, tu jest tylko kilka stolików. Tak, „Rowerowa”.

Joanna czuła jej niepokój. Nasilający się skurcz zastąpił ciepło w brzuchu.

Dziewczyna wyjęła z torebki notes i wyrwała z niego kilka zapisanych drobnym pismem kartek.

– Rude. Długie rude włosy. Cała burza loków. Z nikim mnie nie pomylisz – powiedziała i opuściła głowę. – Jestem wysoka, nie wiem, czy to ci nie będzie przeszkadzać. – Skuliła ramiona jeszcze bardziej.

Wstała z telefonem przy uchu. A potem spojrzała na Joannę. Uśmiechnęła się z wysiłkiem i jakoś tak dziwnie wzruszyła ramionami, jakby mówiła: „Przepraszam, no taka sytuacja, proszę pani”. Odwróciła wzrok, zanim Joanna zdążyła zareagować. Ciągnęła rozmowę:

– Tak, jak kobiety na obrazach włoskich mistrzów, o których wczoraj opowiadałeś. – Patrzyła nieruchomo na stolik ukryty przed wzrokiem Joanny.

Zrobiła krok w kierunku wyjścia i na moment zastygła. Znowu patrzyła w ten sam róg kawiarni. Mówiła wolno, z determinacją:

– I mam nadzieję, że lubisz kobiece kształty. – Przysłoniła dłonią usta. – Zawsze się wstydziałam mojego dużego biustu. – Zgarbiła się. Drobną, niską, chucherko. – No ale umawialiśmy się na szczerą, więc wolę cię uprzedzić.

Mała szara dziewczynka.

Joanna poczuła, jak coś ścisną jej gardło. Miała ochotę podejść do dziewczyny. Chwycić ją za ramiona i powiedzieć: „Przestań, mała. Zostań tu, zaczekaj na niego”. Nie mogła się poruszyć.

Dziewczyna zrobiła kolejny krok w stronę wyjścia, a potem zawróciła.

Joanna patrzyła na każdy jej ruch. Wdech. Wydech.

Szara Audrey przysiadła jeszcze raz przy stoliku. Uniosła ramię, przełożyła tam telefon i przytrzymała go podbródkiem. Co chwilę dawała znać, że słucha, choć cała spięta szukała czegoś znowu w torebce. Wyjęła długopis. Pochylona nad blatem coś napisała na wyrwanych z notesu kartkach. Przełożyła telefon na drugie ramię i znowu śmiesznie docisnęła go głową.

– Tak. Nie. Tak. – Przebiegła wzrokiem stronę, a potem wolno złożyła plik kartek na pół. Dopisała coś na odwrocie. Wyprostowała się, zbliżyła palce do ust i przeniosła pocałunek na papier. Jakby się zęgnęła.

„Nie idź, proszę”, Joanna krzyczała w duchu. Od ściskania blatu rozboleły ją dłonie.

– Tak, czekam na ciebie, Kuba – wyszeptala do telefonu dziewczyna. – Bądź szybko. Całuję.

Rozłączyła się i wyszła. Uciekła.

Joanna oddychała szybkim urywanym oddechem. Wstała i podeszła do stolika. Na pliku kartek zobaczyła równe, dziecięce litery: „Ostatni list do Ciebie, Kuba”. Obejrzała się zmieszana, jakby szukała czyjejś pomocy.

Kelnerka odwrócona do ekspresu przygotowywała kolejną kawę. Nina Simon śpiewała: *It's a new day, it's a new life for me, and I'm feeling good.*

W rogu sali, przy stoliku, którego wcześniej Joanna nie mogła zobaczyć ze swojego miejsca, siedziała ruda dziewczyna i coś pisała w grubym zeszytcie. Zamyślona i nieobecna. Wyglądała jak Lady Lilith z obrazu Rossettiego. Duża i piękna, z burzą niemal czerwonych loków, z imponującym biustem.

Joanna usiadła na miejscu drobnej dziewczyny i położyła obie dłonie na jej liście.

Wrócił dobrze znany jej ostatnio stan – jakby patrzyła na siebie z zewnątrz. Chodziło o szczególny rodzaj spowolnienia myśli i ruchów przy wykonywaniu najprostszych czynności. Pod palcami odkrywała gładkość blatu, ostre krawędzie kartek, szorstkość papieru. Zamknęła oczy i skupiła się na pobrzękiwaniu filiżanek, szumie ekspresu do kawy, a potem – ze zdziwieniem – usłyszała szelest gniecionej strony, którą powoli, niemal bezwiednie, zginała w kulkę. Pierwszą, drugą.

Unikała gwałtownych gestów i skoncentrowała się na płynnym ruchu dłoni, a potem przedramienia, kiedy chowała zgnieciony papier do kieszeni. Tym razem to naprawdę kradzież. Ale nikt nie wydawał się zainteresowany zesłaniem kary, więc trzecia, czwarta i piąta strona, kieszeń.

„Bo mimo wszystko, szara Audrey, potrzeba siły, by porzucić kogoś, do kogo ci blisko”, pomyślała. Chciała temu mężczyźnie, który tu pędził pewnie na złamanie karku, oszczędzić tego, co sama czuła od tyłu dni. Oszczędzić. Odsunąć choć na trochę, zlagodzić.



Maksymilian Dawid Drazba / PLSP w Supraślu

Powoli poszła po swoją kawę. Wróciła na miejsce dziewczyny. Spojrzała na zegarek. Czekala.

Wszedł do „Rowerowej” dokładnie dziesięć minut później. Wysoki, uśmiechnięty, lekko zdyszany, jakby przed chwilą biegł. Rozejrzył się i od razu podszedł do stolika rudej piękności. Dziewczyna zaskoczona podniosła na niego wzrok, a potem uśmiechnęła się z zainteresowaniem.

Więc jednak Joanna nie musiała nic robić. Samo się pouklada.

– Wyglądasz dokładnie tak, jak myślałem. – Usłyszała, kiedy płaciła rachunek. Za siebie i za uciekinierkę.

Po wyjściu z kawiarni stanęła przy szybie i przez chwilę patrzyła na niemy film z dwójką pochylonych ku sobie bohaterów.

Ruszyła wolno w stronę biblioteki. Kulki zgniecionego papieru w kieszeni wydawały jej się gorące.

Z muralu na bocznej ścianie wysokiego budynku patrzyła na Joannę ogromna stara kobieta. Sama jej twarz rozciągała się na długość czterech pięter. Niby się uśmiechała, ale jej oczy mówiły do Joanny: „Dziecko moje, cóżeś ty ponawyczyniała”. Namalowana kobieta przysłoniła twarz ręką – dłoń na trzy piętra, na serdecznym palcu gruba obrączka.

Lewa ręka, wdowia obrączka. Choć napis na muralu: „Wyślij pocztówkę dla Babci . . . i Dziadka”. Jak dla dziadka, kiedy obrączka wdowia?

Joanna zatrzymała się i spróbowała zdjąć swoją. Bez skutku. Naśliniła palec i złoty krążek drgnął. Spróbowała raz jeszcze. Zabolało, ale w końcu udało jej się zsunąć obrączkę. Włożyła ją na serdeczny palec lewej ręki.

AGNIESZKA RYNKOWSKA

– rocznik ’73 – na co dzień trenerka i konsultantka, żyje na walizkach, pracuje z ludźmi, z mnóstwem ludzi, dla zdrowych relacji w biznesie. Powtarza za Vedraną Rudan, że nie można pisać o życiu, jeśli się go nie przeżyło. Tak naprawdę wie, że można, ale chce inaczej. Pisze od czasu pandemii, pracuje nad powieścią w stylu domestic noir. Jej debiutanckie opowiadanie *Moja matka nigdy nie siada* ukazało się w piśmie literackim „Szorty”. Publikowała też w antologiach warsztatów „Wydaje się” Mikołaja Grynerberga i Szkoły Pisania Kraków Miasto Literatury.



foto: prywatne archiwum autorki

Bogna Skrzypczak-Walkowiak

Wstyd

Bywa, że trwa krótko. Przybiera postać łagodnej kruszyny, która drzemie nieśmiało w najdalszych zakamarkach duszy. Czasem jednak odzywa się boleśnie, nawet po długim czasie. Jest drzazgą, której żadną miarą nie da się usunąć. Tak było w przypadku pewnej nauczycielki, która wciąż nie potrafiła sobie wybaczyć, a przede wszystkim zrozumieć tego, dlaczego przed laty na lekcji – być może w chwili rozkojarzenia, być może z powodu dręczącej ją migreny – rzuciła:

– Marek Kubzela do tablicy!

W klasie rozległ się śmiech, który jednak prędko umilkł. Wywołany uczeń spłoszył aż po same cebulki rudych włosów, a nauczycielka w tym samym momencie zrozumiała swój błąd.

– Pozwól do tablicy, Marku – powtórzyła już ciszej.

Chłopak sprawnie rozwiązał zadanie, choć widać było, że targają nim silne emocje. Pozostali uczniowie ze strachu przed pytaniem kulili się w ławkach, ale matematyka nie planowała już dziś nikogo zapytać. Żalowała wypowiedzianych tak niefrasobliwie przed chwilą słów i najchętniej cofnęłaby czas.

Szkołę średnią Marek wybrał daleko od domu. Nie spotkał w niej nikogo ze swojej wsi ani nawet z okolicy. Zamieszkał w internacie. Nauka, choć przychodziła bez większego trudu, wypełniała mu cały czas. Marek wiedział, że tylko ona stanowi przepustkę do innego życia – bez wstydu i wiecznego zakłopotania.

Liceum ukończył z wyróżnieniem, był też najlepszym studentem z roku, a wkrótce najmłodszym doktorem na uczelni. Do domu przyjeżdżał rzadko. Kochał rodziców, był im wdzięczny za wszystko, co dla niego zrobili, ale nigdy nie czuł się częścią świata, w którym przyszło mu wraść. Z rodzeństwem nie łączyły go zbyt silne więzi. Chyba zawsze czuł się inny. Ojcu nie potrafił spojrzeć w oczy. . .

Kiedy umarł Kubzela, Marek nie pojawił się na pogrzebie, mimo że niemal cała wieś, jak to było w zwyczaju, uczestniczyła w mszy i ceremonii pochówku. On nie mógł i chyba nie chciał. Zresztą w oczach świata nie miał żadnego obowiązku, by asystować wyprawie starego wiejskiego liber-tyna na tamten świat.

Wszystkie dzieci Kubzelów wyglądały niczym klony. Z uwagi na ich rude włosy nauczyciele w mig rozpoznawali na początku września wśród pierwszoklasistów kolejne z Kubzelątek. Ich ojciec, również rudy i piegowaty, znany był we wsi jako wielki kobieciarz. Nazywano go „jurnym Jankiem”, a znaczący z oczywistych względów przydomek wzbudzał powszechną wesołość. Wieś, jak to wieś, huczala zawsze od plotek. Niewierni małżonkowie i wszelkiej maści tajni miłośnicy nie mogli tu liczyć na anonimowość. Romans Kubzeli z Piechocińską był zatem tak samo komentowany jak wszystkie inne do tej pory.

Jedynie zdradzany mąż zachowywał się w nietypowy jak na wiejskie standardy sposób. Ten cichy człowieczek nie reagował na żadne zaczepki, nie pozwalał się sprowokować do awantur, a jego wyjątkowa łagodność sprawiała, że nawet najbardziej złośliwi dawali mu w końcu spokój. W tych czasach nikt na wsi nie myślał o rozwodzie. Taką czy inną sytuację przyjmowano po prostu z dobrodziejstwem inwentarza, zaś problemy małżeńskie rozwiązywano w domu po swojemu. Pewnie dlatego zarówno Piechocińscy, jak i Kubzelowie zestarzelili się spokojnie w swoich stadłach.

Lata mijały. Marek nie potrafił zapomnieć o przeszłości. Pamiętała też jego dawna nauczycielka. Ów wstyd dręczył ją wciąż z tą samą mocą, choć od kilkunastu lat była już na emeryturze. Może gdyby spotkali się z Markiem sami – bez świadków, jako dorośli ludzie – i wyjaśnili sobie. . . Może. . . Bardzo chciała pogratulować Markowi kariery. On jedyny z całej wsi, ba, nawet gminy tak daleko zaszedł!

Do takiego spotkania jednak nigdy nie doszło.

Któregoś dnia do gabinetu powszechnie znanego profesora zapukał student. Drzwi otworzyła mu śliczna dziewczyna.

– Dzień dobry, ja byłem umówiony z profesorem Piechocińskim – wybąkał młodzian, który spodziewał się za drzwiami zupełnie kogoś innego.

– Chwileczkę, zaraz pana poproszę. – Doszedł z pokoju męski głos.

– Proszę przynieść poprawiony materiał za dwa tygodnie i przygotować następny rozdział – zwrócił się

tymczasem do studentki Marek, a dziewczyna odpowiedziała mu promiennym uśmiechem. Wtedy jeszcze miała nadzieję, że nietuzinkowa uroda może pomóc w zrobieniu kariery naukowej. Bardzo chciała zostać na uczelni, dlatego wybrała tego, a nie innego promotora. Wiedziała, że wszyscy liczą się z jego zdaniem. „Jakkolwiek jest szanowanym naukowcem, nie przestał być facetem”, pomyślała i mimowolnie poprawiła niesforne loki. Była rzeczywiście piękna i zdolna, ale jej osiągnięcia okazały się jednak niewystarczające dla rudego profesora z zasadami. Nie wiedziała, że wiele młodych i pięknych dziewcząt o wygórowanych ambicjach doznało już wcześniej podobnego zawodu.

Po studiach pracowała gdzieś w wiejskiej szkole jako nauczycielka matematyki. Wyszła za męża. Ma ponoć śliczne dzieci.



Maksymilian Dawid Drażba / PLSP w Supraślu

BOGNA SKRZYPCZAK-WALKOWIAK

– ur. 11 czerwca 1971 roku w Ostrowie Wielkopolskim. Absolwentka filologii polskiej, dziennikarstwa, filozofii i bibliotekoznawstwa. Doktor nauk humanistycznych. Pierwsza w Polsce opisała filozofię filmu jako strategię dydaktyczną. Współautorka dwóch książek: „Uczeń - nauczyciel - badacz w przestrzeni teatru” (Poznań 2015) i *Niepojęty przypadek. O poezji Wisławy Szymborskiej* (Kraków 2015). Autorka zbiorów opowiadań (*Pani Kant i madame Hyde, Kot słusznie dumny, To przydarzyło się naprawdę...*) i artykułów w czasopismach np. „Nowe Książki”, „Książki. Magazyn Literacki”, „Polonistyka”, „Poradnik Bibliotekarza” i in. Nauczyciel języka polskiego z wieloletnim stażem. Obecnie kierownik Mediateki. Przystanek kultura – filii Biblioteki Publicznej im. Stefana Rowińskiego w Ostrowie Wielkopolskim. Pomysłodawczyni i moderatorka cyklu spotkań „Artysta rodem z Ostrowa”. Osobowość Ostrowskiej Kultury 2022. Współpracuje z Wydziałem Pedagogiczno-Artystycznym UAM w Kaliszu – prowadzi zajęcia z marketingu bibliotecznego i *information literacy* dla studentów filologii polskiej o specjalności informacja naukowa i bibliotekoznawstwo.



Rafał Mikołaj Krasucki

Jak zabija się świnie?

Poranki są tutaj... najszlachetniejsze. Nawet bym powiedział, że mają wiele wspólnego z kryształem, szczególnie wtedy, kiedy jest mróz. Nieruchoma, powleczone szronem jak jasną glazurą przestrzeń. Idealnie proste świerki, potężne, stare dęby, których rozszczepione przez błyski słońca gałęzie nie rzucają cieni. Cała Puszcza Białowieska wydaje się wtedy, jakby czekała na wiatr. O, tak. Poranki bywają tutaj wyjątkowe.

Przez podwójne, drewniane okno wpadał biały snop światła. Nie mam pojęcia dlaczego, ale zawsze zwracam na to uwagę, na sposób, w jaki się rozprasza. Jest w tym coś nieobojętnego, zwarte, ostrego. Iluminacja dnia. Snop światła, wycelowany w białą pościel i w jej wystającą prawą nogę. Zupełnie tak jakby to wszystko miało się ze sobą w naturalny sposób połączyć i tak trwać. Jeżeli teraz byłbym pijany, to pewnie chciałbym jej dotknąć i sprawdzić, czy jest naprawdę, czy istnieje, a że byłem trzeźwy, przyjąłem to za pewnik.

Taki widok eliminuje z człowieka niepewność, zaprzecza pustkę i jest w stanie doprowadzić do szaleństwa. Wyjęte spod koldry kolano z miękką skórą, ubrane w białe światło jak w ciepły sen. Tu na wschodzie ludzie czasami mawiają, że takie widoki diabeł maluje i może coś w tym jest.

- Zgaś światło – powiedziała cicho.
- Już jest dzień – odpowiedziałem jeszcze ciszej.
- Nie kłam. To nie może być prawda.
- Prawda, prawda, ale jeszcze śpij.

Paradoksalnie mógłbym zabrać tutaj wszystko, co mam, lub mógłbym nie zabierać nic i nadal nie czułbym potrzeby posiadania czegokolwiek. Z uporem godnym psychopaty wmawiałem sobie przez wiele lat, że ten liczebnik nieokreślony – niewiele – pozwala mi czuć się bezpiecznie. Wyzbycie się tych wszystkich procedur poprawnego życia, donosów na samego siebie, że samotność wypala do głębi, pozwoliło mi konsekwentnie wierzyć w to, że tak jest lepiej. Chyba nigdy nie chciałem trwałości, tej korelacji marzeń z bytnością. Krótkotrwanie, aczkolwiek brutalne wykorzystywanie liczebnika „niewiele” doprowadzało mnie wielokrotnie tam, gdzie niewiele było potrzeba, żeby się zakochać, żeby mieć pieniądze lub też żeby wszystko stracić. Być

może wiara w to, że doraźne zaspokajanie swoich potrzeb jest właściwe, w absurdalny sposób przyciągnęła mnie właśnie tu. Nie wiem już skłonności do nadużywania liczebnika „niewiele”, pewnie dlatego że „niewiele” jest tu sensem życia, a nie jego alternatywą. Chyba nie ma najmniejszego powodu, aby się oszukiwać lub być kimś, kim się nie jest. W sumie tak niewiele potrzebowałem, żeby dowiedzieć się, jak łatwo być szczęśliwym.

Właścicielem domu był Witalij Iwanowicz. Miejscowi wołali na niego Witek, ale ja jakoś nigdy nie mogłem się przemóc. To byłoby dziwne, jakby ktoś się do mnie zwracał: Oleg, Dymitr czy Bóg raczy wiedzieć jak. Przecież on się tak nie nazywał. Witalij nie zwracał na to uwagi, ale zauważyłem, że kiedy ze mną rozmawia, używa więcej rosyjskiego niż polskiego. To mi się zawsze podobało, bo czułem się trochę tak, jakby traktował mnie jak rodzinę. Ja do niego Witalij, Witalij, a on do mnie: – No, Fryderk, pajdziom pohulać czemergies pa ciut, ciut. Sam czasami się śmiał, wspominając, że rodzice dali mu na imię po jakimś ruskim wynalazcy, który przyczynił się do rozwoju kolejnictwa w ich niezwykłym kraju. Ten sam wynalazca zginął w absurdalny sposób, bo podobno zadławił się ością ryby. Witalij zawsze podkreślał, że ryby są dla świń, a nie dla ludzi. Od tego można przecież umrzeć. I faktycznie nigdy nie widziałem, żeby Witalij jadł ryby. Ten prawie siedemdziesięcioletni facet przyjechał do puszczy w latach sześćdziesiątych. Ożenił się z córką sołtysa i razem z nią, i to dosłownie, zbudował ten dom. We dwoje ścinali drzewa, suszyli, ciosali i ukończyli budowę po dwóch latach. Niby nic w tym nadzwyczajnego, ale dom był naprawdę duży, masywny, postawiony na fundamentach z kamieni. Oddalony od innych zabudowań o jakieś dwa kilometry, przypominał leśniczówkę lub też zabytek, ponieważ jego okiennice, okna i ganek były bardzo bogato zdobione. Ręcznie rzeźbione w roślinne ornamenty, sylwetki zwierząt, scenki rodzajowe z życia puszczy. Zawsze robiło to na mnie wrażenie, bo rzadko się zdarza, aby ktoś tak konsekwentnie zadbał o szczegóły, estetykę i nie pominął przy tym funkcjonalności rzeczy. Jak się coś otwiera, to i musi się zamknąć; jeżeli na czymś siadasz, to musi wytrzymać,



Julia Borowska / PLSP w Supraślu

a jeżeli na to patrzysz wystarczająco długo, to musi ci to coś przypominać. Witalij i jego żona o to zadbali.

Zawsze kiedy tu nocuję, tracę poczucie tego, gdzie jestem, nie dostrzegam, czy to las wszedł w ten dom, czy dom w las. Jednolita masa pachnąca drewnem, wilgocią, zapadająca się w pozorną ciszę, bo wokół nadal jest dużo dźwięków: na przykład takich jak wycie świni.

Witalij podszedł do mnie z tyłu i położył rękę na ramieniu. Miał założone grube dwupalczaste rękawice uszyte ze skóry. Pchnął mnie do przodu i powiedział:

– Idziemy, Fryderyk.

– Gdzie?

– Do stodoły.

– Witalij, no co ty... – zażartowałem, ale on był bardzo poważny. Dziwnie poważny.

– Musisz mi pomóc.

– W czym? Coś ty taki tajemniczy?

– Musimy zabić świnię.

Zacząłem się śmiać, ale chyba z nerwów, ponieważ Witalij powiedział to bardzo stanowczo.

– Chyba oszalałeś. Ja nie mam zielonego pojęcia, jak zabija się świnię.

– Nie ma w tym nic trudnego. Przytrzymasz ją, żeby nie uciekła, i załatwimy to szybko. Dostanie obuchem i będzie po wszystkim.

W stodole faktycznie stała świnią, przywiązana do metalowej felgi. Stała ze spuszczoną głową, jakby wiedziała, co się za chwilę stanie. Witalij wręczył mi gruby sznurek.

– Zwiąż jej tylne nogi. Tylko mocno. Potem się odsuń i trzymaj ją.

Tak też zrobiłem. Zawiązałem świnię, odsunąłem się i w tym momencie zaczęła się potwornie szarpać. Panicznie. Pewnie dlatego, że Witalij podszedł do niej z siekierą. Zwierzę zaczęło piszczeć; nawet nie wiedziałem, że potrafi tak głośno, z tak wielkim żalem.

– Nie powinieneś jej tutaj przywozić.

– Cholera jasna... kogo?

– Jej.

Nie zrozumiałem.

– Tej żeńszcinu.

W tym momencie zdałem sobie sprawę, że stojąc z uwiązaną świnią na środku stodoły, Witalij ma do mnie pretensje o coś, co według mnie nie było niczym poważnym.

– A to dlaczego?

– Patamu szto ana nie twaja.

– Ale to chyba nie powinno nikogo obchodzić. – Świnia silnie mną szarpnęła, ja nią też. Przewróciła się na bok.

– Daj mi sznurek i bierz siekierę.

– No co ty, Witalij!

– Teraz jest dobry moment, bo się nie podniesie. Bierz siekierę i uderz ją w środek głowy. Między uszy. Szybko.

– Nie ma mowy. Ja tego nie zrobię!

– Bierz siekierę – powiedział. Bierz... blać suka... bierz!

Podniosłem narzędzie do rąbania bardzo szybko. Siekiera była ciężka. Witalij patrzył mi się w oczy i machnął do mnie głową.

– No, odważnie. Dawaj!

Zamachnąłem się i uderzyłem z całej siły. Świnia przestała się drzeć, a Witalij wyciągnął z kieszeni nóż. Jeden ruch i z szyi trysnęła ciemna krew. Po chwili zwierzę przestało się ruszać.

– Kurwa, Witalij, co to było? Po co kazałeś mi to zrobić?

– Moja Anka by ci tego nie wybaczyła, tej kobiety.

– Ale Anki nie ma, a tobie od tego bimbru chyba się coś poprzestawiało. Może ty zwariowałeś i zaraz z tej siekiery zrobisz jeszcze raz użytek. Po co to było?

– Żebyś wiedział.

– Co? Jak zabija się świnię?

– Żebyś wiedział, jak to jest zabrać komuś coś, co kocha.

Lena leżała do połowy odkryta. Jej drobne ramiona zniknęły w wielkiej poduszce, jakby się zanurzała w miękkim, pierwszym śniegu. Na podłodze leżał jej sweter, w którym wczoraj w nocy przyszła do łóżka. Był kremowy, gruby, taki jak sprzedają górale na Krupówkach. Wyglądała niczym ostrzyżona do połowy owca. Zakręciła się kilka razy na pięcie, lewą ręką lekko podciągnęła wełniane okrycie i zapytała:

– I jak? Podoba ci się mój nowy sweter?

Nie wiedziałem, co mam jej powiedzieć, ale to był najpiękniejszy sweter, jaki kiedykolwiek widziałem.

Kiedy tak się na nią patrzyłem, podniosła głowę i obróciła się na plecy.

– Co się stało? Błady jesteś. Zmarzłeś czy już piliście?

– Nic, nic się nie stało.

– Przecież widzę, że jednak coś z tobą nie tak.

– Zabiliśmy z Witalijem świnię.

– Co takiego?

- Zabiliśmy świnie. Znaczący Witalij zabił... ja tylko trzymałem sznurek.
- Boże, ty byś tego chyba nie zrobił?
- Przecież wiesz, że bym nie zrobił.
- Po co mu martwa świnia?
- Lena, pomyśl, po co komu na tym końcu świata martwa świnia. Zaraz ją pewnie przerobią na wędliny. Chyba po to się hoduje świnie.
- Biedna. I ty na to patrzyłeś?
- To naprawdę nic strasznego. Normalna rzecz tutaj.
- Ja uważam, że tego powinni zabronić, biedna świnka.
- Musimy stąd zaraz wyjechać. Znaczący ty musisz...
- Dlaczego? Mieliśmy zostać do niedzieli? Tu jest tak... wyjątkowo.
- Musimy wyjechać, bo Witalij będzie miał gości, więc wstawaj i się zbieramy.
- Wiesz co? Jak ty niewiele potrzebujesz, żeby wszystko zepsuć. Świni się przestraszyłeś?
- Nie, nie świni.
- Witalija? – Przekręciła głowę w kierunku ramienia.
- Nie. Raczej tego, że mógłbym już tutaj nigdy nie wrócić.

RAFAŁ MIKOŁAJ KRASUCKI

– dziennikarz, z wykształcenia politolog. Przez ostatnie lata zastępca redaktor naczelnej ogólnopolskiego miesięcznika „Benefit”, obecnie Kierownik Hali Kultury w Łomży. Zwycięzca pierwszego konkursu poetyckiego im. Jana Leończuka. Pasjonat poezji, podlaskiej przyrody oraz wędkarstwa.



fol. prywatne archiwum autora

Piotr Pazdej

Preludium

– Przepraszam, czy można prosić jakieś gazy, żonie przemięka.

Unosi głowę. Scena, która rozgrywa się tuż przed nim, natychmiast przywołuje wspomnienie obrazu, który wiele



Maja Chwieśko / PLSP w Supraślu

lat temu, w Edynburgu, zobaczył na wystawie dziewiętnastowiecznego malarstwa. Starszy mężczyzna stoi przed lekarzem jak parobek albo chłop pańszczyźniany przed rozdętym od dobrobytu panem. Pochylona głowa, chude ramiona w za dużej koszuli, dłonie splecione z przodu, drżące, blade, podobnie jak przedramiona poprzecinane bladymi żyłami.

Nie wie, czy z uczuć, które nagle zaczynają go szarpać, silniejszy jest gniew, smutek czy zażenowanie.

Lekarz spogląda obojętnie na siedzącą na ławce otyłą kobietę, waha się, robi nawet ruch, jakby naprawdę nie mógł się powstrzymać przed machnięciem ręką, odgonieniem tej obrzydliwej, natarczywej muchy, która ośmieliła się usiąść mu na czole, ale ostatecznie kiwa potakująco głową, odwraca się i wchodzi z powrotem do gabinetu.

Odprowadza go wzrokiem.

Kobieta jęczy cicho. Mężczyzna, najwyraźniej jej mąż, drga, pochyla się i kładzie dłoń na jej ramieniu.

– Jeszcze trochę, wytrzymasz? – pyta cicho.

Kobieta kiwa głową i zaciska oczy. Błada dłoń mężczyzny zwierza się lekko, a potem zaczyna przesuwać się delikatnie po jej ramieniu i plecach.

Przygląda się temu z mimowolną fascynacją. Oto miłość i oddanie w postaci, której nigdy nie było mu dane zaznać. Czy gdyby to on i Moira znaleźli się w takiej sytuacji, stalby przy niej w taki sposób, wspierał? Albo ona przy nim? Nie potrafił sobie tego wyobrazić. A co z Magdaleną? Może, gdyby tylko spotkali się teraz, a nie czterdzieści pięć lat temu, gdy był zadufanym w sobie dupkiem o pięknych, niebieskich oczach.

Mimowolnie opuszcza wzrok; spod docięniętej do boku, tuż nad biodrem, dłoni kobiety widać przesiąkniętą przez szary materiał bluzki wilgotną plamę.

Minutę później z gabinetu wychodzi pielęgniarka z koszmarnym makijażem na twarzy. Bez słowa podaje mężczyźnie kilka gaz, po czym odwraca się i znikna za pomalowanymi na biało drzwiami.

Ją też odprowadza wzrokiem, jak lekarza.

Zauważył to u siebie już dawno – potrzeba obserwowania wszystkiego i wszystkich. Żeby tylko! Obserwacja

połączona jest bowiem z natychmiastowym wystawieniem oceny. Czy kiedykolwiek uda mu się zerwać z tym okropnym przyzwyczajeniem?

Mężczyzna przykłęka z wysiłkiem na jedno kolano. Odsuwa dłoń żony i unosi bluzkę. Widzi blade fałdy tłuszczu, przesiąknięty krwią i ropą opatrunek. Z zawstydzeniem odwraca natychmiast wzrok, ale coś w nim pęka.

Wstaje gwałtownie. Mężczyzna z żoną spoglądają na niego zaskoczeni; posyła im zdawkowy uśmiech i odchodzi. Mija siedzących ludzi, milczących, smutnych, schorowanych, uległych. Niektórzy unoszą głowy i patrzą, gdy przechodzi – widzi to kątem oka, stara się bowiem trzymać głowę prosto i nie rozglądać. Czuje, że wzburzenie zalewa go wrzącą falą.

Schodzi po schodach i staje w kolejce do służy. Pik, pik, pik, wszystko idzie sprawnie, czytnik bez problemu rozpoznaje wszczepione w ramiona mikronadajniki. Gdy przechodzi jego kolej, unosi dłoń z kartą, którą przed dwoma dniami dostał na lotnisku, tuż po wylądowaniu. Patrzy, jak czerwony promień lasera przesuwają się po ciemnym pasku. Nic. Cisza. Odruchowo porusza kartą i ponownie przystawia ją do czytnika. Nic. Przesuwa po pasku palcem, ale zostawia tylko wilgotny ślad, wyciera więc kartę o marynarkę. Przykłada do czytnika. Cisza. Rozgląda się nerwowo; gdzieś, jakby w głębi ramy, przez którą wchodzi się do służy, rozbrzmiewa cichy dźwięk alarmu. Odwraca się, ma wrażenie, że wszyscy wpatrują się w niego, jakby właśnie zamordował kogoś gołymi rękami.

– Nie rozumiem – odzywa się drżącym głosem; nagle opuszcza go nie tylko gniew, ale i cała pewność siebie. – Przecież działała, jak wchodziłem.

Jego syn pojawia się dopiero po trzech godzinach. Rzuci mu przelotne spojrzenie – niemal cały czas siedział nieruchomo na tym samym krześle – po czym podpisuje kilka dokumentów, przeprosza, kłania się, poci. Mężczyzna przygląda mu się ze smutkiem.

Gdy wychodzą przed szpital, ma wrażenie, że zderza się z niewidzialną ścianą. Gęste od gorąca powietrze południa niemal odbiera mu resztę sił, sięga ku kołnierzykowi koszuli i rozpina dwa pierwsze guziki. Następnie zdejmuje marynarkę. Syn prowadzi go w stronę parkingu, otwiera drzwi samochodu, czeka, aż wsiądzie, zamyka drzwi, przechodzi powoli na drugą stronę, staje, szuka czegoś w kieszeni,

wyciąga mały biały kawałek papieru i oddala się już szybkim krokiem.

– Wszczepili wam już chipy, ale na parkingu wciąż musicie chodzić z biletem do parkomatu? – pyta, gdy syn wraca i zapala silnik.

– Jak widzisz. Nie to co u was, poza unią, co nie, tatku? – W drżącym głosie syna słychać stłumiony w ostatniej chwili wybuch wściekłości. I znowu to przykre uczucie żalu – wie, że tylko wszystko pogarsza, ale nie jest w stanie nic na to poradzić.

Jadą powoli w zaciętym milczeniu. Od skrzyżowania do skrzyżowania, w niekończącym się rzędzie samochodów i cichym szumie klimatyzacji. Syn trzyma kurczowo kierownicę, on zaś po raz pierwszy od przylotu ma okazję przyjrzeć się miastu. Wydaje mu się, że nic się tu nie zmieniło. Jakby wyjechał miesiąc, a nie dwadzieścia lat temu. Tylko szarości i brudu jest więcej, wszędzie, wzdłuż ogrodzeń, wokół bloków, na chodnikach, w spojrzaniach nielicznych mijanych przechodniów. I nigdzie nie widzi zieleni, to jednak nie jest dla niego niczym nowym; Szkocję od kilku lat dotyka ten sam problem. Woda jest teraz zbyt cenna, by podlewać nią trawniki, tutaj też pozamieniano je na parkingi wszędzie tam, gdzie było to możliwe.

Znalezienie miejsca do parkowania zajmuje dziesięć minut. Dojście do bloku syna kolejne pięć; nie wziął parasola, a przestrzeń między blokami zamieniła się w rozgrzany piekarnik. Oddycha z trudem, czuje, że wzdłuż kręgosłupa spływają mu strumyczki potu. Syn idzie obok niego, cierpliwie, z rękami w kieszeniach i wzrokiem utkwionym w popękane płyty chodnika. Chce zapytać go o tak wiele rzeczy, ale nie może się do tego zmusić.

Po wejściu do mieszkania kiwa głową synowej i od razu idzie do łazienki. Zamyka za sobą drzwi i siada na krawędzi wanny, czeka, aż serce się uspokoi i powróci normalny oddech. Słyszy dobiegające z kuchni głosy: krótka wymiana zdań, słów, trzaśnięcie drzwiczek od szafki. Wstaje, rozbiera się powoli i długo patrzy na swoje odbicie w lustrze.

– Tato?

– Tak?

– Wszystko w porządku?

– Tak.

– Długo tam siedzisz.

– Zaraz wychodzę, przeproszam, zamyśliłem się.

– Nie, nie trzeba, tylko... – Syn nie kończy, widzi jego cień po drugiej stronie matowej szyby.

– Ile mogę zużyć wody?

Cisza. Cień porusza się, ogląda, czeka.

– Ile potrzebujesz – pada w końcu odpowiedź. – Tym się nie przejmuj.

Niezdarnie wchodzi do wanny, kuca, zdejmuje słuchawkę prysznicową z uchwytu i odkręca wodę. Polewa się szybko, potem namydla pachy i krocze, splukuje. Zimno sprawia mu przyjemność, zakręca wodę i kładzie się na boku, ze zgiętymi nogami, na dnie wanny.

Budzi go huk. Otwiera oczy i widzi pochylającą się nad nim, przestraszoną twarz syna. Zasnął. Syn wyciąga ku niemu ręce, a on mimowolnie zakrywa dłońmi posiwiałe i pomarszczone krocze.

Salata smakuje jak bibuła, niemal biały chleb w ogóle nie ma smaku i rozpada się w palcach. Je w milczeniu, wpatrzony w swój talerz. Ma na sobie ubrania syna: sweter i spodnie od dresu. Zdążył się już rozgrzać, teraz zmusza się do jedzenia. Bierze kolejny kęs, jakby żuł plastik. Ciszę przerywa kasznięcie syna; natychmiast unosi wzrok, szuka okazji, szczeliny w tej nieskazitelnej obojętności, jaka panuje wokół stołu.

– Wszystko w porządku? – pyta.

Syn kiwa głową, odkasłuje, chrząka i wypija trochę słabej herbaty. Odchyła się na krześle, patrzy na swoją żonę, potem przenosi wzrok na niego.

– Jak długo zamierzasz zostać?

„A więc to już”, myśli z rozczarowaniem, choć spodziewał się tego od samego początku, jeszcze w Szkocji, od chwili, gdy zadzwonił późnym wieczorem do syna i oznajmił mu, że kupił bilet na samolot. Zastanawia się przez moment nad tym, co powinien powiedzieć.

– Nie mam jeszcze powrotnej rezerwacji – oznajmia, decydując się na szczerłość.

Dłoń synowej zamiera na sekundę nad talerzem. Widzi to, ale nie daje nic po sobie poznać.

– Mam pieniądze – dodaje, choć nie ma na to chęci. – Dołożę się do rachunków.

Syn wpatruje się w niego szeroko otwartymi oczami.

– Chcesz... – zaczyna, zawieszając głos i rzuca szybkie spojrzenie żonie. On również przenosi wzrok na kobietę. Ona go nie lubi, może nawet nienawidzi – wie

to od pierwszej minuty, chwilami niechęć promieniuje od niej z tak dużą intensywnością, że tworzy wokół jej chudego, najeżonego wystającymi kośćmi ciała coś w rodzaju ciemnej poświaty. Ich spojrzenia się spotykają: on przyjmuje wyzwanie i nie odwraca wzroku, ona robi to już po kilku sekundach.

– Tak – odzywa się cicho. – Chciałbym z wami zamieszkać. Nie wiem na jak długo. Przepraszam, że nie powiedziałem o tym wcześniej.

Kobieta po drugiej stronie kwadratowego stołu siedzi w milczeniu, sztywna, z głową odwróconą w bok. Znowu widzi jej niechęć i gniew, poświata gęstnieje, rozpycha się w poszukiwaniu ujścia. Przenosi wzrok na syna. Czeką w milczeniu. Cierpliwie.

– Dobrze – odzywa się w końcu syn. – Chyba da się to jakoś...

Jego żona wstaje i bez słowa wychodzi z pokoju. Widzi, że syn wykonuje ruch, jakby chciał ją powstrzymać, ale równie szybko zamiera. Odprowadza ją tylko wzrokiem.

– Tato, to nie...

– Nie musisz mnie przepraszać – przerywa mu łagodnie. – Wcale nie...

– Przepraszać? – Syn patrzy na niego z gniewem w oczach, który jednak już po chwili znika, ustępując miejsca czemuś, co zna zbyt dobrze. Rezygnacji. – Nic się nie zmieniłeś. Tyle lat, a ty wciąż jesteś tym samym egoistycznym futem.

Ma wrażenie, że głos syna dobiega z innego pomieszczenia. Z innej jaskini. Echo jego słów rozbrzmiewa mu w głowie, coraz mocniej i mocniej, jakby nigdy już nie zamierzało zniknąć.

Idzie powoli, osowiały i pogrążony w myślach. Uczucie bezsilności i pokonania, jakie uderzyło go po słowach syna, wciąż nie dawało mu spokoju. Czuł, że całe jego wnętrze, łącznie z sercem, drży od ciągłego nadmiaru emocji.

Wyszedł z mieszkania, gdy w kuchni rozległ się odgłos tłuczonego talerza. Albo szklanki. Syn poszedł tam powoli; on nie chciał czekać, aż zaczną się klócić w jego obecności.

O tej porze, tuż po zachodzie słońca, ale wciąż przed zapadnięciem ciemności, miasto, a przynajmniej ta jego część, w której stał blok jego syna, nieco ożywała. Wciąż było gorąco, jednak nie miało się wrażenia, że wszystko za chwilę pochłonie niewidoczny jeszcze, ale już obecny,

ogień. Na każdej ławce siedziało po kilka osób, widział też dzieciaki bawiące się na placach zabaw.

Nawet nie wie, kiedy dotarł do ulicy, na której kupili z Magdaleną swoje pierwsze mieszkanie. Em dwa na drugim piętrze, z barierką zamiast balkonu. Nienawidził tego miejsca, ale Magda je uwielbiała, w końcu miała coś swojego, pracowała na to tak ciężko. Przystaje przed klatką. Na ławce siedzą dwie kobiety; zamilkły, gdy tylko się pojawił. Kłania się lekko, samą tylko głową właściwie, jednak jego uprzejmość rozbija się o mur obojętności. Spogląda w górę: okno ich pokoju jest zaklejone aluminiową folią.

– Pomóc w czymś?

Zaskoczony patrzy na dwie kobiety. Nie wie, której ma odpowiedzieć, czuje zresztą, że nie ma to na ochoty. Bez słowa odwraca się i odchodzi.

Gdy wchodzi między bloki na osiedlu syna, jest już ciemno. Zgodnie z unijnymi przepisami, o wprowadzeniu których czytał dwa lata temu, pali się tylko co piąta latarnia. Już z daleka widzi poblyskujące miarowo niebiesko-czerwone

światła. Przyspiesza, idzie na skróty, przez jeden z tych pokrytych jałowym kurzem placyków, na których nie stoi jeszcze żaden samochód, wychodzi zza bloku i staje.

Przed klatką jego syna stoi karetka. Radiowóz trochę dalej, otoczony przez milczący tłum gapiów. Niebiesko-czerwone światła odbijają się od wszechobecnego betonu i nielicznych, wciąż zamkniętych okien. Na co oni wszyscy czekają? Zna odpowiedź, ale odsuwa ją od siebie, odrzuca, neguje jej istnienie. Gdy w końcu otwierają się drzwi i dostrzega wychodzącego tyłem, najwyraźniej ciągnącego coś, pierwszego ratownika medycznego, zaciska oczy.

PIOTR PAZDEJ

– rocznik 1976, pabianiczanie. Technik-elektronik (średni), dziennikarz (niepełny wyższy), tłumacz (poradnikowo-mafijny) i tata (dwukrotny). Pisze, odkąd czyta, i tak samo długo zmagają się z twórczymi wątpliwościami. Absolwent Studium Literacko-Artystycznego przy UJ, dzięki czemu pijał kawę z dwoma wybitnymi Markami: Bienczykiem i Nowakowskim. W 2023 roku wydał w Książnicy Podlaskiej im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku zbiór opowiadań pt. *Ostatnia sarna na ziemi*, jego debiut książkowy.



fol. prywatne archiwum autora

Katarzyna Nowak-Szelejewska

Fragmenty

Pierwsza miłość cioci Tusi

Ciocia Tusia, kiedy zakochała się po raz pierwszy, już pracowała w sklepie, a przed nią była zaplanowana przyszłość. Tamten mężczyzna miał na imię Tomasz, pojawił się w jej życiu niespodziewanie, choć czekała na niego, ponieważ już od jakiegoś czasu wypatrywała miłości i chciała uwierzyć, że był jej przeznaczony.

Uśmiechał się czule i radośnie. Był przystojny i wysoki, a do cioci odnosił się z nieskrywaną namiętnością.

Spodziewano się po nich, że szybko wezmą ślub, założą rodzinę i będą żyli razem po kres swoich dni. Zresztą wszystko na to wskazywało. On miał dobrze płatną pracę, więc ona mogłaby zrezygnować z prowadzenia sklepu. Być może zechciałaby zatrudnić kierownika czy kogoś w tym rodzaju, kto odpowiadałby za wszystko i przynosiłby cioci dochody. Kiedy szli obok siebie ulicą, tak byli zakochani, że unosili się co jakiś czas nieznacznie nad ziemią. Nigdy wcześniej nie widziano cioci tak szczęśliwej.

– Musisz o mnie zawsze pamiętać – powiedziała do niego ciocia Tusia, kiedy postanowiła się z nim rozstać. – Nie wolno ci o mnie zapomnieć.

Jak mógłby o niej zapomnieć?

Przestał jednak przychodzić do sklepu cioci, a po jakimś czasie wyjechał z miasta. Ciocia wspomina o nim z pewną nostalgią i żalem, jakby musiała się upewnić, że wtedy podjęła słuszną decyzję. Zazwyczaj wraca do niego pamięcią, kiedy jej się przyśni.

– Myślisz, że i on śni o mnie? – pyta mamusię i ciocię Hełę, a one, choć już są dorosłymi kobietami, uśmiechają się z rozmarzeniem i przytwarzają jej, że tak, że na pewno i ona wraca do niego w snach.

– Nie chciałabym go spotkać naprawdę – podkreśla ciocia Tusia – ale w snach to coś innego. Ciągłe siebie widzimy, jakby nic innego nie istniało. Gdyby teraz pojawił się w mieście, nie mogłabym mu popatrzeć w oczy. Ale on o tym wie i na pewno nie wróci.

Sny cioci Tusi o jej pierwszej miłości wzbudziły we mnie pewne podejrzenia. Zaczęłam myśleć o mamusi – kto był dla niej pierwszej miłością – i musiałam zrozumieć,

że istniała ona kiedyś beze mnie, że był taki czas, kiedy nie była moją matką, tylko kimś innym, a skoro kimś innym, to zapewne i teraz tak bywa – że jest istotą oddzielną ode mnie. To odkrycie wywołało we mnie wiele przykrości. Próbowałam ją podglądać, jaka jest, kiedy mnie nie widzi. Kiedy zdarzało jej się w ciągu dnia usnąć na kanapie w salonie, podchodziłam do niej tak cicho, jak potrafiłam, nachylałam się nad twarzą i śledziłam jej sny. Wszystkie natychmiast rysowałam, bo tylko w taki sposób byłam w stanie je pojąć.

Sny mamusi musiałam kreślić grubymi, ciężkimi kredkami. Wywoływały we mnie paraliżujący strach, tak jakbym nigdy nie chciała ich zobaczyć. Wtedy zastygałam z ręką zawieszoną nad kartką. Ale tylko na chwilę, bo coś innego zwyciężało we mnie, jakaś nieposkromiona ciekawość i zazdrość, która musiała poznać do samego końca przedmiot swojego pożądania.

Mamusia śniła szalone przygody. Ujeżdżała dzikie konie. Uciekała w karocy objijającej się o krzywy bruk traktu wiodącego przez las. Dowodziła wojskami, jak przystało na królową. Była więziona, ale zawsze ktoś ją ratował. Rozstrzygała spory. Uczestniczyła w kampanii wrześniowej. Hodowała stada krów w odległych górskich wioskach. Wędrowała pustynnymi szlakami i odpoczywała w gęstych cieniach drzew.

I nigdzie mnie nie było.

Nie znajdowałam siebie w snach mamusi. Byłam smutna i zła. Kiedy tylko mogłam, manifestowałam w stosunku do niej swoją niezależność. Sypiałam na parapetach okien, wbiegałam w sad, żeby zniknąć pomiędzy liśćmi, protestowałam przeciwko pocałunkom, choć nie potrafiłam jeszcze zrezygnować z tego na dobranoc, rysowałam jak szalona, rysowałam siebie bez niej, siebie dorosłą kobietę, siebie zakochaną bez pamięci, siebie w gronie przyjaciółek, siebie w pracowni malarskiej i dopiero tam pozwalałam przycupnąć mamusi, starej i pomarszczonej, przyciskającej bezradnie do piersi torebkę na widok moich obrazów, na których jej nie ma.

Chciałam się zemścić. Chciałam jej za wszelką cenę pokazać, że i ja potrafię być odrębna od niej. Skąd mogłam wiedzieć, że tak właśnie ma być? Nie przeszło mi przez myśl,

że ten wybuch, ta namiętność brała się ze mnie, a nie z niej. Pochłaniały mnie fantazje o byciu przez nią porzucaną, przez co odsuwałam się od niej i zaczynałam widzieć, że jest coraz więcej w moim świecie miejsc bez niej. To była moja pierwsza tajemnica. Nie mówiłam jej o tym, co widzę, a niektóre rysunki chowałam.

W swoim pokoju miałam dużą szafę, wypełnioną ubraniami i zabawkami. Na jej dnie, pod wiszącymi płaszczkami i kurtkami, urządziłam skrytkę. Rysunki chowałam do pudełka po tatusiowych butach, ponieważ było na tyle duże, że nie zaginały się w nim rogi kartek. Przykrywałam je kocem i czasem na nim siadałam. Zamykałam drzwi szafy i zostawałam w ciemnościach razem z moimi rysunkami, które sprawiały, że się nie bałam.

Dopiero tam byłam w stanie wyobrazić sobie pierwszą miłość cioci Tusi. Aż coś piekło mnie w brzuchu z przejęcia. Wyobrażałam sobie miłość większą niż miłość do mamusi. Miłość, na rzecz której ją porzucałam, żeby mogła się zesterzyć i pomarszczyć, bo dopóki była moją mamusią, najważniejszą osobą na świecie, musiała pozostawać młoda i piękna, energiczna, rządząca się, mściwa i żądna uwagi.

Ciocia Tusia, tamtego dnia, kiedy była z nim po raz pierwszy umówiona w kawiarni, ubrała czerwoną sukienkę w kwiatki, a on tak się zachwycił na jej widok, że uronił kilka łez. Taką ją potem niósł w swojej pamięci przez całe życie – szczupłą, zgrabną, zalotną, niewinną. Usiedli przy niebieskim stoliku, ciocia zamówiła filiżankę czarnej kawy, kelnerka potknęła się i kawa rozlała się na tacy. „To na szczęście”, powiedział Tomasz, a ona w końcu odważyła się na niego spojrzeć. Od tamtej pory była w nim tak zakochana, że nie przestawała na niego patrzeć. Tak oto stała się z nim jednym ciałem i jedną duszą. Filiżanka była biała i prosta, na talerzyku podano jeszcze cukier i miniaturowe ciasteczko. Ciocia cała drżała, kiedy unosiła filiżankę do ust. Tamta chwila rozciągnęła się, objęła jej pierwszą miłość i miała się nigdy nie skończyć. Jeśli kiedyś jeszcze przyjdzie cioci po raz drugi przeżyć swoje życie, to nie odłoży tej filiżanki na talerzyk, nie wstanie od stolika i nie pożegna się z Tomaszem. Będą tam siedzieć aż do kolejnej śmierci, będą siedzieć i wpatrywać się w siebie, bo już będą wiedzieli, że nic innego w życiu nie miało sensu.

A ja, w swojej ciemnej szafie, nie przestanę tkwić w złudzeniu, że nic nigdy nie ma końca, ponieważ każda śmierć jest śmiercią na niby. Ciało znika, ale wystarczy zamknąć oczy, żeby na powrót przywołać je do życia. „To nie ma końca”, mówiłam jeszcze, zanim wyszłam z szafy.

Tamten chłopiec

– Tamten żydowski chłopiec – powiedziała mamusia, nachylając się nad stołem i patrząc intensywnie przybliżonymi oczami w oczy cioci Heli i cioci Tusi – mógł zostać bratem naszej matki, którego nigdy nie miała.

Moja prababka, choć chciała, nie przygarnęła tamtego chłopca i prawdopodobnie nie ocaliła go przed śmiercią. Udało jej się przez jedną noc zatrzymać go za piecem chlebowym, wręcz wpakować do tego pieca. Przeszedł z jednego dołu w drugi dół. Z dołu trupiego w dół chlebowy.

– Dół obfitości – komentowała zazwyczaj tamtą noc ciocia Tusia.

– Prababka była tak dobra, że gdyby tylko mogła, schołaby go przed wojną we własnym brzuchu – dodawała ciocia Hela.

Zamilkły.

Nie widziały go nawet na zdjęciu, a jednak poszukiwały rysów jego twarzy na każdej fotografii z dawnych lat. Widywały go także w snach, zawsze skulonego, głowa ukryta w ramionach, plecy okryte czarną jak smoła koszulą i nogi tak mocno podciągnięte pod brzuch, jakby został ich pozbawiony.

– Odziedziczysz po nas ten sen – grzmiały ciotki nad moją głową, a potem przeglądały w nerwach moje rysunki, jakby liczyły na cud, na to, że po tylu latach wyciągnę go z pamięci.

– Ktoś musi w końcu go ocalić – wzdychała nade mną mamusia, pokładając nadzieję nad nadziejami w moich rysunkowych zdolnościach. Czyż tatuś nie powtarzał co dzień, że jestem wyjątkowo utalentowanym dzieckiem, obdarzonym ponadprzeciętną intuicją? Dlaczego więc i ona nie miałyby sobie rościć do niej prawa? Dlaczego nie skorzystać z tego daru, który z niewiadomych przyczyn spłynął na mnie, i nie porozdzielać go pomiędzy wszystkich złaknionych, wygłodzonych, umarłych?

– Wszyscy we wsi słyszeli, jak do nich strzelano, choć zrobiono to w gołym, wietrznym polu, wczesną wiosną, kiedy ziemia była rozmokła i w szale rodzenia – przypomniała ciocia Tusia, chwytając niezgrabnie za uszko filiżankę. Siorbnęła i wzdrygnęła się nagle, jakby przebiegł jej po plecach chłodny wiosenny wiatr.

– Miał osiem lat i go nie rozstrzelali, a przecież myśleli, że tak właśnie było. On nie potrafił tego wyjaśnić i ja też dzisiaj nie umiem. – Ciocia Hela okryła się szalem, bo i jej zrobiło się chłodno. – Tu jest przeciąg – dodała

oskarżycielskim tonem, ale mamusia nie zareagowała i nie pobięła sprawdzać, czy gdzieś przypadkiem nie została otwartych okien, tak niebezpiecznych, jeśli chodziło o zdrowie jej sióstr.

– Kiedy wszystko przysypali i kiedy usłyszał, że ich nie ma, zaczął się przekopywać przez trupy i przez ziemię – zaryzykowała przypuszczenie mamusia, bo nikt nie wiedział, jak było naprawdę.

– Przebudził się, bo gdy upadał w dół, uderzył się w głowę i stracił przytomność. Miał czym oddychać, ale była to marna pociecha. Zostały tylko twarze. Porozrzucane kończyny przypominały mu korzenie drzew. Po nich wspinał się w górę, a choć było tak ciemno, jak musi być ciemno w ziemi, wszystko widział, najmniejszy wykrzywiony palec, pogniecioną spódnicę, dziurawą marynarkę zasłaniającą dziurawe plecy, schodzone buty, których nie było żal zostawić na śmierć. Metalowe sprzączki wbijały mu się w stopy, bo sam od dawna chodził bez butów. Gdyby znalazł się na samym dnie, nie zdołałby się wspiąć. Ale był w połowie. Może nawet wyżej. Ci nieporządni Niemcy, ci niechluj, leniwi kaci, nie przysypali dołu ziemią, jak być powinno,

jak należało. Opili się bimbrem, który regularnie dostawali od chłopów. Opili się i z ziemi wystawały ręce i nogi, obnażone brzuchy, zmarszczone czoła i nieopadnięte powieki. Nie myślał o nich, kiedy się wspinał. Co chwilę przysawał, żeby nasłuchiwać czyjegoś oddechu. Słuchał i słuchał, ale to były tylko korzenie roślin i trawy, pulsowały życiem i szycowały się, żeby na powrót zawiadnąć tym kawałkiem ziemi. Kiedy był już blisko powierzchni, zrozumiał, że nikt nie oddycha, i się poddał. Zacisnął powieki tak mocno, jak mógł, i zaczął napychać sobie buzię ziemią. Przelykał grudę za grudą, a każdą nasiąkniętą krwią, i gdy już wydawało mu się, że umiera po raz drugi, coś w nim drgnęło. To dłoń drgnęła. Ona jedna kazała mu się bronić, ponieważ tą dłonią rzeźbił różne rzeczy w drewnie i ojciec powiedział do niego: kiedyś będziesz wielkim artystą. Posłuchał głosu ojca i wspiął się na samą górę, aż przebił palcami warstwę ziemi i poczuł na niej zimny powiew wiosennego wiatru – opowiadała prababka, która przeżyła swoją śmierć.

Mamusia i ciocie za każdym razem słuchały jej z zapartym tchem, jakby to była nieznaną im opowieść. Częstoowały prababkę herbatą i ciasteczkami. A ona nie odmawiała.

Lubiła te kruche, napełnione marmoladą z róży, lubiła też czekoladowe i nie mogła się nadziwić, jak szybko czekolada rozpływała się w ustach. Zawsze przychodziła bardzo elegancko ubrana, zawsze z dużym brzuchem, w którym siedział tamten chłopiec, powiedziawszy uprzednio jej wszystko, co miał do powiedzenia.

– Przyszedł do mnie nocą, przyszedł i wszedł do pieca, a ja pozwoliłam mu tam zostać, bo obydwoje wiedzieliśmy, kim był i że właśnie wyrwał się śmierci oraz że nie wolno mu pomagać pod żadnym pozorem. Nakarmiłam go wszystkim, co miałam, ale on nie chciał jeść. Pochował chleb i kapustę po kieszeniach. Siedział w tym piecu, siedział całą długą noc, aż przyszedł świt i do chaty wszedł sołtys. „Oddajcie tego chłopca”, powiedział. „Oddajcie go, zanim będzie za późno. Oddajcie go, głupia babo, bo Niemcy spalą wieś. Oddajcie go, bo choćbym miał go wyciągnąć wam z brzucha i najpierw rozpruć ten brzuch, zrobię to”. Skąd wiedział, gdzie go szukać? Czy wyczytał to z moich



Martyna Kwaśniewska / PLSP w Supraślu

oczu? Gdybym tylko wiedziała, zacisnęłabym powieki i powiedziała mu, że zachorowałam na oczy. Otworzył drzwiczki od pieca chlebowego i wyciągnął go za głowę, ciągnął i ciągnął jak przy porodzie, a tamten chłopiec się nie zapierał, bo nie miał o co. Wyciągnął go i wyniósł z chaty. Splunęłam za soltysem po wielokroć. I przeklełam go tak, że umarł rok później, przyszli inni Niemcy i rozstrzelali go za ten bimber. Śmierć za śmierć. Tfu!

Czekały wszystkie, kiedy narysuję jego twarz. Bo nawet prababka miała jej nie widzieć.

– Wszystko ją zasłaniało: noc, ziemia, krew, piec i soltys – tłumaczyła się i mamusia i ciotki jej wierzyły, ale nie ja. Usta lekko jej drżały przy tym kłamstwie. Ach, jak bardzo nie chciała się z nikim dzielić jego twarzą, jak chciała zachować ją tylko dla siebie!

– Przecież nie rozpruję jej brzucha – zwierzyłam się pewnego razu mamusi i ciociom.

– Ależ, kochanie, komu nie rozprujesz brzucha? Co opowiadasz?

– Jej. – Wskazałam palcem w nieokreślonym kierunku.

Nie musiałam powtarzać ani niczego im wyjaśniać. Zrozumiały i przestały ją przyjmować na swoich podwieczorkach. Przestały z nią rozmawiać, ale nie mogły zaprzeczyć, że ta historia się wydarzyła i że ich pamięć jest tak bardzo nią nasiąknięta, że już nie wyobrażały sobie bez niej życia.

– Więc zamknij mocno oczy – poprosiła mamusia – i zobacz, jaka ona jest. Jaka jest twarz tamtego chłopca w ciemnym brzuchu twojej prababki.

Łyżka

Dawno temu mamusia zakopała w ogrodzie skarb. Była to łyżka jej ojca z obozu głodowego pod Jasłem. Przyniósł ją pod osłoną nocy i nic więcej nie powiedział.

Mamusia nigdy nie pozwoliła mi jej odkopać, ale nie mogła wiedzieć, że poznawszy jej tajemnicę, nie zdołałam oprzeć się pokusie i wydobyłam na światło dzienne tę właśnie łyżkę, aby przyjrzeć się jej w pobożnej zadumie. Została wytłoczona z aluminium i przetarta na wszelkie możliwe sposoby. Dziadek chciał się jej pozbyć, ale w gruncie rzeczy nie był w stanie o niczym zapomnieć i tę pamięć przekazał najpierw mojej mamusi, a potem mnie.

Pamięć o głodowej łyżce dawała o sobie znać przede wszystkim w snach, co nie mogło mnie dziwić, jako

że dziadek pod osłoną nocy wraz z łyżką opuścił obóz i śniąc na jawie, wrócił do domu, gdzie już nikt nie spodziewał się go zobaczyć ani żywym, ani martwym. O licznych niedo-godnościach i przygodach, na które był narażony podczas tej nocnej eskapady, opowiadał niechętnie i powściągliwie. Nie wiedział też, dlaczego wyniósł ze sobą łyżkę, choć wydawało mu się to zupełnie naturalne, jednak nie rozwiązywało kwestii jej dalszych losów, gdyż łyżka tak naprawdę nigdy nie należała do dziadka, została mu jedynie przekazana na poczet życia obozowego.

– Moja jedyna rekompensata – powiedział kiedyś, a mamusia natychmiast zapamiętała te słowa i przez nie właśnie zaczęła traktować łyżkę jak skarb.

Jej gładkie wnętrze napawało ją ekscytacją i smutkiem. Dotykała łyżkę delikatnie, z uwagą, jakby nie dowierzała jej aluminiowym właściwościom i obawiała się, że roz-pierzchnie się jak płatki sadzy.

Po śmierci dziadka natomiast schowała łyżkę do drewnianego pudelka i zakopała w ogrodzie. Od tamtej pory nie chciała na nią patrzeć, choć przez sen nieraz zdarzało jej się opowiadać o obozie głodowym pod Jasłem i jadlo-spisie, który serwowano więźniom. W ciągu dnia nie miała wątpliwości co do jego podłej jakości, jednak nocą śniła wykwintne uczyty, mięsiwo tłuste i smażone, torty nadzie-wane lodami i więźniów tak otyłych, że ledwo co przeci-skali się przez drzwi baraku i na placu obozowym wywracali się na twarze nie z głodu i zimna, ale z powodu ogrom-nych brzuchów, które sprawiały, że nie byli w stanie ustać na baczność.

Łyżkę w ogrodzie mamusia zakopała nocą. Podglądałam ją przez uchylone firanki, nękana poczuciem winy po śmierci dziadka. Już wtedy miałam pewność co do jego pamięci o obozie we mnie, więc wiedziałam, że w jakiejś odległej przyszłości to ja przejmę pieczę nad łyżką, zamiast mamusi wyciągnę ją z drewnianego pudelka i pogłaszczę czule, jakbym głaskała wygłodniałe palce mojego dziadka.

Nie postępując w zgodzie z tradycją, odkopałam łyżkę znacznie wcześniej i w ciągu dnia, nie zaś pod osłoną nocy, jak miało to wszystko w pierw miejsce. łyżka, która zapamiętała szorstki dotyk dziadkowego języka, błysnęła na chwilę w słońcu i zgasła. Tatusz zawołał mnie na obiad. Chwyciłam łyżkę i pobiegłam z nią do jadalni, a ponieważ pamięć tatusia nie była pamięcią obozową, niczego nie zauważył i beztróskim ruchem podsunął mi talerz z zupą. Nabrałam na łyżkę zupę i ułożyłam ją na języku.

Jeden raz, drugi i zupa zapachniała zatechłymi kartoflami. Im więcej jadłam, tym bardziej stawałam się głodna. Jakbym tą właśnie łyżką wykopywała w brzuchu czarny dół, który prowadził na drugą stronę.

Tak więc stąd przeszłam do tamtego miejsca. Z domu do obozu głodowego pod Jasłem.

Zobaczyłam dziadka jako młodego mężczyznę, niezmiernie zatroskanego. Stał na końcu kolejki, która prowadziła do wielkiego zimnego kotła, obsługiwanego przez spuchniętego mężczyznę, zapewne kucharza. Ten młody mężczyzna, mój dziadek, trzymał w jednej ręce łyżkę, a w drugiej menażkę i w nigdy niekończącej się kolejce umierał z głodu. Poznałam to po tej samej czarnej dziurze w brzuchu i zrozumiałam, dlaczego łapczywie spoglądał na zapuchniętego kucharza. Podeszłam do dziadka, chwyciłam go za rękę i pogłaskałam po palcach. Nie zdziwił się, odwzajemnił tę pieszczotę.

– Teraz już wszystko wiesz – powiedział cicho, żeby nie usłyszał go żaden ze współwięźniów.

Nie zależało mi na tym, żeby mu odpowiedzieć, gdyż nie do końca wiedziałam. Nie chciałam go zawieść.

– Chodźmy stąd, dziadku. – Pociągnęłam go za rękę. Drgnął nieznacznie, jakbym nim zachwiała, ale wciąż nie spuszczał z oczu kucharza.

– Nigdy cię nie zapomnę – odparł i zrozumiałam, że mówił do tego mężczyzny, któremu przypadła święta funkcja rozdzielania zupy z kotła i który spuchł od spojrzeń więźniów, zawistnych i błagalnych. Spuchł ponad miarę przyzwoitości, przez co rozrósł się, jakby przybrał na wadze i na tłuszczu, jakby ukradkiem podjadał podczas gotowania i nikt mu nie wierzył, że to tylko puste spojrzenia, wygłodniałe oczy, które przedostały się pod jego powłokę skórną i ją rozděły.

Dziadek znowu się zachwiał, tym razem na mroźnym wietrze, i zapragnęłam opatulić go swetrem, którego ze sobą nie wzięłam.

– Niczym się nie martw – powiedział, kiedy spadły na nasze gołe głowy pierwsze płatki śniegu. – Ta zima minie raz-dwa, ani się obejrzysz.

Ale nie minęła i wciąż trwała wygłodniała w naszych pamięciach i snach, zawałając je zlogami klujących płatków śniegu. Ciągłe opadały z nieba, wypalając czerwone znaki na policzkach i dłoniach, w tych najbardziej czułych miejscach skóry, i nie znikwały, nie roztopiały się tak, jak Bóg przykazał, tylko zamieniały się w kawałki szkła, twardego i białego, prawie że przezroczystego. Dziadek, który nie umiał

inaczej patrzeć na świat jak przez te szklane płatki śniegu, nauczył tego spojrzenia mnie, mamusię i jej dwie siostry. Jako młody mężczyzna uparł się, że o wszystkim zapomni, ale pamięć działała wbrew jego woli i choć powiedział tylko raz moja-jedyna-rekompensata, nie mógł pozbyć się łyżki, gdyż wciąż nie należała do niego. Najchętniej zwróciłby ją do obozu, ale obóz przestał istnieć, nie został po nim nawet kawałek ziemi, wszystko rozkopano, przekopano i spalono. Został więc do śmierci z tą rozpalającą jego wyobraźnię pamiętką, został wbrew złożonej swojej żonie, a mojej babce, obietnicy, że będzie pamiętał tylko czule chwile.

La Fornarina

Na oddział wchodziło się z przeszklonej windy. Oddziałów nie nazwano wprost tak jak w szpitalach. Klinika miała swoją misję i jednym z jej przejawów było wpływanie na poprawę stanu zdrowia pacjentów poprzez uzdrawianie języka. Tenże język, przynajmniej oficjalny, widoczny na plakietkach, tablicach ogłoszeń, na przyciskach w windach, miał być pozbawiony konotacji medycznych. Miał zmienić sposób kojarzenia pacjentów, poniekąd stworzyć wyobrażenie, że nie są leczeni dzięki pigułkom, narzędziom, fachowym rękóm chirurgów i nie dzięki wiedzy skrupulatnie zdobywanej na uniwersytetach medycznych, ale poprzez sztukę, marzenia senne, przyrodę, siłę woli. „Pacjent jest dla siebie najlepszym lekarzem”, brzmiało dumnie hasło nad jednym z głównych korytarzy. W duchu tej gruntownej przemiany oddziały kliniki miały nazwy fantastyczne, dotykające ukrytego dna, przywołujące na myśl obszary dalekie od choroby, a równocześnie delikatnie o nie zahaczające, trącające chorobę, jakby wykonywano gest miłosny, jakby ją okrywano pozą miłości. Dlatego oddział usuwania piersi nazwano La Fornarina. Wtajemniczeni wiedzieli, jak przemieszczać się pomiędzy tymi nazwami. Stali pacjenci kliniki doskonale rozumieli ten proces leczenia i poddawali mu się rozkosznie, niewinnie.

– Odwiedzimy ciotkę na La Fornarinie – powiedziała matka.

Ja także byłam wtajemniczoną pacjentką kliniki, choć jeszcze nie miałam możliwości korzystania z jej usług. Po raz pierwszy stanęłam przed drzwiami oddziału usuwania piersi w wieku kilku lat. Widniał nad nimi obraz Rafaela Santi przedstawiający prawdopodobnie jego rzymską kochankę, prawdopodobnie cierpiącą na raka piersi z przerzutami

do węzłów chłonnych, która prawdopodobnie zmarła niebawem po śmierci mistrza i której prawdopodobnie nie wpuszczono na jego pogrzeb. Sprytni diagności prześwietili swoimi sprzętami tkanki obrazu i w jego mrocznych warstwach odnaleźli guz nowotworowy. Zuchwale rozgłosili po świecie swoją nowinę, swoją tezę medyczną. Matka uważała, że ten nowotworowy portret zapewne jest jednym z jej przodków, jako że żadnej kobiety w naszej rodzinie nie omijał gen nowotworu piersi. Patrzyła na to w ten sposób: że wszystkie spadkobierczynie tej mutacji genetycznej należą do jednej rodziny, bo kiedyś, w zamierzonych czasach, musiały być spokrewnione, bo ten błąd w materiale genetycznym musiał się zacząć w jednym punkcie czasowym, w jednej kobiecie, w jednej piersi.

Pierwsza siostra matki, ciocia Tusia, zdecydowała się na zabieg usunięcia piersi w wieku trzydziestu dziewięciu lat, zgodnie z wyznaczoną zasadą, że nie należy przekroczyć granicy czterdziestu lat. Kobięca część naszej rodziny od dawna istniała w systemie kliniki oznaczona kodem RQ4597. Byłam tam i ja, ich pacjentka w wieku trzydziestu dziewięciu lat, kiedy zegar wybije swoje, kiedy przyjdzie mój czas. Dzięki grantom badawczym klinika mogła nam zaoferować także rozliczne badania genetyczne dotyczące nowotworów mogących załęgnąć się w innych częściach ciała. Co roku odkrywano nowy wycinek materiału genetycznego, który potrafiiono przebadać pod tym kątem i wraz z wiosną stawiałyśmy się w klinice, ja, matka, ciotka Tusia i ciotka Hela, żeby oddać do pobrania krew. Uparcie nie wychodziły inne mutacje, inne zagrożenia, żadnego ryzyka dla żołądka, wątroby, mózgu, tarczycy. Naukowcy sarkali nad nami z niecierpliwością. Czegoś im nie potwierdzaliśmy, czemuś nie zaprzeczaliśmy, obalaliśmy uparcie jakąś hipotezę. Mogliby nas nazwać – z linii nowotworu piersi – ale w swoich papierach pozostawali wierni językom nauki, zaprzeczając leczniczym możliwościom słów.

Odkąd pamiętam, nie mówiłam La Fornarina, tylko oddział usuwania piersi, a matka i jej siostry za każdym razem oburzały się i ganiły mnie. Próbowaly wyprostować dosadne ścieżki mojego myślenia, bo w tej medycznej nazwie, która wszystko odsłaniała, wyczuwały strach, co nie zmieniało faktu, że usunięcie piersi w wieku trzydziestu dziewięciu lat uważaliśmy za naturalną kolej rzeczy. Kiedy oznajmiłam w okresie dojrzewania mojej pierwszej sympatii los, który mnie czekał za kolejnymi zakrętami życia, zapadło wypełnione grozą milczenie. Matka i jej siostry przedstawiły mi wszystko w szlachetnym świetle nauki.

– La Fornarina musiała umrzeć jako młoda dziewczyna, bo ludzie niczego nie wiedzieli o nowotworach piersi i o przebiegłym materiale genetycznym. Wszystkiemu musieli się poddać. My, kobiety z dwudziestego pierwszego wieku, żyjemy w znacznie lepszych czasach. To materiał genetyczny poddaje się naszej woli. Uginamy go, miętosimy, skraccamy, przechytzamy. Zanim zdąży wystawić swoje macki, usuwamy organ, który zamierza zaatakować. Proste i jasne. Bardzo klarowne. Teraz, z usuniętymi piersiami, możemy dożyć stu lat. To jest niewyobrazalna przepaść – my i La Fornarina.

Matka traktowała ten obraz Rafaela Santi jak swoją stryjeczną prababkę. Jego reprodukcja, niewielkich rozmiarów, wisiała w salonie, pośród innych zdjęć rodzinnych. Niczym *memento mori*, ale także zwiastun życia w postaci kliniki, która rozsupływała lęki swoich pacjentów jak guzki na splątanej nitce.

Ciocia Tusia dzień przed zabiegiem odwiedziła nasz dom. Była już u nas także ciocia Hela i razem z mamusią piekły jakieś ciasto na cześć cioci Tusi, na cześć tego doniosłego wydarzenia. Ja musiałam siedzieć przy stole w salonie i jak zawsze w czasie takich uroczystości rodzinnych rysować. Pamiętam tamten rysunek. Wielka ciocia Tusia, na całą kartkę, z dwiema czarnymi kreskami na klatce piersiowej.

– Takie właśnie zostaną mi blizny – skwitowała moje dzieło. – Blizny życia – dodała wzniosłe i uniosła kieliszek szampana. Matka i ciocia Hela uniosły swoje. Delektowały się tamtą chwilą. Ich zwycięstwem nad pozostałymi kobietami z rodziny, które żegnały się z życiem w wieku około czterdziestu pięciu lat. Nad matką, babką, prababką, nad La Fornariną.

Kiedy zaczęły się u mnie pojawiać zawiązki piersi, patrzyłam na nie nieufnie. Patrzyłam jak na chorobę, od której w przyszłości będę wybawiona. Dotykałam je, szukając subtelnych guzków, młodych pnączy, które miały nieopatrnie zawiązać się w śmierć.

– Zostałyśmy raz na zawsze uwolnione od oddziałów onkologicznych.

To prawda, klinika nie przyjmowała pacjentów onkologicznych, uważała ich los za przesądzony, a samych szukających pomocy za naiwnych. Dlaczego nie zgłosili się znacznie wcześniej, dlaczego nie oddali swojego materiału genetycznego do gruntownego przebadania i nie przewidzieli tych okoliczności, w których właśnie się znaleźli? Gdyby przyszli zawczasu – znalazłaby się rada, ale teraz muszą korzystać ze środków znacznie mniej subtelnych,

muszą wyniszczyć swoje komórki, żeby żyć, a klinika takich metod nie mogła pochwałać. Ona traktowała ludzkie ciało jak narzędzie muzyczne. Jak dzieło sztuki i jak twórcę równocześnie. Kto tego nie rozumiał, nie miał czego szukać w zawiłych korytarzach, w efemerycznych nazwach oddziałów. Ten ludzki instrument klinika stroiła, rozumiejąc, że najpiękniejsze melodie zagra on sam, bo znajdzie je w sobie, własnymi zdrowymi, silnymi rękoma.

Swoje piersi traktowałam jak zbytek. Były dla mnie bardzo cenne, ale nie chciałam się do nich przywiązywać. Nauczyłam się bez nich obchodzić. Czasem je ignorowałam. Przyglądając się sobie w lustrze, zamiast nich widziałam czarne kreski.

Klinika oferowała jeszcze jedną ważną możliwość. Wycięte piersi wsadzała do szklanego czarnego pudełka. Po zabiegu, kiedy pacjentka czuła się już dobrze, w asyście pielęgniarki, grabarza i rodziny przechodziła z czarnym pudełkiem na tyły kliniki, gdzie wyhodowano ogród. Ale ogród był tak naprawdę cmentarzem wyciętych piersi. Zajęte miejsca, gdzie pochowano piersi, były oznaczone niewielkimi kamieniami, na których wyryto proste nazwy: piersi tej a tej i lata ich życia. Można było wybrać miejsce pod krzewami, przy rabacie róż, pod starym

wielkim drzewem. Chociażby w tym sensie, raz pozostawszy pacjentką kliniki, nigdy się nie przestawało nią być – kobiety przychodziły w odwiedziny do swoich piersi, wyrwały niewielkie chwasty, które zdążyły zakwitnąć poza czujnymi oczami ogrodników, odczytywały litery wyryte na tabliczce lub kamieniu, siadały na ławeczce i wdychały zachwycone, bo ogród był prawdziwym arcydziełem i chociaż nikt nie potrafił tego wyjaśnić, kwitł także zimą, innymi słowy – nie podlegał rytmom pór roku. Czy to dzięki sokom płynącym z piersi, które użyźniały ziemię? Były przecież wokół kliniki inne ogrody, cmentarze tarczyc, nerek, żołądków, gałek ocznych, krtani, ale kiedy tylko nadchodziła jesień, przysychały, wędlały, karłowaciały i opadały w sen zimy. Ale nie ten ogród, nie cmentarz piersi; i nad tym fenomenem biedzili się ogrodnicy, rozgrzani, ogorzali od nigdy nieodpoczywającego słońca, brali w twarde, spuchnięte od pracy palce grudki ziemi i przyglądali jej się z fascynacją. W końcu przykładali ją do ust, bo rozeszła się pogłoska, że tak jak rośliny tej ziemi nie obumierają, tak ludzie, którzy z tej ziemi wyrastają – nigdy nie umrą.

KATARZYNA NOWAK-SZELEJEWSKA

– psycholożka, psychoterapeutka, pisarka. Została wyróżniona m.in. w konkursie zorganizowanym przez Wydawnictwo Czarne, w konkursie Międzynarodowego Festiwalu Opowiadania oraz w Międzynarodowym Literackim Konkursie im. Siegfrieda Lenza. Brała udział w warsztatach literackich organizowanych w trakcie Międzynarodowego Festiwalu Opowiadania oraz Festiwalu Góry Literatury – Fundacja Olgi Tokarczuk. Uczestniczka Pracowni Prozy Biura Literackiego w ramach Pracowni Stacji Literatura 23 w 2018 r. Autorka zbioru opowiadań *Skrzypki* (Białystok 2023). Publikowała na łamach czasopism: „Akcent” (2021), „Tlen literacki” (2021), „Fabularie” (2021) oraz „Twórczość” (2022). W 2021 r. zdobyła Nagrodę Literacką im. Mariana Redwana.



foto: prywatne archiwum autorki



Piotr Falkowski / PLSP w Supraślu

Maciej Julian Krotke

3 wiersze

Rewind

Uderzyłem się w palec u nogi
Strasznie mnie boli
Już mnie mniej boli
Już mnie nie boli
Już się nawet nie uderzyłem

O kilka tarć buta

I nagle wyrasta lita ściana bez okien, balkonów i drzwi.
Jedna z tych ścian, przed którą zastanawiasz się,
Czy dawniej też tutaj była.
Jedna z tych ścian, której nie tyle, że nie powinno być,
Co nigdy przedtem jej w tym miejscu nie widziałeś,
Mimo że mieszkasz tu od pliocenu.
Wystarczyło tylko spojrzeć trochę w górę,
Ponad dachy autobusów i szczyty latarni.
Trochę wcześniej, trochę inaczej, o ułamek, z ukosa.
O kilka tarć buta, napędzającego ruch Ziemi, wcześniej,
Na jedynym takim chodniku w całej galaktyce,
Gdy tak idąc, dochodzisz
Do siebie.

CUANDO MERDA

Nie mówię że poeci powinni zająć się handlem.
Zawsze też są kantory, które można założyć.
Ogólnie chodzi o kasę.
Ale nie wiem, co na to zaradzić,
bo nawet jak już wydasz książkę z wersami,
to nikt jej nie kupi, jedynie garstka Spartan,
wśród nich może ktoś z rodziny.
Nie zarobisz na tym. Wiem że to nie jest najważniejsze,
bo przecież „być”, a nie „mieć”.
Bo ważniejsze jest „nie mieć” „będąc” w nieciekawym
położeniu.

Kiedyś cinkciarstwo było całkiem do rzeczy.
Zawsze stwarzało jakieś możliwości dla poetów,
przynajmniej dla tych, którzy nie bali się dostać
po mordzie.

Ale zamknęli pewexy i państwowe kina,
pod którymi można było dorabiać na biletach jako konik,
powracać tam jak Jedi.
Teraz chyba nie ma takich fuch.

Teraz jest legalna śmieszność finansowa
i jak nie ma się fachu w ręku, to się nie ma.
To jest kiepsko, bo poezja to nie fach.

Ktoś tak ustalił, ktoś utrwalił, ktoś powtarza.
Poezja to nie fach, nawet jak ma się ją w rękach.
Lepiej jak ma się ją w dupie.
Lepiej układać glazurę niż wiersze.
Lepiej fugować szpary, niż spawać wersy.
Niż obrabiać skrawaniem naddatki w zdaniach.

Lekko zmęczony dobiegam
pięćdziesiątki.
Przecieram czoło i popijam setką.

Na trawniku leży kilka moich zeschłych zwierzeń,
spaproszonych, sfrustrowanych wyrzutów do zgrabienia
i spalenia.

Kupa liści dymi. Patrzę na wątły płomień.

Oparty o grabie śmieje się w duchu
dziękując Henry’emu Millerowi
za jego przyjaźń z Blaise’em Cendrarsem
uwiecznioną na papierze listowym z napisem:
CUANDO MERDA TIVER VALOR POBRE NASCE
SEM CU,

co po przetłumaczeniu oznacza:
KIEDY GÓWNO NABIERZE WARTOŚCI, BIEDNY
URODZI SIĘ BEZ DUPY.

MACIEJ JULIAN KROTKE (UR. 1976)

– ukończył filologię polską na Uniwersytecie w Białymstoku. Laureat XXXIII Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. J.I. Kraszewskiego zorganizowanego przez Białskie Centrum Kultury w Białej Podlaskiej (2017, kategoria proza). Teksty publikował w piśmie literackim „Epea”, gazecie literackiej „Migotania”, e-dwutygodniku literacko-artystycznym „Pisarze.pl”, pomorskim magazynie literacko-artystycznym „Latarnia Morska”, miesięczniku literackim „Akant”, magazynach internetowym „Helikopter”, „Suburbia”. W maju 2023 roku został wyróżniony Nagrodą Książnicy Podlaskiej za wiersz zgłoszony do Turnieju Jednego Wiersza „Niech zwycięży poezja” organizowanego w ramach VII Edycji Festiwalu Literackiego „Autorzy i Książki”. Mieszka w Białymstoku.

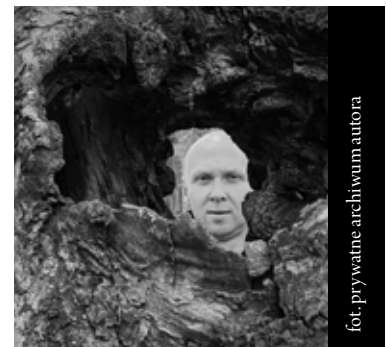


foto: prywatne archiwum autora

Maja Pszczoła

5 wierszy

*** [Wpatruję się w ciebie jak w świętego]

Wpatruję się w ciebie jak w świętego
Jesteś moją modlitwą
Ogniem niegasnącej świecy
Jesteś ziemią i powietrzem
Krzykiem budzącego poranka
Deszczem padającym na moje ciało
Jesteś przepaścią
Kiedy biegnę i skaczę, aby zjednoczyć się z tobą
Moje kości moje lono
Roztrzaskują się o ciebie

*** [Poszłam do piekarni]

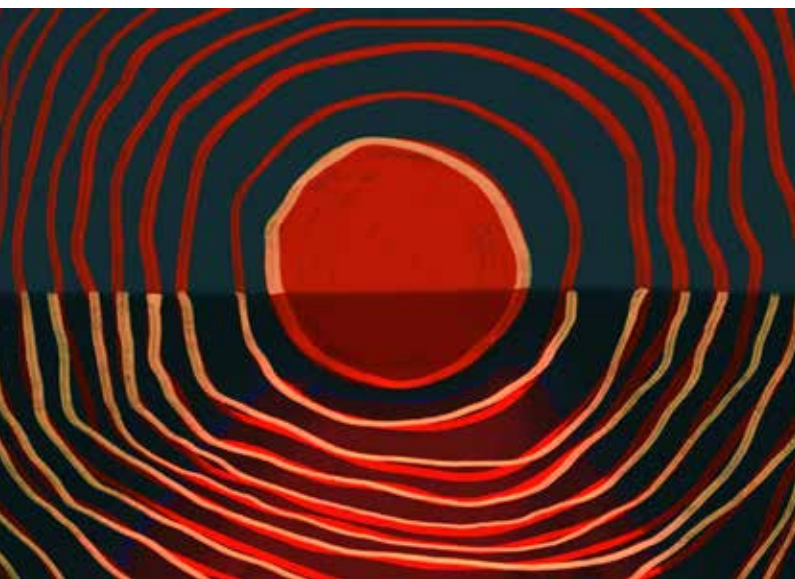
Poszłam do piekarni
I zobaczyłam was na skalce, jak smażyście na grillu kielbaski
Pomyślałam
Co się stało, że przeoczyłam spadającą do morza gwiazdę
Nie wiedziałam, co kupić na śniadanie
Bulkę, która miałaby smakować jak wata
Czy pączka
Jego też zjadłabym w samotności, ale pocieszona
Zaciszem piekarni i widokiem wybrzeża
Łowiąc zielone fale, które wyrzucają na brzeg przeznaczenie

*** [Chcę być razem z tobą w Thailand Yoga School]

Chcę być razem z tobą w Thailand Yoga School
W drewnianym pawilonie ze szkieletem nieboszczyka przybitym do słupa
Z bambusowymi roletami chroniącymi przed komarami
Gdzie pan Dewa rozdaje jednodniowe sałatki w ogródku pod dżunglą
Chcę być twoją jedyną kobietą
Ale moje oczy, mój uśmiech, mój głos boją się
Kamiennych demonów o rykach tryskających wodą
Wodą, którą Tessa i Vanessa myją swoje twarze
I rozmawiają zawzięcie jak robią siedem wdechów
Napięty silny grzbiet, wygięty w górę eden
I uszkodzony jak liry
Trzymane w rękach, choć jeszcze chwilę temu stały na głowach
Chcę abys wiedział, jak bardzo mi na tobie zależy
Kiedy ci to wyznam, zerwę bambusowe rolety
Abyś zobaczył, jak mało obchodzi mnie dżungla
Owady, rechoczące demony i wszystko, poza tobą.
Będziemy w pawilonie z trupa głową
Na zawsze razem

*** [Pamiętam twoje spojrzenie]

Pamiętam twoje spojrzenie
Ulepione z gliny naszej nocy
Teraz jesteś wodospadem
Szumiącym błyskiem małż
Kiedy na was patrzę
Ty w blasku słońca stoisz bosy na mokrych kamieniach
Ona w stroju kąpielowym przyciśnięta do ciebie
Ponad wami palmy przepoławiają deszczowe niebo jak zakrwawione sztylety
Ona jest twardą i miękką agonią granatu
Odwracam głowę, kiedy rajskie ptaki za oknem
Uderzają skrzydłami
I nawołują, bym roznieciła ogień
Ubieram się w kurtkę i wybiegam w burzę



Martyna Kwaśniewska / PLSP w Supraślu

*** [Pojechałam na wieś, ponieważ tak bałam się]

Pojechałam na wieś, ponieważ tak bałam się rozmowy, że wolałam patrzeć na kozy, jak przebiegają drogą i skubią trawę. Wolałam podejść do stawu obrośniętego przez palki, trzciny, lilie i rzucić czerstwy chleb kaczkom. Ale ta wieś, do której uciekłam, leżała ponad miastem. Dlatego, gdy głaskałam białą kozę, a zimny wiatr uderzał od strony gór, widziałam spiczaste wieże i betonowe bloki. Pomyślałam, że lepiej nie szukać głębi w miłości, ani w swojej rozpacz i w lęku, który zapędził mnie pod ostrze przyrody. Może po prostu dam ten chleb kaczkom i wrócę do miasta jakbym była zwykłą turystką, niezakochaną, ani nie nieszczęśliwą, tylko turystką, która w sobotni poranek wyruszyła z miasta nakarmić kaczki.

MAJA PSZCZOŁA

– ur. 10.10.1992 r. w Białymstoku. Z wykształcenia lekarka. Ma niewielkie osiągnięcia literackie: wyróżnienie za esej w konkursie literacko-plastycznym „Na granicy” oraz publikacja wiersza w książce „Z życia do życia”. Chętnie uczestniczy w warsztatach pisarskich. W 2023 r. ukończyła kurs poetycki w Kalifornijskim Instytucie Sztuki. Inne zainteresowania to matematyka, filozofia, malarstwo.



fot. prywatne archiwum autorki

Gosia Żygadło

6 wierszy

Mętna woda

Jak sobie radzisz z miłością, kiedy jesteś sam?
Gdy tęsknota zgina kolana i choćbyś pełzył na czworaka,
to nie ma do kogo wracać.

Zniechęcenie jest stanem spoczynku zmałowanej wody.
Opadł na dno muł zbyt ciężkich słów z gwałtownej burzy
pragnień. Już nie przywróci jej tafli blasku nawet uśmiech.

A

A pomidory zachodzą za obrus podwieczorkowego stołu jak pachnące słoneczka.
A weki daremnie próbują zamknąć w sobie ten zapach.

Miss

Na imieninach u cioci jej koleżanki zwiastowały moje zwycięstwo w wyborach Miss Polonii.
Jednak pojawiły się koreczki i już nie zapytały,
czy obchodzi mnie plastik w oceanach i ratowanie głodnych dzieci.

Chomik

Chociaż chomiki trzeba karmić i wymieniać im trociny,
to bierzemy za nie mniejszą odpowiedzialność niż za psy;
są jak tańsze bilety na wstęp do niej.
Żyją dwa lata, ale można się do nich przywiązać.
Plakałam po czterech i wszystkie zakopałam za szopą między miętą a jaskrami.
Myślałam, że są spełnieniem życzeń ze zdmuchniętych świeczek,
jednak ojciec mi powiedział, że są po to, by nauczyć dzieci śmierci.
A ty czemu uciekłeś od swojej godziny zasypiania? I gdzie
chowasz się przed nią? Za drżącą od oddechu nocy firanką?

cięcie

najzywiej pachnie zielona
krew

dlatego śmierć
nie gniewała się na mnie
kiedy dziadek dawał mi kamień
i pozwalał ostrzyć kosę

bo na trawę w ogrodzie
była już najwyższa pora



Amelia Popescu / PLSP w Supraślu

NÓŻ

Oстрыm nożem odkroił mi palce od stóp i potem wbił go sobie między „kocham” a „przepraszam”. Niepotrzebnie teraz to rozdrapuje, bo mu się zabliznię. Będzie lepiej. Nie obiecuję, ale na początek mógłby wytrzeć zaschniętą krew snu, który wsiąkł w poduszki; cichy od śmierci puch gęsich piór.

Wylał potok słów z niefiltrowanego piwa. Poczęstował mnie ukradzionym z raję jabłkiem. Zrobił wydech aldehydem octowym i stał się grzesznym wstydem jabłoni bez korony. Znalazł patyk i kasztany i pogubił.

Wysłałam do niego zachwyty z nowym wierszem, gdy niepokój zonglował zaufaniem na moście. Nostalgia powąchała perfumowane nim powietrze i smutek owinął mnie kocem, kiedy jesień cierpliwie chodziła po ogrodzie za latem. Strach udał, że go nie ma, gdy brnęłam z samotnością po pustyni do wodopoju.

Przypomniał mi o nieszczęściu, ale został na szczęście. Łakomy jak wilk. Wypuścił mnie w noc. Idź. Uda ci się. Ja boję się iść po omacku, a on się boi zadawania pytań. Wie i nie wie. Śmieje się i wybuchą płaczem. Chce i nie chce. Żyje i umiera wiecznie. Zaraz się zacznie. Zabiera mnie na spacer po szaleństwie.

Nie bój się. Tam jest strasznie tylko w pojedynkę. Nabijam tobą zapalniczki. Podpalam powietrze. Nic nie musisz mówić, jeśli nie chcesz.

GOSIA ŻYGADŁO

– (ur. listopad 1980) zamieszkała w Środzie Śląskiej (pon.–pt.) i we Wrocławiu (sob.–niedz.). Inżynier maszyn – wedle dyplomu. Budowlaniec samozwaniec – wedle hobby. Psychopatopoetka codzienna – wedle potrzeby. Uprawia romantyzm katastroficzný z wiecznie źle ulokowanym optymizmem. Podróżnik, powsinoga. Interesuje się ludźmi i komunikacją społeczną. Lubi muzykę – od klasycznej po techno – i budowanie z lego.



Marzena Mariola Podkościelna

3 wiersze

Nie powiedziałam ci o sikorkach

nie widzieliśmy się od jesieni
jest pusty marcowy chłód na placu Świętego Franciszka
gdzie przypadkiem
spotykamy się w świetle kościelnych lamp
cieszysz się
jak dziecko
cieszę się jak dziecko
twój śmiech jest ciepły

aż chce się wierzyć w śmiech

i w nas – światłoczułe robaczki
za plecami których ciągną się długie cienie
dwóch krasnostawskich świątyń – farnej i jezuickiej
tej zapomnianej na amen i tej z sypiącym się tynkiem

masz spierzchnięte dłonie więc jakoś
nie mówię o sikorkach które zbieram w swoje
spod okna kuchni
zabijają się
w marcowym słońcu za cenę zabawy z szybą

odkąd mieszkasz w tym mieście wiesz że już możesz mieszkać
właściwie wszędzie
bylebyś tylko mógł wracać na Podlasie
które za każdym razem przychodzi
odchorować

Mogliśmy nie zaczynać o tym miłowaniu

do Jazłowca do tych moich dziewczynek
z opowieści Machno nad ukraińską rzeką Olchowiec
z mojego polskiego Olchowca w którym teraz jestem
między tym a tamtym okrutna granica

ani do twojej podróży z matką Marceliną klasztorem i zamkiem
w podolskich krajobrazach
niby to tylko sześć godzin jazdy ale noc to noc
pora nie najlepsza

może i wszystko tam jeszcze jest
ale teraz żadnej bezpiecznej drogi

w naszych myślach dręcząca pamięć
sto tysięcy rozstrzelanych i Babi Jar
o którym pierwsza powiedziała mi Marianna
zapisła Głosy i to tylko niektóre głosy z jednego lasu
z ponad tych stu tysięcy zabitych

albo twoje zdjęcia z Czarnej Drogi
tu człowiek jest pięczęcią póki jest tabliczką z imieniem nazwiskiem
i honorem którego przecież można było się wyrzec
w imię imienia bez honoru
więc niektórych zastanawia różnica i cena

zaczęliśmy doszukiwać się miłości
w czarną noc
a w noc wszystkie drogi są czarne jak ziemia
ziemia która nie krwawi jeśli strzelano w rdzeń
by nie wypłynęła z ciała krew bo to sposób
na wszystko jest jakiś sposób
więc może i na doszukanie się miłości człowieka i Boga

flagi łopoczą
coś wiedzą chyba tak jak mistycy i wariaci
tylko kto ich słucha

Rocznik '48 Arianka

z aparatem w uchu przyjechał wueską
widzi pani
ja się śmiałem że to bajki jakieś
ale ten stary Żurek ze wsi do mnie chuchraka wtedy
po chłopsku i surowo powiedział patrz
na wprost o tędy od grobowca do zamku w prostej linii
w poprzek pól zaczyna być widać na wiosnę
a potem też nie rośnie jak na reszcie pola
jak droga jakaś od zamku
aż tutaj

teraz mówią że czasy lepsze
ale wtedy jak na tej górze drzew nie było
i od samej piramidy zjeżdżaliśmy do pierwszej
wsi Krynicy sankami
to w domu wszystko z głodu smakowało
a teraz drzewa na całej górze rosną
ledwo sześćdziesiąt lat a ile ich
a lodówkę jak się otwiera
to nic się jeść nie chce

i widzi pani ot kopią w ziemi
badacze ale słuchać nie chcą
mówią że to bajki jakieś słuchać ludzi
którzy starszych we wsi słuchali

MARZENA MARIOLA PODKOŚCIELNA

– urodzona na ziemi zamojskiej. Mieszka i pracuje na ziemi krasnostawskiej. Poetka, laureatka wielu konkursów poetyckich. Trzykrotnie nominowana do Połowy Biura Literackiego. Jurorka konkursów poetyckich. Publikowała w ogólnopolskich pismach literackich: „Odrze”, „EleWatorze”, „Helikopterze”, „wydawnictwie J”, „Kozimrynku”, „Egerii”, „Migotaniach”, „Latarni Morskiej”, „Przestrzeni Pogranicza” i innych. Animatorka i twórcza kultury. Nagrodzona I nagrodą w Konkursie Kultura 2018 w powiecie krasnostawskim. Pomysłodawczyni i prowadząca cykl spotkań „Anna Kamińska w moim życiu” w Powiatowej Bibliotece Publicznej w Krasnymstawie, kontynuatorka Krasnostawskiej Nocy Poetów, pomysłodawczyni Turnieju Jednego Listu. Fotografuje. Jej zdjęcia były zapowiedzią tygodniowego Festiwalu Kultury Kunstplatz Tittmoning w Niemczech.



foto. prywatne archiwum autorki



Martyna Kwaśniewska / PLSP w Supraślu

Między Polską a Australią, wschodem a zachodem, przeszłością a terażniejszością. Dopisek [wprowadzenie] do rozmowy z Joanną Miłosz-Piekarską

Czasem ciężko jest wyznaczyć kierunek, szczególnie jeśli rozpatrujemy jakieś znaczące odległości na mapie, a pod uwagę bierzemy dodatkowo choćby zakrzywienie kuli ziemskiej. Bo niby gdzie leży Polska względem Australii? Na zachodzie czy może jednak na wschodzie? I jak ta orientacja geograficzna ma się do kierunku światopoglądowego, kulturowego, artystycznego, literackiego, wreszcie do kierunku myśli w ogóle? Te pytania nie padają bezpośrednio w mojej rozmowie z Joanną Miłosz-Piekarską – córką Andrzeja Miłosza, bratanicą noblisty Czesława Miłosza, autorką wierszy i książki wspomnieniowej *Wszystkie czasy przeszłe*. Z tej samej jednak rozmowy można pośrednio na powyższe pytania odpowiedzi wyluskać.

Bo może te ciężkie do wyobrażenia odległości ulegają skróceniu, kiedy jesteśmy z danym miejscem na mapie, w przestrzeni związani w sposób szczególny, przekraczający ograniczenia fizyczne, zaginający czas i przestrzeń. Może wachając egzotyczne kwiaty, da się wyczuć w ich woni nuty bzu, czego daje wyraz autorka *Czerwonego pyłu*? Jak ważną rolę w umiejscowieniu, określeniu człowieka w świecie odgrywa pamięć, która szerokościom i długościom geograficznym skutecznie przeciwstawia przestrzeń mentalną i asocjacyjną? Możemy się o tym przekonać, zagłębiając się w lekturę *Wszystkich czasów przeszłych* – mapę myśli, świadectwo bogatego doświadczenia Joanny Miłosz-Piekarskiej, które zawiera w sobie ułamki biograficzne wielu znanych i mniej znanych, ale równie godnych zapamiętania osób, przede wszystkim członków jej rodziny: Miłoszów i Goliszewskich – które ten czas i tę przestrzeń zakrzywiają, czynią minione wydarzenia bliższymi.

Podobną rolę odgrywają – choć w zupełnie inną formę zostały ubrane – myśli, które przelalała na papier Miłosz-Piekarska pod postacią wierszy. Nie brakuje w nich ironii i dystansu do siebie, co szczególnie widoczne w tomiku *Wiersze australijskie oraz inne*: „Moja dorosła już córka – zapisuje Joanna Miłosz-Piekarska – / nadal zasypia tuląc / bardzo wyleniałego / misia koalę [...] Pozostał Misiem / jedynie w jej pamięci / bo dla osób niewtajemniczonych / jest już jedynie dziwnym klakiem. // Myślę o tym czasem /

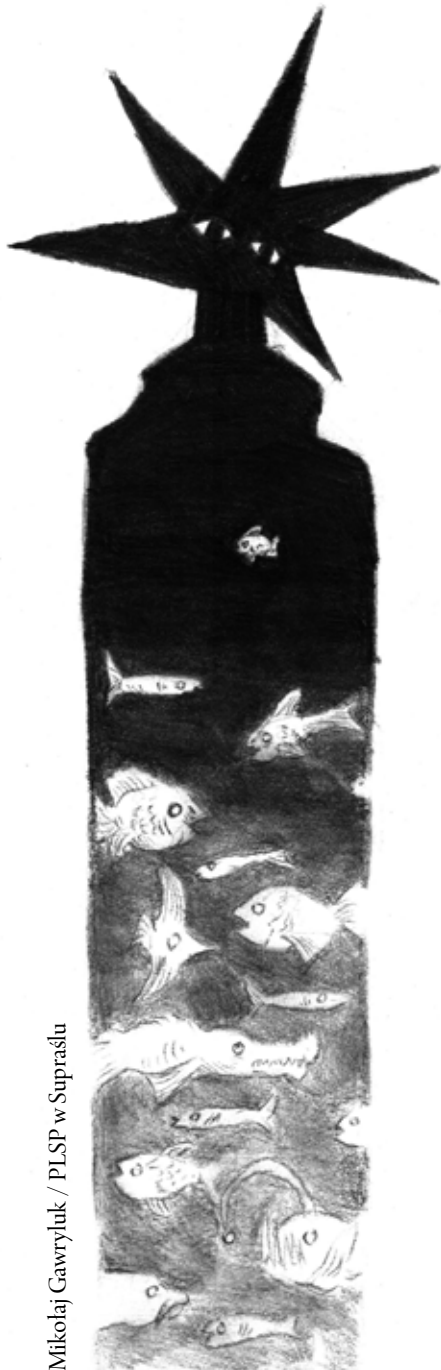
gdy tuli mnie / moja dorosła już córka¹. W poezji bratanicy Czesława Miłosza nie brakuje też egzotyki, która nie powinna dziwić, duża część wierszy została napisana w Australii, jak cykl *Pożegnania* z tomu *Czerwony pył*: „Teraz czekasz / na choć jedno słowo / w gorące południe / patrzę na dachy za oknem / wiatr z pustyni / czerwonym pyłem / pokrył / koszulki dziecka na balkonie².

Pani Joanna mieszka w Melbourne, ale praktycznie co roku przyjeżdża do Polski, swojej ojczyzny, z którą jest nierozzerwalnie związana. Zdradziła mi, że uwielbia Podlasie – nie tylko powiązaną z losami rodziny Miłoszów Suwalszczyznę, ale też Tykocin, Supraśl i inne mniejsze miejscowości. A tym razem, będąc po raz pierwszy w Białymstoku dała się oczarować stolicą Podlasia.

Niespełna miesiąc później, po naszym spotkaniu w Książnicy Podlaskiej pani Joanna zjawiała się na wieczorze autorskim w Krasnogrudzie – dworze powiązany z rodem Miłoszów, miejscu położonym w bliskim sąsiedztwie Sejny, miejscu stanowiącym ostatnią stację, ostatni zajazd przed granicą Polski i Litwy. Z litewskich Kresów pochodzą, przypominamy, ojciec pani Joanny – Andrzej i stryj Czesław Miłosz. W Krasnogrudzie autorka *Wszystkich czasów przeszłych* była już nie raz. Tu, nad jezioro Holny zabierała swoją córkę Natalię i wnuczkę Matyldę. Tutaj też, kiedy w 2022 roku siedziała na ganku, pod wpływem chwili, pod wpływem wspomnień zapisała na kolanie, na papierze opublikowany następnie w „Twórczości” wiersz *W Krasnogrudzie*:

¹ J. Miłosz-Piekarska, *Moja dorosła już córka*, [w:] tejsze, *Wiersze australijskie oraz inne*, Sejny 2017, s. 11.

² *Taż*, *Czerwony pył*, Sejny 2009, s. 23.



Mikolaj Gawryluk / PLSP w Supraślu

Jestem zawieszona
miedzy teraz a kiedyś
w czasie niezupelnie przeszłym
idąc aleją w kierunku dworu

Pachną lipy

Posadziła je któraś z ciotek
albo ktoś inny
A może były tam zawsze

To zupełnie nieważne
ponieważ mnie tam nie ma

Ten chłopiec nad jeziorem
to mój ojciec

Ma siwe skronie
okulary i torbę przewieszoną przez ramię

Robi zdjęcie swojemu starszemu bratu
nad Zatoką San Francisco
Pod dwór podjeżdża bryczka
słyszę śmiechy

i wiatr

Wieczorny koncert żab

Cisza

Siadam na stopniach ganku
wiedząc że jestem nieobecna

Wczoraj byłam stara i odjechałam
pociągiem do Warszawy³

³ Taż, *W Krasnogrudzie*, „Twórczość” 2023, nr 1, s. 28.

„Moim przodkom zapewne nie przyszłoby do głowy, że kiedyś u nich w ogrodzie biegać będzie ich mały australijski potomek”.

– z **Joanną Miłosz-Piekarską** rozmawia Kamil K. Pilichiewicz

Rozmowa jest zapisem fragmentu spotkania autorskiego, zorganizowanego w ramach cyklu „Środy Literackie”, zarejestrowanego 14 czerwca 2023 roku w Książnicy Podlaskiej im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku.

Kamil K. Pilichiewicz: Pani Joanno, jest Pani niezwykle osobą z wielu względów. Mieszka Pani w Melbourne w Australii i prowadzi tam agencję aktorską. Poznała Pani aktorów światowej klasy, artystów, pisarzy. Jest Pani córką Andrzeja Miłosza, znanego dokumentalisty, tłumacza, reportażysty i publicysty oraz bratanicą Czesława Miłosza. *À propos* Czesława Miłosza dodam, że Książnica Podlaska jakiś czas temu, w 2019 roku, zorganizowała we współpracy m.in. z pobliskim Uniwersytetem w Białymstoku Konferencję Naukową, której temat brzmiał: *Rodzina Miłoszów i inne rody pogranicza litewsko-polskiego. Historia, losy, świadectwa literackie*. Z kolei za rok planujemy też wystawę pamiątek po nobliście, którą nam ofiarował Adam Lizakowski, poeta i przyjaciel Czesława Miłosza z czasów kalifornijskich.

Mógłbym najpierw spytać, jak to jest być bratanicą Czesława Miłosza, ale nie zadam tego pytania, ponieważ domyślam się, że Pani wielokrotnie już o to była pytana przy różnych okazjach. Po części też Pani w swojej książce na to pytanie odpowiada. Chciałbym zadać inne pytanie. Czy już wcześniej była Pani w Białymstoku?

Joanna Miłosz-Piekarska: Nie, jest to, z tego co pamiętam, mój pierwszy raz. Dopiero co udało mi się trochę wysunąć nosa z hotelu. Mam zamiar jeszcze dokładniej miasto zwiedzić, przejść się tymi uroczymi ulicami.

KP: Pytam też z tego powodu, że Pani ojciec Andrzej Miłosz przyjaźnił się z Elżbietą Michalską, podlaską poetką...

JM-P: Tak, jak najbardziej, z poetką, która pisze przepiękne wiersze.

KP: Tak, i tutaj m.in. w naszej białostockiej „Epei” publikowane. Z kolei Krystyna Konecka, kolejna podlaska poetka, miała przyjemność z Czesławem Miłoszem w 1998 roku w Białowieży się spotkać. To takie drobne akcenty regionalne.

Przejdźmy już teraz konkretnie do Pani książki *Wszystkie czasy przeszłe*. Skąd pomysł, aby tę książkę napisać, aby ona powstała?

JM-P: Trudne pytanie, dlatego że ja nawet sama dokładnie nie pamiętam, skąd ten pomysł się wziął. Zaczęłam zapisywać różne anegdoty z mojego życia już dosyć dawno, powiedziałabym, że już chyba ponad dwadzieścia lat temu. Tak że ludzie mówią: „ależ ty masz pamięć”. Nie, niekoniecznie. Niektóre z tych anegdot są już zapisane bardzo dawno. Teraz może bym ich nawet nie pamiętała. Więc dziękuję sama sobie, że je zapisałam, ale oryginalnie nie było nawet pomysłu na to, żeby powstała książka. Zresztą byłam zbyt zajęta pracą i w jakimś momencie pamiętam rozmowę z Panią Agnieszką Kosińską, która była sekretarką mojego stryja. Gdzieś myśmy siedziały, piły wino, ja jej opowiadałam właśnie różne anegdoty z mojego życia. Ona wtedy powiedziała, że ja to powinnam wszystko zapisać. Ja na to: „Daj spokój, nie mam czasu, nie potrafię”. A ona na to: „Po prostu

pisz, nie przejmuj się, nie układaj jakiegoś planu w głowie, żadnej struktury książki, po prostu pisz, a potem sobie to wszystko jakoś ułożysz”. No i tak się stało, po prostu pisałam. Muszę powiedzieć, że około dwadzieścia lat mi to zajęło. Nie to, że siedziałam codziennie przez dwadzieścia lat. Napisałam jakiś fragment, potem to było odłożone na bok na rok, potem znowu wracałam i tak wreszcie koniec końców na stare lata ta książka się jakoś ułożyła.

KP: Domyślam się, że trudno jest swoje doświadczenie życiowe zamknąć w granicach słowa i nadać im jeszcze jakieś narracyjne ramy. Moim skromnym zdaniem Pani wyszło to świetnie.

Czy z dystansu czasowego, po roku od publikacji tej książki, czy teraz ma Pani takie momenty, kiedy myśli, że może by jeszcze o jakieś fragmenty swojego życia tę książkę uzupełniła?

JM-P: Bardzo byłam uważna, pisząc, starałam się nie zanudzić. Zdarzało mi się już czytać biografie, autobiografie znanych ludzi i często uważałam, że tam jest za dużo treści, że ta przykładowa książka tak ciągnie i ciągnie, że tam jest każdy szczegół, to wszystko jest na elementy pierwsze rozłożone. A ja chciałam, żeby było lekko, dowcipnie i żeby przypadkiem nie było nudno. Więc obawiam się, że jakbym teraz zabrała się za dopisywanie... a oczywiście, że zawsze można, człowiek się budzi w środku nocy i myśli: „ojej, przecież zapomniałam o tym”... ale chyba wystarczy.

KP: Czy myślała Pani o tym, żeby książkę wspomnieniową wydać w innym języku, na przykład w języku angielskim?

JM-P: Nie, absolutnie, mało kogo by to interesowało. Podejrzewam, że prawdopodobnie może za wyjątkiem dwóch, trzech osób, które mnie znają i byłyby zainteresowane. Nie jestem osobą znaczącą w świecie anglojęzycznym na tyle, żeby ludzie chcieli kupować książkę o mnie.

To jest osobista opowieść, bardzo związana z Polską. Uważam i wierzę, że tylko Polacy są w stanie tę ścieżkę mojego życia zrozumieć. Ja tam dotykam różnych przeżyć związanych z PRL-em, absurdu życia w PRL-u. Gdzie jakiś przeciętny Anglik czy Amerykanin...

KP: ...czy Australijczyk...

JM-P: ...czy Australijczyk by to zrozumiał. Nie, to by do nich nie trafiło, dla nich to by była bajka jakaś.

KP: Przejdźmy do Czesława Miłosza. Jakie były Pani relacje z Pani stryjem Czesławem Miłoszem?

JM-P: Ja o tym też chyba w swojej książce pisałam, że dla mnie, jako małej dziewczynki, stryj był jak trochę taki wuj z Ameryki. Co prawda nie przysyłał długopisów ani skarpetek czy pończoch, ale byłam strasznie dumna, że mam wujka w Ameryce. Nie obchodziło mnie, kim on jest, czym on się zajmuje, że jest poetą zawodowo. Po prostu był w Ameryce i to było coś wspaniałego. A jeszcze na dodatek miał dwóch synów, którzy byli w moim wieku. Byłam jedy-naczką, więc nie dość, że miałam wujka w Ameryce, to jeszcze miałam dwóch braci. No i pisałam listy do tych braci, oczywiście po polsku. I to był mój początek. Stryja osobiście poznałam już jako dorosła dziewczyna, kiedy pojechałam odwiedzić go w Kalifornii...

KP: A jeszcze wcześniej był chrzest Pani córki...

JM-P: A widzi Pan, dobrze, że napisałam książkę, bo wszystko mi się teraz myli. Tak, pierwszy raz poznałam stryja osobiście, jak po odebraniu Nobla wylądował w Warszawie. Miałam już lat prawie trzydzieści, więc przez te trzydzieści lat kontakt ograniczał się do utrzymywania wzajemnej korespondencji.

KP: No i przychodzi ten rok 1981. W czerwcu przyjeżdża Pani stryj, aby odebrać honorowy tytuł doktora honoris causa w Katowickim Uniwersytecie Lubelskim. To jest oficjalny powód, ale oczywiście nie jedyny. Pani córka Natalia po kilku miesiącach od narodzin przyjmuje chrzest. Chrzestnym Pani córki zostaje Antoni (Toni) Miłosz. I wtedy właśnie, na lotnisku, widzi Pani stryja po raz pierwszy.

JM-P: Stryja tak, ale nie Toniego. Toniego znałam wcześniej. Stryja poznaję pierwszy raz na lotnisku w takich dziwnych okolicznościach, bo to, co miało być takim skromnym powitaniem tylko w gronie rodziny, przerodziło się w jakieś tłumne zgromadzenie. W tym zgromadzeniu byli przyjaciele mojego stryja z dawnych czasów, wszyscy bardzo podekscytowani, że go znowu zobaczą. Ja w tym wszystkim byłam

naprawdę mało ważna. I pamiętam taki moment, kiedy stryj wysiadł z samolotu i przeszedł do takiego oficjalnego pomieszczenia LOT-u. Tłum był tak straszny, że zostałam niechcący popchnięta przez kogoś, kto też próbował się do stryja dostać, i wpadłam na niego. To był moment, kiedy spojrział na mnie, ja na niego, a on na to: „Joasia?” Ja mówię: „tak”. I to był właśnie ten pierwszy moment poznania.

A potem było już zupełnie rodzinie, potem znowu był stryjem z Ameryki, bo żeśmy go zabrali do domu. Stryj przywiózł całą walizę prezentów. To był ten okres, taki prząśny, powiedziałabym. W Polsce nie było nic. Pamiętam, że przywiózł ileś tam par jeansów Levis, które żeśmy wszyscy mierzyli, ja i ojciec, i Grażyna, i mój mąż. Były tam też jakieś różne inne swetry... pamiętam te levisy, to było superważne. Były też ubranka dla małej Natalii. To było wzruszające, że w tym wszystkim tak pomyślał o rodzinie,

o takich zwyczajnych rzeczach jak ubranka dla małej, sześciomiesięcznej dziewczynki.

KP: Kilka lat później wraz ze swoją córką leci Pani do Kalifornii na zaproszenie stryja. Chciałbym, aby zacytowała Pani fragment swoich wspomnień, kiedy jadą Państwo do Disneylandu...

JM-P: „Toni uznał, że powinniśmy zabrać Natalię do Disneylandu w Anaheim, co jest podróżą co najmniej sześciogodzinną, więc stryj stwierdził, że się na taką wyprawę nie pisze. »Tato«, powiedział Toni, »ja tak zawsze chciałem, żebyś mnie zabrał do Disneylandu, a ty nigdy nie miałeś czasu«. »Tak?«, zdziwił się stryj. »Chciałeś? To w takim razie teraz pojedziemy«. I tak całą rodziną wyruszyliśmy z San Francisco do Anaheim, gdzie znajduje się Disneyland Resort. »Przejdziecie bram Disneylandu będzie jak wejście do innego świata«, powiedział Walt Disney. I ta kiczowata do szaleństwa disneyowska kraina czarów wciągnęła nas w swój wariacki, kolorowy rwetes. Goniliśmy z jednej atrakcji do drugiej, im większy budziła strach, tym lepiej. I kto najgłośniej krzyczał, jeżdżąc na najróżniejszych rollercoasterach? Noblista. My z Tonim już mieliśmy dosyć, marząc, żeby choć na chwilę w spokoju usiąść, odpocząć, coś zjeść, a stryj i Natalia ciągnęli nas do następnej atrakcji. I tak bawili się znakomicie aż do... zamknięcia parku. Potem jeszcze w hotelu w Anaheim długo i entuzjastycznie dzielili się swoimi wrażeniami”⁴.

KP: Jeszcze jeden krótki fragment na tej samej stronie i tego samego wyjazdu do Kalifornii dotyczący...

JM-P: „Spędziliśmy jeszcze razem miłą Wielkanoc w domu Toniego w Oakland, gdzie Natalia i stryj najpoważniej ze wszystkich potraktowali poszukiwanie jajek w ogrodzie. Toni i ja głównie zajmowaliśmy się rozmową i winem, a stryj z Natalią i dwunastoletnią Erin, córką Toniego, bardzo energicznie współzawodniczyli, kto znajdzie ich więcej. Wielkanocny stół uginał się od polskich i litewskich przysmaków, które znikwały w bardzo szybkim tempie, bo co jak co, ale stryj uwielbiał tradycyjną kuchnię, przypominającą mu dzieciństwo, a na dodatek chyba wszyscy



Mikołaj Gawryluk / PLSP w Supraślu

⁴ J. Miłosz-Piekarska, *Wszystkie czasy przeszłe*, Warszawa 2022, s. 166–167.

Miloszowie jedzą z szybkością błyskawicy”⁵ ... co niestety odziedziczyłam. To jest bardzo nieelegancka cecha.

KP: Zaczęłam od Czesława Miłosza, ale oczywiście to nie jest jedyny bohater Pani opowieści autobiograficznej, choć może najbardziej rozpoznawalny. Bohaterów byłoby o wiele więcej. Jednym z nich jest niezaprzeczalnie Pani ojciec Andrzej Miłosz, który gdzieś tam zawsze był w cieniu swojego starszego brata. W cieniu, ale jednocześnie był takim aniołem stróżem. To też da się zauważyć w tym, jak Pani o swoim ojcu pisze. Był aniołem stróżem i archiwistą, dokumentalistą dorobku rodziny Miłoszów i nie tylko Miłoszów.

Chciałbym zapytać, jakim Andrzej Miłosz był człowiekiem, ale zapewne nie starczyłoby dnia, żeby wyczerpać temat...

JM-P: Był cudownym człowiekiem, wielkiej dobroci, oddałby koszulę ze swoich pleców dla drugiego człowieka, był wyjątkowy.

KP: To niezwykle człowiek, ale z niego był też żartowniś, i to dobry żartowniś. Na przykład, co to za historia z mężem Nigeryjczykiem?

JM-P: Tak. Opowiem, żeby nie nudzić czytaniem. Przyjechałam do Polski po kilkuletnim pobycie w Australii. W międzyczasie wyszłam za męża i tego nieszczęsnego męża przyciągnęłam do Polski na kilka miesięcy, na wakacje. Potem żeśmy wylądowali w Londynie.

Było tak, że lecieliśmy samolotem Melbourne–Rzym, potem miał być samolot do Warszawy, ale okazało się – powiedziano nam – że w Warszawie jest śnieżyca, mgła, nie wiadomo co i samolot poleciał tylko do Pragi, a z Pragi pojedziemy pociągiem. To oznaczało kawał drogi. Podejrzewam, że im się chciało tym samolotem lecieć do Warszawy, bo chyba było tylko pięć czy sześć osób w tym pociągu. No i myśmy siedzieli w jednym przedziale. Jechał poważny polski ksiądz, szalenie wystrojona Polka, która wyszła za męża za Włocha, ów Włoch i bardzo młody, około dwudziestoletni Nigeryjczyk. Ten ostatni dygotał z zimna. Była akurat zima, a on miał tylko jakiś garniturek na sobie. Po angielsku go spytałismy, czy ma coś cieplejszego

przy sobie, a on z dumą wyjął zielony szalik, który jemu mama zrobiła na drutach gdzieś w jakiejś wiosce. Ktoś miał po niego wyjść na lotnisko, ale ponieważ przyjechaliśmy pociągiem, nikt na niego nie czekał. Mój tata wyszedł po nas i ja mówię do tego Nigeryjczyka: „chodź z nami, jakoś ci pomożemy”. No i podchodzimy do mojego ojca, a mój ojciec mówi tak: „Skąd wy tego Murzyna macie?”. Wyjaśniłam, że ten młody student jechał z nami pociągiem i że trzeba mu pomóc. Wsiadliśmy w samochód, pojechaliśmy do mojego dziadka, który szykował dla nas śniadanie. Dziadek był poważnym człowiekiem, bardzo konserwatywnym, a mój tata w windzie mówi tak: „Wiesz co, zrobimy mu taki dowcip: ty wyjdiesz z Nigeryjczykiem i powiemy mu, że to twój mąż” [śmiech]. Muszę powiedzieć, że nie zrobiłam tego, bo mi się żal dziadka zrobiło. Pomyślałam sobie, że jednak byłoby to zbyt okrutne.

KP: To tylko próbka była. Takich historii w Pani książce można znaleźć więcej. Była jeszcze odcięta dłoń w lodówce między innymi...

JM-P: Tak, ręka zawinięta w gazetę, niby z krwią w lodówce. Nie no, robił rzeczy czasami okropne.

KP: Imieniny Grażyny Strumiłło-Miłosz w szlafrokach?

JM-P: Tak, goście pukali do drzwi, a ojciec otwierał w szlafroku i mówił: „A to pomyłka, ale to nie dzisiaj”.

KP: Pani ojciec miał wiele twarzy, był bardzo optymistycznym człowiekiem, do życia podchodził z werwą, miał w sobie wiele sił witalnych. Był aniołem stróżem Czesława Miłosza. Można by się zastanowić, jaki wobec tego stosunek do Andrzeja Miłosza miał jego starszy brat? Utkwił mi w pamięci fragment listu Czesława Miłosza do Andrzeja Miłosza w dniu pogrzebu młodszego z nich...

JM-P: Stryj to napisał na pogrzeb mojego taty. Myśmy błagały stryja, żeby nie przyjeżdżał z Krakowa do Warszawy. To było dwa miesiące po śmierci żony stryja i stryj był w bardzo niedobrym stanie. Śmierć brata, która nastąpiła

⁵ Tamże, s. 167.

dwa miesiące po śmierci żony, kompletnie go psychicznie dobiła. Wybierał się, chciał przyjechać do Warszawy. Myśmy powiedzieli, że absolutnie nie ma mowy. Napisał piękne pożegnanie brata. Zaznaczam, że ja się bardzo wzruszam, jak to czytam:

„Mój kochany braciszku,
[...] Byłeś dzielnym człowiekiem, ale najbardziej dziwiła mnie Twoja dobroć, która zresztą chroniła Ciebie w różnych opresjach, bo wszędzie byli ludzie, którzy Tobie coś zawdzięczali. Muszę tutaj dodać, że w naszej rodzinie byłeś strażnikiem tradycji rodowych, że dbałeś o groby naszych przodków na Litwie w Wędziagole i Świętobrości. A także parę razy naprawiałeś płytę na grobie naszego ojca w Krakowie. Byłeś też niejako łącznikiem naszej rodziny, rozrzuconej od Australii po Kalifornię.

Dopóki żyjemy, niedostatecznie cenimy naszą powszedniość, łącznie z powszedniością naszych braterskich spotkań. A teraz jedyną pociechą dla mnie jest myśl o Twoim pogodnym i spokojnym przyjęciu własnej śmierci. Byłeś chrześcijaninem nigdy niepowołującym się na swoją wiarę jako ukryty motyw Twoich działań w obronie bliźniego. Należałeś do nielicznych ludzi mało myślących o sobie, a ciągle troszczących się o innych. Życie Twoje było biegiem w sensie dosłownym, bo niemal do końca lubiłeś co dzień biegać, i w sensie przenośnym, jako nieustanne optymistyczne dążenie.

Żegnaj, Andrzeju, i mam nadzieję, że dalej będziesz uprawiał swój bieg na niebieskich łąkach”⁶.

KP: Dziękuję. We Wszystkich czasach przeszłych pisze Pani o Miłoszach, ale pisze też Pani o Goliszewskich...

JM-P: Tak, o rodzinie mojej matki. Dodam przy tej okazji, że nie chciałam, aby moja książka wspomnieniowa była książką tylko o rodzinie Miłosza. O nich, o stryju napisano już bardzo dużo wspólnych dzieł biograficznych, i to napisali ludzie mądrzejsi ode mnie, z głębszą wiedzą naukową. Nie było sensu, żebym próbowała powtarzać to samo. Stąd właśnie ta decyzja, że skoro książka jest o mnie, to musi w niej się znaleźć też rodzina mojej matki.

KP: To również wartość tej książki: że to nie jest publikacja poświęcona tylko jednej czy tylko dwóm osobom, ale jest szerszym spojrzeniem na ludzi, z pozoru zwyczajnych, a w rzeczywistości niezwykłych. Owszem jest w niej Pani stryj-noblista, ale jest też Pani mama, Hanna Goliszewska, jest Pani babcia Maria Goliszewska, są przywołane wydarzenia wojenne, w których uczestniczyły.

JM-P: Tak, dziadkowie w Warszawie, w czasie powstania, zostali wywiezieni: dziadek do Stutthofu, z kolei babcia z dwójką małych dzieci, w tym młodszym synem, który był kulawy (stąd strach, że Niemcy mogli go zlikwidować), znaleźli się w transporcie do Pruszkowa. Z tego transportu udało im się cudem uciec. Babcia mówiła bardzo dobrze po niemiecku, była wysyłana do szkół w Wiedniu i dzięki temu mówiła piękną niemieczką i przekupiła Niemca, dając chyba bransoletkę. Ten mógł to wziąć i ich zastrzelić, ale nie zrobił tego, jakoś cudem udało im się uciec. Potem ich losy były długie i skomplikowane, tak jak wielu wtedy Polaków. Jedna z historii ludzi, którzy ucierpieli na tej wojnie w sposób niewyobrażalny.

KP: Pisze też Pani o swoim wuju Goliszewskim, bracie Pani matki, wspomina Pani także o swojej przyszywanej siostrze, pani Joannie Karykowskiej-Jakubczyk. Proszę coś więcej o nich opowiedzieć

JM-P: Brat mojej matki był zwariowanym podróżnikiem. Nie powinien tego robić, bo był bardzo słabego zdrowia – astmatyk, kulejący na jedną nogę. Odmawiał sobie wszystkiego, tylko żeby mieć pieniądze na podróż. Jeździł po świecie, ciągnął ze sobą potworne toboły. Nie było oczywiście mowy, żeby kupił sobie sprzęt, który byłby lekki i nowoczesny. Zamiast tego ciągnął ze sobą jesionkę mojego dziadka z podpinką, która ważyła z dwadzieścia kilogramów. Coś straszego.

W wieku lat siedemdziesięciu sześciu pojechał do Machu Picchu. Tam się rozchorował, wrócił do Polski z ciężkim zapaleniem płuc. Ja byłam wtedy w Australii. W Polsce nie mieliśmy już wówczas właściwie żadnej rodziny, zostali tylko bardzo dalecy krewni. Przyjaciel mojego wuja dzwonił do mnie z informacją, że wuj leży w domu, nie chce iść do szpitala i nie wiadomo, co z nim zrobić. Szalałam, bo nie mogłam kupić biletu, dopiero

⁶ Tamże, s. 272–274.

Mikołaj Gawryluk / PLSP w Supraślu



za dziesięć dni mogłam wylecieć. W tej sytuacji moja znajoma powiedziała, że może by mi pomogła Joanna; my ją nazywamy Matka Boska Karykowska, która potrafi wszystko. Napisałam maila do Joanny, w którym opisałam sytuację i dostałam odpowiedź: „Nie ma sprawy, dawaj adres, namiary”. I właściwie zupełnie obca mi osoba przez następne prawie dwa tygodnie chodziła codziennie do szpitala do mojego wuja. Nosiła mu jedzenie, przakupowała pielęgniarki, żeby się nim bardziej opiekowały. Nie wiedziałam,

że tacy ludzie jak Joanna istnieją. Teraz już wiem, że istnieją. Mój tata trochę taki był, ale to mój tata, Joanna wtedy była obcą mi osobą. Moi znajomi pytali się mnie: „Czyś ty oszalała?”. Wuj żył samotnie, był właścicielem mieszkania w Warszawie. Wiele osób mówiło więc, że zaraz będę miała ciocię. No i w końcu przyjechałam do Polski, poznałyśmy się lepiej i właściwie – trochę też z tego powodu, że byłam jedynaczką – została przeze mnie zaadoptowana jako moja siostra. Wiele razy powtarzałam Asi – i ona o tym wie – że odrestaurowała moją wiarę w ludzi, w pewnym sensie mnie zmieniła. Bardziej uwierzyłam w dobro ludzkie. A poza tym ma rewelacyjne poczucie humoru.

KP: Już się o tym przekonałem. Wspomniała Pani o trudnościach, których zapewne i w Australii nie brakowało. Kiedy wprowadzono stan wojenny, pozostać w Australii to nie była dla Pani łatwa decyzja.

JM-P: Nie, nie była to łatwa decyzja, zwłaszcza że ja z Australii uciekłam wcześniej. Pierwszy raz wyjechałam z moją matką, gdy miałam piętnaście lat. Zupełnie nie pogodziłam się z tą sytuacją. Koniec końców wróciłam do Polski na stałe w roku 1972. Wszyscy się pukali w głowę, bo wtedy raczej wielu ludzi z Polski chciało wyjechać. To było niecodzienne, że ktoś z tak

egzotycznego kraju jak Australia decyduje się na powrót do Polski. Dla mnie ten powrót był oczywisty, uważałam Polskę za moje miejsce, za mój dom.

W 1981 roku ześmy z mężem i małą córeczką wyjechali do Australii tylko z wizytą u mojej mamy. Po czterech tygodniach siedzimy wieczorem przed telewizorem, patrzymy – dziennik telewizyjny i stan wojenny w Polsce. To była straszna tragedia. Mój mąż chciał wracać, a ja ze względu na małe dziecko – Natalię, która miała wtedy

dziesięć miesięcy – bałam się wracać. Nasze małżeństwo zresztą z tego powodu się rozpadło. Musiałam sobie w tej Australii dać radę jako samotna matka z dzieckiem. Nie ja jedyna. Takich Polaków, którzy wówczas dzielnie walczyli, aby to życie zacząć od nowa, było wielu.

KP: I zaczęła Pani to życie od nowa i po kilku latach, w 1986 roku, trochę przypadkiem zakłada Pani agencję aktorską. Początki na pewno były trudne, ale potem poznaje Pani takie osoby jak Jacek Koman czy Natalie Imbruglia – większości znana jako piosenkarka, ale zaczynająca swoją karierę jako aktorka.

To niezwykle, że początki były trudne, ale jednak Pani się nie załamała. Chyba do tego potrzebna była ta słynna upartość Miłoszów.

JM-P: Możliwe. Muszę powiedzieć, że nie bardzo miałam inne wyjście, dlatego że co ja miałam w tej Australii robić. Skończyłam anglistykę, więc w ostateczności mogłam uczyć angielskiego, ale uczenie angielskiego w Australii to nie był najlepszy pomysł.

Złapałam się za ten pomysł agencji, który wpadł zupełnie przypadkiem. Jak już zaczęłam, no to trzeba było kontynuować. Nie wyobrażałam sobie, że ponieważ mi na początku mało wychodzi, to ja to rzucę. Uparłam się, że to zrobię. Mój tata listownie łapał się za głowę, więc jemu też chciałam pokazać, że potrafię. Trwało to długo, nie było tak, że otworzyłam agencję i za chwilę odniosłam wielki sukces. Przez pierwsze pół roku prowadzenia agencji musiałam nawet sobie dorabiać u Agnieszki Perepeczko, która wtedy była w Australii i robiła zdjęcia. Któregoś dnia, pamiętam, siedzę w swoim biurze, patrzę na ścianę, którą pokrywały zdjęcia aktorów z mojej agencji, i myślę sobie: „Chyba jest okej, chyba jestem w miarę dobrą agentką”.

KP: Możliwe, że ma Pani coś takiego, że przyciąga Pani niezwykle ludzi i że odziedziczyła to Pani po rodzicach. Przez ograniczony czas nie mogę o wszystkich powiedzieć, ale wystarczy wspomnieć, że Pani rodzice należeli do warszawskiej bohemy, znali chociażby Tadeusza Konwickiego, Romana Polańskiego, na nartach jeździli ze Stanisławem Lemem...

JM-P: A moim ojcem chrzestnym był Leopold Tyrmand.

KP: Tak, jak się to czyta, to aż się w głowie może zakręcić od tych nazwisk.

JM-P: To cienka książka, ale w niej jest dużo.

KP: W niej jest dużo, ale to nie jedyna Pani publikacja. Przed *Wszystkimi czasami przeszłymi* opublikowała Pani dwa tomiki poetyckie: *Czerwony pył* (2009) i *Wiersze australijskie oraz inne* (2017).

JM-P: A niedługo, w lipcu tego roku, wychodzi tom trzeci.

KP: Jaki tytuł?

JM-P: Nie mam pojęcia.

KP: To ciekawy tytuł.

JM-P: [śmiejch] Może tak właśnie powinienem go zatytułować. Muszę się zapytać mojego wydawcy, co wymyślili.

KP: Wiersze zaczęła Pani pisać od lat najmłodszych, szkolnych?

JM-P: Tak, bardzo wiele dziewczynek pisze wiersze. Wydawało mi się, że jestem w tym świetna, a potem dowiedziałam się, że mój stryj też pisze wiersze. Zdziwiło mnie to. A potem przeczytałam, co on pisze, i stwierdziłam, że ja chyba nie będę więcej pisać. Przez pewien czas tak było, a potem siła jakaś mnie ciągnęła do tego, żeby zapisywać swoje myśli, tylko że wszystko do szuflady. W ogóle nie było mowy o tym, aby to kiedyś wydać. Wiadomo było, że pierwszą rzeczą, jaką ludzie powiedzą, będzie stwierdzenie, że bratanica Miłosza teraz się wpycha z jakimiś wierszydlami. Tutaj znowu zasługa Agnieszki Kosińskiej, której pewnego razu, już w dwa tysiące którymś roku wspomniałam, że sobie czasem pisuję do szuflady. Ona chciała to zobaczyć. Wysłałam jej kilka wierszy, a ona oceniła, że to fajne teksty, i poradziła, żebym je wydała. W ten sposób trochę dodała mi odwagi i tak powstał pierwszy tomik *Czerwony pył*, zresztą bliski mi, ponieważ jest ilustrowany akwarelami autorstwa mojej córki. To jest dla mnie bardzo osobisty tomik.

KP: Po kilku latach opublikowała Pani kolejny tom *Wiersze australijskie oraz inne*. Tutaj jest

już tych wierszy więcej i więcej jest w nich ironii, ale też dużo metafizyki, wierszy refleksyjnych. To wszystko się ze sobą jakoś miesza. Publikowała Pani też ostatnio w „Twórczości”.

JM-P: Tak, kilka wierszy ukazało się w styczniowej „Twórczości”. Znajdą się one we wspomnianym, najnowszym tomiku, który zostanie opublikowany w lipcu tego roku przez wydawnictwo Pogranicze. Wśród nich jest dla mnie szczególnie, który powstał, kiedy w zeszłym roku siedziałam na ganku w Krasnogrudzie. Myślałam o tym, kim jestem, jaki jest mój związek z Krasnogrudą, i refleksje zapisałam na kolanie, na kartce. Wiersz nosi tytuł *W Krasnogrudzie*.

KP: Pani Krasnogrudę chyba dosyć często odwiedza. Była Pani tam też w 2016 roku ze swoją córką

Natalią i dwuletnią wtedy wnuczką Matyldą. Chciałbym na zakończenie spotkania wrócić do *Wszystkich czasów przeszłych* i prosić o odczytanie krótkiego, związanego z tym wydarzeniem fragmentu.

JM-P: To było latem 2015 roku. Pojechaliśmy do Krasnogrudy z Natalią, jej mężem Jeremim i ich dwuletnią córeczką Matyldą. Jak zanotowałam w swojej książce: „Patrząc na Matyldę tańczącą na bosaka na trawie nad jeziorem Hołny, nie mogłam się powstrzymać od rozmyślań nad dziwnością losów ludzkich. Moim przodkom zapewne nie przyszłoby do głowy, że kiedyś u nich w ogrodzie biegać będzie ich mały australijski potomek”⁷.

⁷ Tamże, s. 279–280.

JOANNA MIŁOSZ-PIEKARSKA

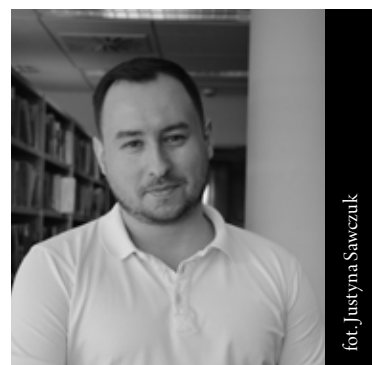
– (ur. 1952) – poetka, memuarystka, w Australii prowadzi renomowaną agencję aktorską. Jest autorką trzech tomów poetyckich: *Czerwony pył* (2009), *Wiersze australijskie oraz inne* (2017), *W Krasnogrudzie i inne wiersze* (2023). W 2022 roku wydała książkę wspomnieniową *Wszystkie czasy przeszłe* (wyd. PIW), w której opisuje losy swoje i swoich bliskich. W obrazki rodzinne wplata zapiski z PRL-u i emigracji oraz liczne anegdoty m.in. o swoim stryju Czesławie Miłoszu czy Leopoldzie Tyrmandzie (ojcu chrzestnym). Córka Andrzeja Miłosza, bratanica Czesława Miłosza.



fot. prywatne archiwum autorki

KAMIL PILICHIEWICZ

– doktor nauk humanistycznych w zakresie literaturoznawstwa, kulturoznawca, eseista, krytyk literacki, pracownik naukowy Książnicy Podlaskiej, stały współpracownik Uniwersytetu w Białymstoku, redaktor i sekretarz kwartalnika „Bibliotekarz Podlaski”. Publikuje artykuły naukowe, szkice, recenzje m.in. w „Toposie”, „Twórczości”, „Nowym Napisie”.



fot. Justyna Sawczuk

Kamila Pawełoszek

Śmierć słońca

W nocy poprzedzającej naszą ucieczkę nie mogłam spać. Duszny oddech przemijającego lata osiadł na moich pierśsiach niewidzialnym ciężarem. Czas dłużył się w nieskończoność pomiędzy spojrzeciami rzucanymi w kierunku cyfrowej tarczy zegara lśniącej w mroku jak zły omen. Dochodziła czwarta nad ranem. Zostało zaledwie kilka godzin, nim onyksowy aksamit nieba splamiał pierwsze strugi jaskrawego świtu. To nadzwyczaj wiele dla rozbudzonego łękiem umysłu i żalostí mało dla tęsknoty przeczesującej przeszłość w poszukiwaniu dawno nieistniejących miejsc i utraconych bliskich. Wtuliłam rozgrzaną twarz w zimniejszą połowę poduszki i próbowałam myśleć o moim przyjacielu. O tym, że już niebawem raz na zawsze opuścimy ten kraj i wyruszymy w nieznane, ku wschodzącemu słońcu wynurzającemu się zza kurtyny smolistej czerni. A wówczas po raz ostatni dotkniemy ziemi, której jesteśmy plonem, a która zmarniała, gdyż od lat nawożono ją wyłącznie ludzką niedolą.

Bałam się. Drżałam w ciemnościach jak uschły liść opadający w otchłań jesiennego bezczasu. Świadomość nadciągającej zmiany sunęła po skórze moich ramion i przenikała wewnątrz ciała, aż do serca szamoczącego się niczym motyl pochwycony w siatkę zbieracza. W milczeniu szukałam w sobie odwagi, gdyż groza klębiąca się w kącie pokoju wieszczyla mi los owada nabitego na szpilkę nieodgadnionego ciągu zdarzeń. Od niepamiętnych czasów jedynie wątpliwa nadzieja, że świat może być czymś więcej niż gruzami po rozbłysku skoordynowanej przemocy, chroniła mnie przed ostatecznym zwątpieniem. Chwytałam się tej wiary w najmroczniejszych chwilach życia, równocześnie tonąc w chaosie dziejowych burz i obserwując, jak otaczająca mnie rzeczywistość cyklicznie rozpada się, by wkrótce potem odrodzić się na nowo z lez i popiołów. Trwałam mimo wszystko i wbrew wszystkiemu, odnajdując spokój w cierplich ramionach Adama, mojego najlepszego przyjaciela. Razem wzrastaliśmy w tym mieście, zawisłym na cienkiej granicy życia i śmierci, i płynęliśmy przed siebie wraz z uciekającym czasem, choć huk wystrzałów wzmagił się i cichnął, pożary karmiły się naszymi dzielnicami,

a krew spływała ulicami, krzepła i wsiąkała w beton. Przez większość życia ocalaliśmy się nawzajem.

Ponownie zerknęłam na zegarek. Pięć minut po czwartej. Parne powietrze zaczęło gęstnieć wokół mojego łóżka, przypominając mgliste opary wiszące nad tajemniczym stawem w środku głuszy. Temperatura wzrastała z każdym drgnięciem wskazówki i kolejną myślą nawiedzającą mój umysł w momencie, w którym tak bardzo ląknęłam sennego zapomnienia. Upał bezlitośnie wlewał się przez uchylone okno do pokoju o powierzchni dziesięciu metrów kwadratowych, miejsca, które od pół roku stanowiło jedyną namiastkę domu, jaka mi pozostała. To nie było złe miejsce. Wiekowa kanapa niemalże nie skrzypiała, w jednodrzwiowej szafie zmieściła się większość mojego dobytku, a duże, wychodzące na wschód okno zdawało się optycznie zwiększać przestrzeń i wykraczać poza granice ośmiopiętrowego bloku z wielkiej płyty. Mieszkanie wypełniała kakofonia zmęczonych oddechów, za ścianą ludzie kochali się i wdychali z rezygnacją przed dniem ciężkiej pracy. Skuliłam się, zamknęłam oczy i zatraciłam we wspomnieniach z rodzinnego miasta, z którym już wkrótce miałam się rozstać. Powróciłam do wczesnych lat dzieciństwa, ponownie poczułam pierwszy, nieśmiały przebłysk słońca głaszczący moją okrągłą twarz nad brzegiem rzeki o świcie. Tata trzymał moją rączkę w ogromnej dłoni przypominającej ciepły bochen chleba z pobliskiej piekarni. Patrzyliśmy, jak kula światła na wschodzie rośnie i wyodrębnia się z mrocznej kotary nieba, kładąc się szkarłatem na falującym lustrze wody.

– Nadzieja umiera i rodzi się o świcie – powiedział, wpatrując się w dal, w pomarańczowe refleksy na linii horyzontu. Poranek był chłodny, woniał jesiennym deszczem, który kilka godzin wcześniej pokrył rosą żdźbła trawy i zmoczył drewniane ławeczki. Patrzyłam przed siebie dużymi, dziecięcymi oczami, chłonąc światło rodzące się wśród wszechogarniającej czerni. Nie pojmowałam sensu słów, które mój ojciec rzucił w przestrzeń i które krążyły nad nami jak zwiastun zbliżającej się katastrofy. Klucze dzikich gęsi sunęły wysoko w górze, przedzierały się przez szarzącą noc, umykały przed słońcem wydobywającym cienie

z osowiałych, bezlistnych drzew i naszych zamyślonych postaci. I nawet nieco później, gdy nad miastem rozwarła się otchłań, zsyłając na ziemię ogniste deszcze i wzbijając tumany czarnego, duszącego pyłu, wciąż jeszcze nie rozumiałam tego, co chciał mi przekazać ojciec tamtego pięknego poranka o świcie.

Mamy prawie nie pamiętałam. Jej sylwetka była cieniem pochylającym się nad moją biografią w niklej reminiscencji smutnego uśmiechu na szczupłej, bladej twarzy. Jej drobne ciało zdawało mi się efemeryczne, jakby wydrążone z witalnej energii napęlniającej wolą przetrwania skostniałe z rozpacz oblicze. Całkiem niedawno uświadomiłam sobie, że nie pamiętam już jej głosu.

Czy naprawdę miałam w sobie siłę, by po prostu odwrócić się i zniknąć jak senne widzenie, zostawiając za sobą ogrom przeżyć składających się na moją tożsamość? Czy komukolwiek przyszłoby łatwo porzucić dom, w którym pozostawiło się swój zapach i naznaczyło drzwi frontowe lepkim dotykiem dziecięcej dłoni? Kim mogłabym się stać poza domem, miastem, poza ojczyzną? Czy przetrwałabym w tej samej formie, czy przeobraziłabym się, zrzuciłabym z siebie zewnętrzną powłokę, która przez te wszystkie lata smakowała, czuła, wachała, widziała i słyszała? Czy naga dusza, która nie знаła niczego innego poza samą sobą, zdołałaby zastąpić dwudziestotrzyletnią historię scaloną w postaci jednej dziewczyny? Ta długa, duszna noc, powołując z mroku dręczące mnie pytania, dała mi zdecydowanie zbyt mało czasu, by szczerze odpowiedzieć na nie wszystkie.

Sen zupełnie mnie opuścił. Gdy przewróciłam się na drugi bok, po wewnętrznej stronie powiek zamigotała twarz Adama. Nawet wpatrując się w przeszłość, wciąż nosiłam w sobie obraz jego ciemnych oczu przypominających rozżarzone węgielki. Zastanawiałam się, czy tej nocy w ogóle położył się spać, czy czuwał, po raz tysięczny analizując wszystkie szczegóły naszej ucieczki i walcząc ze złymi przeczuciami w mrocznym sześcianie ciasnego pokoju. Zateśkniłam za jego kojącym rozsądkiem przywracającym wiarę w to, że świat podlega racjonalnym regułom, że niezależnie od tego, jak bardzo potężne wydaje się zło, to nawet ono nie jest w stanie wymazać ze świata radości. Jednakże w ostatnich miesiącach ciepły płomień nadziei na lepsze jutro jakby przygasł, trwale odmieniając mojego przyjaciela. Tocząca serce melancholia nakryła jego twarz, ścierając z niej resztki pogodnego wyrazu. Donośny, rozbrzmiewający optymizmem głos znacznie przycichł,

a wypowiedzanym zdaniom zaczęło brakować dawnej pewności. Zaciśnięte, przygryzione do krwi wargi przecinały jego oblicze niemalże nieuchwytnymi błyskawicami gniewu, który gotował się pod skamieniałą, zrezygnowaną skorupą minionego szczęścia. Czułam się całkowicie bezradna wobec jego stanu, gdyż wiedziałam, jak tragiczne wydarzenia znalazły się u źródła tej przykrej przemiany. Zaledwie kilka miesięcy wcześniej podczas rządowej akcji odwetowej za niedawny zamach terrorystyczny – zaledwie drobnej potyczki z zacieklej wojny domowej pustoszącej naszą ojczyznę – tragicznie zmarła jego ukochana matka.

Czasami marzyłam o jakimś nieistniejącym państwie na mapie świata, w którym przez setki kilometrów rozciąga się wyłącznie morze wielobarwnych łąk pełnych pachnącego kwiecia i żyznych dolin pokrytych pasmami skrzącego się złotem zboża. Wyobrażałam sobie malownicze miasta tętniące codziennym zgielkiem, w których gra nigdy niemilknąca muzyka, składająca się ze zróżnicowanych pod względem barwy i tonu głosów mieszkańców. Próbowałam wyśnić sobie zupełnie nowy kraj, który zakotwiczył się gdzieś we wczesnym dzieciństwie i w większości pozostawał moim domysłem, pochodną mitu, w który uwierzyłam, aby nie wskrzeszać stłumionego bólu. To nie taką ojczyznę pamiętałam. Ulotne chwile szczęścia od zawsze raptownie przerywały okresy wszechwładnego chaosu, który pochłonął moją ukochaną bibliotekę, rozprysł się okruciami szkła w pokojach rodzinnego domu i zmusił moich rodziców, wraz z setkami tysięcy innych ludzi, do zejścia pod ziemię. Świat nad naszymi głowami płonął, wybuchał salwą wystrzałów i na chwilę stygnął, aby po chwili na nowo wypełnić miasto melodią szalu żądnego rozlewu krwi. Buntownicy triumfowali na zgłiszczach naszych domów i wycofywali się, a wojska rządowe strzelały do wszystkiego, co się rusza, nie oszczędzając nawet przypadkowych przechodniów zabłąkanych w zgielku walk. Tkwiłiśmy w schronie, który równocześnie pachniał babcinym kredensem i ludzkimi ekskrementami. Słowa modlitwy mieszały się z przekleństwami, płacz towarzyszył śmiechowi bez cienia wesołości.

A potem agresja mijala tak niespodziewanie, jak się pojawiła. Nagle nawoływano do opuszczenia schronów, sprzątano ulice, grzebano zmarłych i zmywano zastygłą krew z brukowanych chodników. Próbowano zapomnieć, zrzucić to wszystko, co się wydarzyło w ciągu ostatnich godzin, na karb chwilowego zamglenia umysłu, niewyjaśnionego szaleństwa, które ogarnęło tłumy. Skutkiem była

straszliwa pomyłka, której w przyszłości będzie można łatwo zapobiec. Tylko strach wciąż nie mijał, bez przeszkód sączył się do środka mieszkań przez wybite okna, w których jeszcze nie zdążono wstawić nowych szyb. Rozmawiano nerwowo, półsłówkami, zawsze oglądając się za siebie. I czekano.

Ostry blask reflektorów monitorował bezsenne osiedla i wdierał się wewnątrz zniszczonych podwórek, w których wciąż można było odnaleźć niewypały, a boiska do gry w koszykówkę pokrywały zeschnięte, rdzawe plamy. Pomimo wprowadzonej godziny policyjnej w całym mieście nikt nie czuł się bezpiecznie. Dorośli czuwali w fotelach, wsłuchując się w noc. Od czasu do czasu nagła ruchliwość, gniewne krzyki, potworny skowyt przeszywały na wskroś otępiałą z przerażenia duszę miasta. Dzielnie szukano winnych, a gdy odnalezienie ich okazywało się niemożliwe, wybór kozła ofiarnego pozostawiano niefortunnemu zbiegowi okoliczności i czystemu przypadkowi. Cykl się dopełniał: momenty krwawej anarchii prędko ustępowały bezlitosnej dyktaturze, a wszechmocny arsenał państwa odnosił porażkę w obliczu pożądających zemsty ekstremistów. Reszta z nas starała się po prostu przetrwać.

Będąc dzieckiem, wierzyłam, że to klątwa złego czarodzieja z bajki, którą tata czytał mi przed snem, sprawiała, że otaczająca nas przestrzeń pozostawała płynna, niestabilna, w stanie wiecznego niedopełnienia. Nikt nie zadawał sobie trudu, by śmiało spoglądać w przyszłość, gdyż każdy plan mógł w jednej chwili zniweczyć nowy kataklizm. Mimo to trwaliśmy w naszym widmowym życiu, prowadząc znojną egzystencję myszy umykających w takim samym stopniu przed rzeczywistym, jak i potencjalnym zagrożeniem. Przywykliśmy do bezustannego manewrowania pomiędzy zwaśnionymi stronami i nie wysnuwaliśmy żadnych oczekiwań, gdyż nigdy nie było wiadomo, w jakim miejscu spędzimy następną noc. Byliśmy nomadami poruszającymi się po zmierzchu, z wytęsknieniem oczekiwaliśmy wschodu słońca, kiedy cienie traciły swoją anonimowość i rozgorzały ludzkim gniewem świat znów zaczynał przypominać znajome miejsce, w którym można istnieć.

Spiekota stawała się nie do wytrzymania. Tkwiłam skulona na skotłowanym prześcieradle i bałam się, że ściany zaczną się przesuwać i na zawsze zamkną mnie w mrocznym grobowcu ze wszystkimi wątpliwościami. Zegar wskazywał piątą. Żar wzmagął się, pożywiony moim niepokojem, i zrosił rozgrzaną skórę twarzy i pleców długimi strużkami potu. Nie mogłam wstać, gdyż napór zbliżającego się

nieuchronnie rozstrzygnięcia przytwierdził mnie do łóżka, tłocząc ze ściśniętych w bolesnym skurczu płuc gorącą parę płytkiego oddechu. Ciemność szarzała, odkrywając przed moimi oczami zarysy skromnego wyposażenia i niewielki tobołek oparty o popękana ścianę. Całe swoje dotychczasowe życie zmieściłam w zaledwie jednej torbie, lecz to, co pozostało wewnątrz mnie samej, niewidoczne dla postronnych, nie dawało się ulokować w żadnej znanej mi przestrzeni. Tego bagażu doświadczeń nie pozbędę się już nigdy.

Nie rozumiałam, dlaczego całym sercem łaknęąc spokoju, pełna marzeń o wolności, której nie trzeba wydzielać w skromnych dawkach wykradzonego czasu, mój wzrok kierował się ku miejscom, których ściany nasiąkły ludzkim cierpieniem. Czułam w swoich trzewiach rosnącą przepaść, którą tak bardzo pragnęłam przekroczyć, lecz moje stopy wciąż wrastały w ojczywą ziemię, która okazane przywiązanie splecała wyłącznie krwią i łzami. Straciłam matkę, ojciec przebywał w więzieniu z długoletnim wyrokiem za protest przeciwko przemocy. Mój najlepszy przyjaciel z każdym dniem przeobrażał się w zupełnie obcego mi człowieka.

– Boże, jak duszno! – Poderwałam się z łóżka jak przestraszony ptak i usiadłam, opierając się łokciami o chude biodra. Upał burzył krew w moich żyłach, gotując rozkolatanę serce w straszliwym przecuciu, które promieniowało do gardła i zaciskało się wokół niego jak metalowa obręcz. Kilka łez spłynęło po zarumienionych policzkach i niemal natychmiast wyschło, gdy udało mi się powstrzymać łkanie. Przysunęłam się w stronę okna, chłonąc widok podwórka pokrytego betonem z nielicznymi plackami zielonej trawy. Osiedle spalo, zostało jeszcze co najmniej pół godziny, nim pierwsze okna rozjarzy blade światło gołej żarówki, a za frankami zamigoczą zmęczone sylwetki ludzi szykujących się do pracy.

Spojrzałam w niebo. Wyobraziłam sobie nieskończone smugi czerni sunące pod gromadami odległych gwiazd i ścierające z przestworzy ślady ognistej purpury, aby wyczekiwany przez miliony świt nigdy nie nadszedł. Czy nadejdzie kiedyś moment, gdy lodowate palce nocy zacisną się wokół sennego słońca i zduszą jego blask, kładąc kres zarówno nadziei, jak i gehennie tych, którym wschód nie przyniósł ukojenia w cierpieniu? Wypatrując na horyzoncie pierwszych płomieni świtu, myślałam o śmierci słońca, po której nie byłoby ani radości, ani smutku, miasta nie byłyby burzone i obracane w ruinę, a w zabytkowych uliczkach już nigdy nie odbiłoby się echo ludzkiego głosu.

Lodowata pustka stałaby się jedynym dziedzictwem miliardów zakrzepłych istnień.

Chciałam myśleć o nadchodzącym dniu, o momencie, w którym razem z Adamem, ukryci w ciasnym schowku wewnątrz ciemnej ciężarówki, przekroczyliśmy granicę kraju. Nie wiedziałam, dokąd zaprowadzi nas przeznaczenie, którego nici biegną nieprzerwanie we wszystkie cztery strony świata, lecz wierzyłam, że będzie to kraina, w której odzyskam przyjaciela, ochronię go przed losem będącym udziałem wielu młodych mężczyzn – synów naszego narodu.

Nigdy nie mogłabym zapomnieć wyrazu jego twarzy będącej żywą, odwróconą kopią Piety, gdy niósł przez dogasające zgliszcza lekkie, owinięte szarą płachtą ciało matki. Kilka dni później, głosem złamanego człowieka wydobywającym się jakby spod tafli wody, opowiadał, jak jej oczy gasły w rozśpiewany, majowy poranek pachnący bzem i dymem. I już wówczas wiedziałam, doskonale odczytałam to ze zmarszczonego czoła, zacieniętych, pobielających pięści i brutalnych, szybkich gestów, że jedynie zemsta przyniosłaby mu chwilowe wytchnienie w bólu. Podejrzewałam, że Adam nawiązał stały kontakt z komórką rebeliantów i wystarczy zaledwie iskra, by płomień stłumionej nienawiści pochłonął mojego przyjaciela w pierścieniu ognia. Przestał mi się zwierzać. Niegdyś całymi godzinami potrafiliśmy siedzieć na dachu wyłączonej z użytku hali produkcyjnej i rozmawiać o teraźniejszości, o tym, gdzie można kupić taniej chleb, gdzie ostatnio policja zrobiła nalot, w której dzielnicy kręcili się buntownicy oraz o tym, co pozostawało wyłącznie naszym osobistym doznaniem: że czasami nie możemy spać, gdy w oddali rozlegają się strzały, a beznadziejność jutra wyciska wstydlive lzy w nieprzeniknionym mroku. Mimo to czasami ośmielaliśmy się snuć plany na przyszłość, potrzebowaliśmy tych złudzeń, by stawić czoła życiu.

Usiadłam przy oknie, przykładając rozgrzane czoło do chłodnej szyby. Wyobraziłam sobie, że moje skulone ramiona pokrywa gruba warstwa piór, przeobrażając je w rozłożyste skrzydła stworzone do wymagających podróży przez wietrzne korytarze. Przez chwilę napawałam się lekkością, którą nagle zyskało moje zmęczone, ciężące ku ziemi ciało, i wychyliłam się przez otwarte na oścież okno. Wyleciałam na zewnątrz. Wzbiłam się w górę. Przeistoczyłam się w zwiewną istotę utkaną z prześwitów światła na chmurnym niebie, zostawiając za sobą nieprzyjazny świat w dole, zatracając się w beztroskim locie wśród przestworzy. Nie należałam już dłużej do konkretnego

państwa i nie czułam przywiązania do żadnego znanego ludzkości punktu na mapie globu. Moja tożsamość uległa rozpadowi, srebrząc puszyste chmury resztkami minionej historii, która od tamtej pory nie miała już najmniejszego znaczenia.

– *Nie możesz tak dłużej żyć – powiedziałam stanowczo. Czerwcowy deszcz sphywał w dół zardzewiałymi rynnami i dudnił w uchylone okno, przez które do wnętrza pokoju wpływało wilgotne, pachnące solą powietrze. – Prawie nie rozmawiamy, a kiedy już się odzywasz, to pozostajesz nieobecny myślami. Przeraza mnie to, co możesz planować nawet w tej chwili, a doskonale wiem, że coś dużego zaprzęta twoją głowę, znam cię nie od dziś.*

– *Kasiu, byłoby dla ciebie lepiej, gdybyś...*

– *Wiem, że pragniesz zemsty, wiem, że znasz ludzi, których nie powinienes znać, i naprawdę jestem ostatnią osobą, która będzie cię za to osądzać. Ale nie pozwolę ci umrzeć, rozumiesz?! Dość już łez, dość trupów, dość śmierci w tym przeklętym kraju! To państwo nie bez powodu osacza nas ze wszystkich stron, ono wręcz pragnie, byśmy zaatakowali i roztrzaskali się o ściany tej wielkiej klatki.*

– *Co w takim razie proponujesz?*

Spojrzałam mu w oczy.

– *Ucieknijmy. Wiejmy z tego kraju, póki jeszcze możemy.*

Obudziły mnie płomienie wschodzącego słońca, które ogarnęły wnętrze pokoju, wypełniając go tańcem purpurowych cieni na osypujących się z tynku ścianach. Uniosłam obolałą głowę znad stołu, potarłam czoło, mrużąc oczy w pąsowym świetle, które wyparło bezdenną czeluść nocy. Zupełnie straciłam poczucie czasu, choć moje ciało wybudziło się z drzemki spięte i zeszywniałe, podświadomie czuwało nad nieprzytomnym umysłem. Niebo gorzało, przechodząc pod kuratelę sierpniowego słońca znaczącego czerwonym blaskiem senne podwórka i drzewa pokryte zielonymi liśćmi. Temperatura wciąż rosła. Cienie krążyły coraz szybciej i szybciej, zatracając się w szaleńczej zabawie. Powietrze kotłowało się w małej przestrzeni jak para wydobywająca się z uchylonych drzwiczek rozpalonego do czerwoności pieca. Nie mogłam oddychać, jaskrawe promienie spaliły resztki życiodajnego tlenu. Wpatrywałam się w słońce, na milczący triumf jasnego blasku nad otchłanną czernią i szukałam w nim nadziei, której byłam spragniona w ten gorący, ociekający szkarlatem poranek w dniu naszej ucieczki. Nie odnajdywałam jej jednak. Z jakiegoś powodu

na jaśniejącym niebie, które powinno zwiastować nowy początek, dostrzegałam wyłącznie plamy krwi krzepnącej na rozdartej tkaninie utraconej niewinności.

Podskoczyłam na krześle, chwyciłam zegarek. Adam powinien zjawić się u mnie przed piętnastoma minutami. "Może coś go zatrzymało?", tęskniące za dobrym zakończeniem myśli starały się zmylić mnie w drodze, która prowadziła przez ognistą zorzę w jednym możliwym kierunku: wydarzyło się coś bardzo, bardzo złego.

Straszliwe przecucie, które mimo żaru lejącego się z nieba, spłynęło na mnie lodowatym dreszczem, nakazało otworzyć drzwi mieszkania i wybiec w skąpany w pomarańczowym świetle krajobraz. Sunęłam przed siebie, w kierunku śródmieścia, z każdym pokonanym metrem pozbywając się topniejących złudzeń tak jak wąż zrzucający z siebie zbyt ciasną skórę. Poczułam w nozdrzach charakterystyczny zapach spalonej łuski, który sączył się do mojego gardła i smakował piołunem. Miałam przeciwko sobie słońce, którego karcące rozbłyski przypominały o nadrzędnej zasadzie mojej ojczyzny, która darzyła swoich mieszkańców tak szczerą miłością, że nadzwyczaj prędko pragnęła pochować ich w swojej ziemi. Biegłam prosto w ruchomą masę walczących ciał, która pojawiła się w zasięgu mojego wzroku, aż dotarłam do skrzyżowania. Huk wstrząsnął ulicami, zamroził czas, upadłam jak ryba wyrzucona na piaszczysty brzeg przez złowieszcze fale. Unieruchomiona na pękającej w salwach wystrzałów ziemi, ogłuszona przez gniew buzujący z nawołujących się

po imieniu, wykrzykujących przekleństwa głosów, szukałam w ferworze walk mojego przyjaciela. Wojskowe kamizelki mieszały się z kurtkami rebeliantów, a w punktach styku rozkwitały czerwone kwiaty.

Czy to drwina wschodzącego słońca, czy czysty przypadek sprawił, że z kurtyny wzbitego w górę pyłu nagle wyodrębniła się szczupła sylwetka Adama? Czy nasze spojrzenia naprawdę się skrzyżowały, czy rozpoznał mnie skuloną na bruku, gdy moje usta bezgłośnie wymówiły jego imię? Czy to z mojej winy niespodziewanie wychylił się zza wzniesionej barykady, oddając kilka strzałów z chałupniczego karabinu? Czy upadł od razu, czy najpierw posłał w moim kierunku zmęczony uśmiech? Naprawdę nie wiedziałam.

Przestałam zwracać uwagę na otoczenie. Człogałam się przez pogorzelsko, plułam pyłem, który dostał się do moich ust podczas wybuchu. Rozpostarłam dłonie, szukając w zasięgu drżących palców postaci mojego przyjaciela. Odnalazłam go. Ciało powoli zaczynało stygnąć. Przygarnęłam Adama do piersi, którą przesywał ból tak wszechogarniający, że nie sądziłam, żebym kiedykolwiek zdołała nauczyć serce na nowo pompować życie do żył.

– Wiem, że nie byłeś w stanie dokonać innego wyboru – wyszeptalam. Słońce umierało, topiąc się we własnej, gorącej krwi, której ogniste strugi zachlapały niebo niechlujnymi zaciekami. Do moich uszu dobiegły pokrzykiwania żołnierzy. Kordon się zacieśniał. Świat dogorywał w karmazynowym blasku, a ja znowu miałam w ramionach swojego przyjaciela.

KAMILA PAWEŁOSZEK

– (ur. 1999) – absolwentka filologii polskiej i początkująca copywriterka, obecnie mieszka w Bydgoszczy. Píše od dziecka, lecz dopiero od niedawna zaczęła wychodzić ze swoją twórczością do większej liczby odbiorców. Publikacja na łamach nieregularnika „Epea. Pismo literackie” jest jej literackim debiutem. Zakochana po uszy w polskiej i zagranicznej literaturze pięknej oraz literaturze faktu, w wolnym czasie nadrabia klasyki kina i chodzi do teatru. Miłośniczka *Gwiezdnych wojen* i mocnej kawy. Kiedy nie pisze i nie czyta, można spotkać ją na spacerze w najbliższym parku lub lesie w okolicy.



foto: prywatne archiwum autorki



Julia Borowska / PLSP w Supraślu

Grzegorz Pul

From Somalia Szczawiowa

Ułomni, głodni, zgarbieni,
podarte na nich odzienie
i mroczne mają spojrzenia,
a w sercach świt i płomienie.
Josif Brodski, *Pielgrzymi*

Czerwiec ubrany w kiczowaty hipisowski strój rozkurwil się z pretensjonalną wrzaskliwością na zieleni położonej w dole łąki, niszcząc jednowymiarową, kojącą oczy czystą kompozycję rzygowinami impresjonistycznego, taniego efekciarstwa. Krwiste, przypominające penisy, nabrzmiałe purpurą lubiny, sterczały wśród traw, mając barwę i zapachem wszystkie krążące nad łąką owady. Facelie błękitne w sojuszu z chabrami pożarzy zielen na wielkich połaciach i tylko gdzieniegdzie ich fioletowo-niebieski materac upstrzyły czerwone, pojedyncze kropki polnych maków i żółte okruszki płatków bylicy pospolitej. A przydrożny, mój prywatny fragment Fangora, złożony z płataniny pokręconych pni czeremchy i krzaków czarnego bzu został obesrany nieregularną mozaiką drobnutkich kwiatów kołyszących się na śnieżnobiałych gronach.

Siedząc na tarasie, oddycham wieczorem nadsięgającym z rzeki, który z pierwszym wilgotnym powiewem niesie powietrze nasączone aromatami, zmieszany z milionów całodziennych, eterycznych oddechów kwiatów, składających właśnie płatki do snu. Dziub szlaja się po wioskowych zakamarkach, obrośniętych wysokimi trawami, korzystając pełnymi łapami z urodzaju młodych nornic, półślepych myszy i nieporadnych, rozpaczliwie kwilących szpaczych piskląt. Micha z żarciem stoi pełna i doprowadza do orgazmu bzyżące stado grubych robacznic, błyskających mi przed oczyma szmaragdowymi odwłokami. Uparty derkacz drze dzioba w jednostajnym, przypominającym mechaniczny terkot treks, treks, kompletnie nie biorąc do małego, ptasiego łebka, że poza mną wszyscy mieszkańcy doliny mają wyjebane na jego krzyki.

Wraz z pierwszymi wieczornymi szarościami kontury starych gruszy ulegać zaczynają zaburzeniom ostrości, niechybnie zmierzając w stronę całkowitej, katalizowanej mrokiem dezintegracji. Na ostatnich skrawkach umierającego

światła, w bezdźwięcznym łopocie émy, kręcąc miłosne piruety, giną masowo w żarłocznych paszczach nietoperzy, które rozpedzone skórzastymi skrzydłami tną z lewa i prawa mroczne niebo.

Rozwalony w wiklinowym fotelu, w puchu nudy i lenistwa obserwuję umieranie dnia. Brzuch wypełniają dwie zjedzone jakiś czas temu porcje zupy szczawiowej. Tkwiąc na krawędzi półsnu, rozkoszuję się wspomnieniami kulinarnych doznań. Bo czerwiec to też czas szczawiowej. Sygnał do gotowania daje Dziub, zostawiając przed tarasem wkładkę do zupy, zazwyczaj w postaci sztywnej nornicy, chociaż czasami, dbając szczególnie w gorące dni o lekkostrawność potraw, podrzuca kawałek dzikiego drobiu, a dokładnie nieupierzonego jeszcze pisklaka.

– No, gościu, czas dodać do smaku myszynę – mówię do zielonookiego zbója, niosąc w stronę podskakującego na płycie garnka jego nocną zdobycz. Udaję, że wrzucam wkładkę do wrzątku. Kocisko odchodzi zadowolone, a ja mogę w pierwszej kolejności skremować jego trofeum, a potem dodać do zupy gruby kawałek wołowego szpondra, dołożyć talarki drobno pociętej marchewki z pietruszką i kosteczkami przysmażonej na smalcu cebulki z odrobiną czosnku i zielonymi piórkami rozdrobnionego pora, dobowionej grubo krojonymi kartoflami oraz skrawkami rozciętych na szatkownicy jajek. I oczywiście wszystko dopełniam garściami zerzniętych na drobne paski, mięsistych, kwaskowych, młodych liści szczawiu, rwanych na łące pod domem. Przed podaniem zupę obowiązkowo należy zabielić łyżką gęstej śmietany i zawołać Dziuba.

– Proszę, to twoje mięsko – oznajmiam, stawiając mu przed wąsami talerzyk z drobno pociętą wołowiną.

Żre z takim smakiem, że mam czasami wyrzuty sumienia. Niby drobne oszustwo, ale zawsze. Dylematy jednak znikają z pierwszą łyżką szczawiowej...

Syty, walcząc z nadciągającym wraz z nocą snem, spod półprzymkniętych powiek wpatruję się w niewidoczny horyzont. Prawie zapomniałem już o popołudniowym harmidrze, związanym z kolejną nielegalną próbą przekroczenia granicznej rzeki. Jazgot policyjnych syren, huk opon pędzących po nierównej, kamiennej nawierzchni wioskowej ulicy, ciężkich samochodów odrealnił się, ginął w pamięci.

Z czasem przywykłem, że co jakiś czas główna ulica przypomina tor wyścigowy wielkich wozów, rozświetlonych niebiesko-czerwonymi kogutami alarmowych syren. Gnających z lewa na prawo i odwrotnie, bez ładu, aby szybciej, aby głośniej, aby więcej. Ciężkie land rovery, toyoty land cruisery na zmianę z volkswagenami transporterami gniotą nierówną brukową nawierzchnię, wciskając oponami skomlące i jęczące kocie lby, głębiej i głębiej

w źwirowe podłoże. Na szczęście po festiwalu rajdowych emocji zapadała zawsze cisza, wiążąca wioskę sznurami codziennej stagnacji.

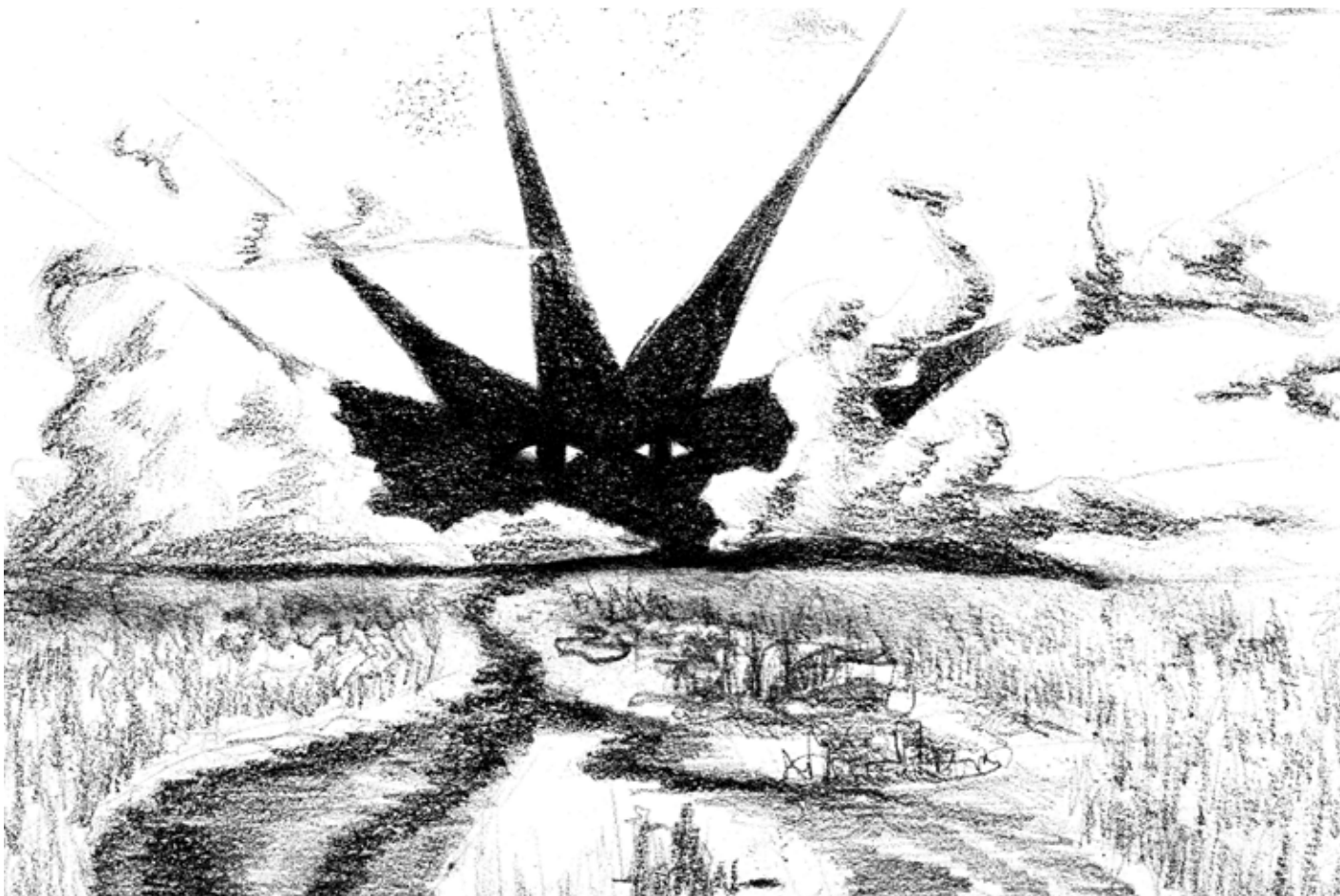
Siedzę.

Mrok utłukł dzień, chowając trupa do czarnego worka i zaciągając gruby zamek...

Wyzwolił szepty i skrzypienia... Wyzwolił dźwięki nieznanne i dziwne... Wyzwolił dźwięki strachu...

Szelesty oraz trzaski opatulone czarnym, ciężkim powietrzem rezonują obco.

Wtulałam się w oblepione mikrokroplami rosy, wierzbowe poręczce fotela, kulę się niczym niemowlę. Zatykam uszy. Dziś parny mrok oblepia smołą niepokoju.



Mikołaj Gawryluk / PLSP w Supraślu

Derkacz, skryty w gęstych łądygach nawłoci, nagle zamyka terkoczący dziób.

Nietoperze śpią nażarte, a może na tle smolistego nieba nie jestem w stanie dostrzec ich bezdźwięcznych skrzydeł.

W trzcinach po drugiej stronie rzeki odzywa się wku-rwiony koziołek. Jego szczekanie ma iście demoniczny posmak.

Czuję dreszcze tańczące po plecach, opatulonych polarową bluzą.

Zamykam drzwi tarasowe i chowam się w bezpiecznej chacie.

Powoli porządkuję kuchnię, szykując się do snu. Wyszczerbiony talerz po zupie wraz z lekko trącającą rdzą łyżką łąduje w zlewie. Garnek ze szczawiową zdejmuję z płyty i ustawiam na chłodnych kaflach chlebnego pieca. Puszka po piwie trafia do wiaderka na metalowe odpady. Recykling da jej kolejne życie, nada sens jej kolejnej egzystencji. My też zapierdalamy w jedną stronę. Z początku potrzebni, ba, nawet wydaje się co niektórym, że niezbędni, niezastąpieni. Summa summarum trafiamy do śmietnika świata. Grzyby, pleśnie, bakterie i robaki w końcowym etapie mają z nas wiele uciechy. Biologiczne tryby recyklingu natury. Jebane perpetuum mobile.

Nalewam do grubej, ciężkiej szklanki dwa centymetry grand macnisha. Na dobry sen. Suszone na słońcu torfy uderzają w nos aromatem duszonych jabłek, wanilii i cynamonu. Zapach wibruje w ciepłym, wieczornym powietrzu. Zamaczam usta.

Puk, puk.

Odgłos dochodzi za tarasowego okna.

Puk, puk.

Ciemność. Nic nie widzę.

Puk, puk! Odgłos staje się natarczywy.

Zapałam światło na tarasie.

Widok mrozi. Przeżalenie zakrywa umysł. Strach krępuje ruchy.

On leży skulony.

Drży mimo ciepła czerwcowej nocy, jakby targala nim epilepsja.

Wielkie białka wlepionych we mnie oczu skomla, błagają o ratunek!

Otwieram drzwi. Jest drobny, umazany w błocie i cały mokry.

– Do you speak English?

Macha przecząco głową.

– French, Italiano – duka przez drżące usta. Słyszę, jak dzwonią mu zęby.

– To sobie, bracie, nie pogadamy – stwierdzam i zaczynam na siłę ściągać z niego mokre ciuchy. Z początku trochę się opiera, a potem całkowicie poddaje. Musi być cholernie zmęczony. Wrzucam szmaty do plastikowego worka na śmieci. Teraz widzę, że nie ma prawego przedramienia. Ręka kończy się w miejscu, gdzie powinien być łokieć. Na dodatek z rozciętej na kikucie skóry w kilku miejscach sączy się krew. Widocznie czołgał się przez ostre trzcinowe badyle, albo zahaczył o drut kolczasty rozpięty nad rzeką.

– Shower. Go – zachęcam, by poszedł za mną. Rozumie i rusza wolno, stawiając drobne stopy na drewnianej podłodze. Ma skórę koloru węgla zalegającego na hałdach przy kolejowej bocznicy.

Idziemy w stronę schodów na piętro. Mijamy stół. Gość przystaje. Stoi nagi i wpatruje się w wiszącą na ścianie reprodukcję obrazu Moneta.

– *Le Jardin de l'artiste à Giverny* – mówi cicho. Jego głos jest miękki i łagodny niczym wieczorny oddech wiatru w letni dzień.

– Tak. To *Ogród artysty w Giverny* – odpowiadam zaskoczony.

– Where are you from? – pytam z automatu.

– From Somalia – odpowiada.

– O kurwa. – Tylko tyle jestem w stanie z siebie wydusić.

Stoimy przed rozmazaną w półcieniach reprodukcją obrazu Moneta. Zawieszeni. Bez słów. Na zewnątrz noc, zmieszana z lęków i fobii, wypełniająca czeluści wyobraźni. Przez otwarty łufcik nie dochodzą żadne dźwięki. Świat śpi, pogrążony w chwilowym letargu. Śpi i zbiera siły na poranne zmartwychwstanie.

Słyszę, jak płynie woda. Strumyk szemra cichutko w kanalizacyjnej rurze. Stoję z ciuchami w ręku i czekam. Przybysz ma drobną posturę. W moich ubraniach by się utopił. Na szczęście żona zostawiła swoje robocze ciuchy.

Po prysznicu wygląda dużo lepiej. Żywiej, silniej, młodziej. Obmywam wodą utlenioną rany na kikucie i zalepiam plastrami. Siedzi za drewnianym stołem i wpatruje się w reprodukcję Moneta.

Stawiam talerz zupy i wciskam mu w lewą dłoń łyżkę. Przez chwilę patrzy to na mnie, to na parujący posiłek. Błyska wielkimi białkami, jakby nadawał morsem. Zaczyna jeść. Głośno siorbiąc, pochłania łyk za łykiem. Sztuciec uderza o fajansowe naczynie. W całkowitej, odrealnionej bezdźwięcznością nocy brzmi to jak kurant magicznego zegara, wybijającego nieuchronny rytm pędzącego czasu.

– Very good soup – mruży ukontentowany pomiędzy kolejnymi siorbami i mlaskami. Cudownie wygląda naprawdę głodny człowiek.

– Szczawiowa – odpowiadam i widzę zdziwienie w jego wielkich oczach.

– Sca-ia-ow-ea – duka.

Wybucham śmiechem.

– Eat – mówię, rechocząc. – Choćbym na rzęsach stanął, to, bracie, nie jestem w stanie przetłumaczyć tej nazwy na znany ci język – dodaję i dolewam mu kolejną porcję.

Pałę w absolutnych ciemnościach. Przez otwarte drzwi tarasowe wdziera się chłodne powietrze niosące zapowiedź przedświt i dyskretne dźwięki końca nocy, nieśmiało brzdąkania skrytych w wysokich trawach świerszczy i pojedyncze piłowanie derkacza, zmęczonego, wielogodzinnym darcie dzioba. O nogę ociera się Dziub.

– Wróciłeś, łotrze. Straciłeś najlepsze. Mieliśmy dziś niezapowiedzianego gościa. Pielgrzymia do lepszego świata.

Kot miauczy, domagając się jedzenia. Otwieram puszkę.

– Widzę, że poza żarciem niewiele cię interesuje.

Miauczy, jakby mi przytakiwał. Nakładam jedzenie do miski. Po chwili słucham jego głośnego ciamkania.

– Werbalia przy posiłku wydajecie podobne – kwituję.

Do rozlanej na palecie czarnej brei ktoś zaczyna wyciskać z olbrzymiej tuby białą farbę i mieszając wielkim pędzlem, sporządza najpierw kolory szarości. Potem rozjaśnia je każdym ruchem. Mocniej, jeszcze mocniej. A potem nagle dolewa żółcie i czerwienie. Dużo żółci i dużo czerwieni. . . I tak wstaje dzień.

– Szerokiej drogi, pielgrzymie – szepczę, przechodząc koło Moneta.

Idę spać.

Świsłoczany, czerwiec 2023 r.

GRZEGORZ PUL

– ma 51 lat. Mieszka w Białymstoku z żoną, synem, dwoma kotami i psem. Czasami pomieszkuje też w przygranicznych Świsłoczanach. W 2021 Instytut Literatury wydał jego debiut: *Ni szagu nazad, czyli sztuka łowienia wspomnień*, co było efektem zdobycia wyróżnienia w III edycji konkursu Nowy Dokument Tekstowy. W numerze 7–9/2023 pisma „Helikopter” ukazały się trzy jego opowiadania: *Sms*, *Skrwawiony miłością*, *Kolacja z Shackletonem*, a w pierwszym numerze „TYTU.Łu” opowiadanie *Pies Popa*.

Prywatnie jest miłośnikiem literatury, kina oraz dalekich podróży – niekoniecznie w rejoncy cywilizowane.



fol. prywatne archiwum autora

Marek Nowak

Coś, czego nie wiesz o sobie

„Jest coś, czego nie wiesz o sobie” – tak zaczynał się e-mail, który Timothy odebrał, idąc rankiem na zajęcia. Wiadomość przysłana była z nieznanego adresu, na który nie dało się odpisać. Dalszy ciąg wiadomości szczerze go zaintrygował. „Twoje życie może być w niebezpieczeństwie. Przyjdź o dwudziestej trzeciej na parking przy bibliotecę Firestone. Kilka osób jest w podobnej sytuacji, ale nie mów nikomu o tej wiadomości, nie narażaj siebie i innych”. W załączniku było jeszcze zdjęcie, na którym rozpoznał siebie w wieku nie więcej niż czterech lat w towarzystwie rodziców i niewysokiego, białego człowieka w okularach i plakietką FBI na klapie marynarki. Timothy był pewien, że nikt z jego rodziny nie miał nic wspólnego z FBI.

W pierwszej chwili pomyślał wprawdzie, że to może być fotomontaż i prank przygotowany przez kogoś z jego kolegów, najpewniej za pomocą Midjourney lub podobnego programu służącego do generowania obrazów z wykorzystaniem sztucznej inteligencji, ale przez ostatni rok właściwie z nikim nie trzymał się blisko. Zaczął właśnie czwarty rok studiów na Princeton. Był kapitanem drużyny hokeja na trawie, ale nawet z kolegami z tego grona nie spotykał się poza treningami i wyjazdami. Pobierał stypendium naukowe, przygotowywał się do napisania pracy na temat rozwiązywania problemów interdyscyplinarnych przy użyciu myślenia komputacyjnego, a przykłady, które chciał w niej omówić, wymagały ucześnień na dodatkowe wykłady, między innymi z fizyki i neurobiologii. Zastanawiał się też nad wyborem ścieżki dalszej kariery naukowej, co było ogromnym osiągnięciem w oczach czarnoskórej społeczności Haverford, w której się wychował.

Przeszedł pod arkadami biblioteki i ruszył skrótem przez trawnik. Na wszelki wypadek był też przygotowany na niebezpieczeństwo i konieczność ucieczki. Ubrał się w sportowe ciuchy, a w rękawie schował palkę teleskopową, której na szczęście nie użył, odkąd mieszkał w Princeton, ale wcześniej, w Haverford, nieraz ratowała mu tyłek.

Na parkingu stało kilka samochodów, lecz uwagę Timothy'ego w naturalny sposób zwróciła jedyna w tym gronie czarna furgonetka osobowa, przy której stało pięć osób. Czwooro studentów i niski, łysiejący mężczyzna

z nadwagą. Podchodząc bliżej, rozpoznał człowieka ze zdjęcia. Nosił on teraz niemodny wąs, na oczach miał jednak te same okulary. Ubrany był we flanelową koszulę w kratę i myśliwską kamizelkę bez rękawów.

– Tim! – krzyknął i ruszył z uśmiechem na spotkanie podchodzącego sportowca. – Tak się cieszę, że przyszedłeś.

Oczy wszystkich skierowały się teraz na tę dwójkę. Człowiek, który miał kiedyś coś wspólnego z FBI, rozłożył ramiona, jakby chciał uściskać czarnoskórego chłopaka, ten zaś zatrzymał się i dał gestem wyciągniętej ręki do zrozumienia, że chce zachować dystans.

– Przyszedłem, ale o co właściwie chodzi? – zapytał.

– Pan Wilson próbuje nas przekonać, że jesteśmy efektem eksperymentu genetycznego, a FBI, które za tym wszystkim stoi, chce nas teraz odstrzelić – streściła biała, wysoka brunetka, której twarz z wydatnymi kośćmi policzkowymi Timothy pamiętał z zakończenia roku. Oboje odbierali wówczas swoje stypendia, ona zaś wygłaszała potem mowę w imieniu studentów. Kamery uchwyciły ją w bardzo korzystnym zbliżeniu powielonym na wielkie ekrany ustawione przy scenie, nie pamiętał jednak jej imienia.

– I jak mu idzie?

– Słabo – wtrącił wysoki, dobrze zbudowany chłopak, którego uroda sugerowała, że najprawdopodobniej ma włoską lub grecką domieszkę genów. – Jestem Claudio. – Wyciągnął rękę – To Lucy, Sheryl i Erwin.

Lucy Domanska – przypomniał sobie Timothy. Skojarzył też, że jej zeszłoroczne osiągnięcia związane były z lingwistyką. Wyminął pana Wilsona i uścisnął wyciągniętą dłoń Claudio. Sheryl stała z boku. Była niewysoka, a któreś z jej przodkiń lub przodków z pewnością pochodziło z Azji. Ostatni przedstawiony student miał na sobie błękitną koszulę i granatową marynarkę, spod której wystawał sweater w białoniebieską kratę. Był najniższy i najdrobniejszy z zebranych, a jego twarz wydawała się najjaśniejsza – był biały i najwidoczniej z premedytacją unikał światła.

– Sprawa jest poważna – odezwał się podenerwowany Wilson – ale nigdy nie powiedziałem, że chcę was odstrzelić, Lucy. Wiem tylko, że zamknęli projekt i że przeniosą

wszystkie uczestniczące w nim osoby do ośrodka w Strefie 51. Być może już dziś. – Rzucił szybkie spojrzenie na tarczę starożytnego zegarka.

– O jaki właściwie eksperyment chodzi? – spytał Timothy.

Wilson otarł pot z czoła.

– Jesteście niezwykle inteligentni, a jednocześnie każde z was ma poważne osiągnięcia w sporcie. To wszystko opiera się na eksperymencie genetycznym. Więcej powiem tylko tym osobom, które zgodzą się ze mną jechać – wyrzucił z siebie pospiesznie i otworzył drzwi furgonetki.

– I to jest właśnie ten moment, kiedy nie do końca mamy ochotę mu zaufać – stwierdziła Sheryl.

– Dlaczego tak ci zależy na tym, żebyśmy wsiedli do tego auta? – zapytał Timothy.

– Nie pamiętacie mnie, ale kiedy byliście dziećmi. . .

– Widzieliśmy zdjęcia, ale sam wiesz, jak łatwo teraz wykreować grafikę przedstawiającą cokolwiek, choćby prezydenta z wizytą na Księżycu. Daj nam jakiś konkretny przykład – naciskała Lucy.

– Z ramienia FBI nadzorowałem wasze wychowanie w rodzinach zastępczych. Sprawdzalem, czy niczego wam nie brakuje, czy rozwijacie się prawidłowo. Znałem was, kiedy byliście dziećmi, i chcę, żebyście mieli teraz wybór. – Wilson spojrzął na budynki uniwersyteckiego akademika. – Zostało tam jeszcze sześcioro spośród was. Oni już wybrali i nie chcę stracić nikogo więcej. Zależy mi na tym, żebyście dowiedzieli się wszystkiego, a nie tylko tego, co chcą wam powiedzieć federalni.

– Nie jadę – odezwał się Erwin. – Szczerze mówiąc, miałem nadzieję, że będziesz nas werbował do biura, a nie knuł przeciwko rządowi. Jestem głęboko zawiedziony i zniesmaczony tą sytuacją.

Wilson uciszył go gestem.

– Słyszycie?

W oddali dało się słyszeć delikatny warkot silnika. Rozejrzeli się. Ponad wyniosłym, neogotyckim budynkiem biblioteki, pamiętającym zapewne założyciela uczelni, Johna Witherspoona, który własnoręcznie podpisywał *Deklarację niepodległości Stanów Zjednoczonych*, unosił się dron.

– Wyśledzili nas – Wilson wyglądał na przejętego. – Błagam, wejdźcie do tego samochodu.

Claudio wszedł do środka. Gdy Timothy spojrzął mu w oczy, atleta wzruszył ramionami.

– Przekonamy się, co jest grane, a w razie czego wyrzucimy staruszka i przejmemy stery.

To najwidoczniej przekonało Lucy i Sheryl.

Timothy wciąż się wahał. Spojrzął na Erwina, który wycofał się już o kilka kroków. Wilson wyglądał na zdesperowanego.

– Tim, wiem, jak się porywa i werbuje ludzi, ale nie mam pojęcia, jak ich ratować i sprawić, żeby mi zaufali – powiedział, patrząc prosto w oczy Timothy'ego. – Nie mamy już czasu – oznajmił, po czym podbiegł do drzwi samochodu od strony kierowcy.

Timothy wskoczył do auta, a zamykając przesuwane drzwi, wychwycił pełne dezaprobaty spojrzenie Erwina. Było w nim coś takiego, że natychmiast poczuł satysfakcję z dołączenia do ekipy wewnątrz samochodu.

Wilson siedział już na miejscu kierowcy, jednak zamiast ruszyć, grzebał w schowku. Po chwili wyciągnął stamtąd samopowtarzalny pistolet, wychylił się przez okno, wymierzył w górę i trzykrotnie wystrzelił w stronę drona. Gdy wreszcie trafił, silnik bezzałogowca zamilkł, a całe urządzenie zawirowało i z rosnącą prędkością spadło na trawnik. W tym samym czasie w oknach biblioteki oraz kilku sąsiednich budynków zapaliły się światła.

Wilson uruchomił silnik i ruszył z piskiem opon.

– Powiesz nam teraz coś więcej? To jakiś współczesny pomysł na hodowanie superludzi? Coś z klonowaniem? – pytała Wilsona Lucy.

– Sądząc po wyglądzie naszej czwórki, wiadomo przynajmniej, że nie stoją za tym biali ekstremiści – zauważył Timothy.

– Albo coś im nie wyszło – skomentowała Lucy.

– Dajcie prowadzić! – syknął Wilson.

Brał właśnie ostry zakręt w lewo w ulicę Nassau, a chwilę później kolejny w Bayard Lane.

– Myślałam, że zabierasz nas poza miasto – zauważyła Sheryl.

– Community Park – rzucił. – Pięć minut jazdy i dostaniecie wasze odpowiedzi.

Minęli Bank Princeton i wjechali między drzewa, wjazd prowadzący na parking przy największym parku w mieście. Tu jednak dostrzegli kolejnego drona. Leciał z dużą prędkością nad bloniami po prawej i kierował się prosto na nich. Wilson przyspieszył, lecz ten statek bezzałogowy miał inny cel niż poprzednik. Niczym pocisk uderzył z ogromnym impetem w samochód, którym jechali.

Wilson stracił panowanie nad furgonetką i zjechał z trasy. Zaczęli koziołkować.

Tim!

Głos rozlegał się wewnątrz jego głowy. Wiedział, że unosi się w powietrzu, a grawitacja i siła odśrodkowa robią coś z jego ciałem, całkowicie poza kontrolą woli i świadomości.

Skręcisz kark!

Czas zwolnił. Uświadomił sobie, że w przeciwieństwie do pozostałych nie zapiął pasów, a sufit znajduje się teraz pod nim. Uchwycił kątem oka przerażone spojrzenie Sheryl. Czy to był jej głos?

Pozwól mi działać!



Lena Darska / PLSP w Supraślu

Poczuł, że czyjaś wola przejmuje jego system nerwowy. Mógł się sprzeciwić, ale zagrożenie było zbyt realne. Wycofał się w głąb świadomości i poczuł, jak bezwładne dotąd mięśnie rąk, karku i pleców napinają się, jak dłoń kieruje się ku sufitowi, głowa kuli się między ramionami, a broda przywiera do piersi, chroniąc go przed nadchodzącym uderzeniem, złamaniem, śmiercią.

– Jesteście cali? – krzyknął Wilson. – Odezwijcie się?!

– Tak – odezwała się najpierw Sheryl, a po niej każdy z pozostałych pasażerów.

– Wychodźcie, dalej pójdziemy pieszo – ponaglał były agent.

Lucy pierwsza wyplątała się z pasów, otworzyła drzwi i wydostała się na zewnątrz. Claudio ruszył za nią, nadeptując przy tym Timowi na stopę. Ten zaś dał znać Sheryl, że może iść przed nim. Potrzebował jeszcze chwili na otrząśnięcie się z szoku. Wyszedł ostatni, wyprzedził go nawet Wilson, który ruszył już truchtem przez jezdnię i ponaglał pozostałych.

Gdy przebiegli na drugą stronę, usłyszeli zbliżające się ich śladem syreny kilku samochodów policyjnych.

– Biegnijcie w prawo, w stronę jeziora! – krzyczał Wilson, który mimo starań i wysiłków, coraz widoczniej pozostawał w tyle.

Kolejne kilkaset metrów biegli najszybciej jak potrafili, w niewielkiej odległości od siebie. Mimo bólu naciągniętych mięśni pleców Timothy pierwszy dotarł nad brzeg. Rozejrzał się, ale nie zauważył nic, co mogłoby być ich celem. Claudio, Lucy i Sheryl zatrzymali się obok niego, ciężko oddychając. Spojrzeli po sobie zdezorientowani.

W głębi parku, za ich plecami rozległy się strzały.

– Cholera, chyba jednak miałam rację – stwierdziła Lucy. – Biegniemy dalej?

– Niby dokąd? – rzucił Claudio.

Nagle, nad taflą jeziora pojawiła się pionowa smuga światła o długości około trzech metrów, która w ciągu kilku sekund poszerzyła się na szerokość mniej więcej półtora metra. Patrzyli na nią zafascynowani. Gdy ich oczy przywykły do jasności, dostrzegli w niej korytarz wiszący w przestrzeni tuż nad wodą.

– To chyba maskująca technologia wojskowa – rzuciła Sheryl. – Słyszałam o czymś takim.

– Lucy Domanska, Sheryl WuDunn, Timothy Snyder, Claudio Vanzi. – Usłyszeli spokojny, kobiecy głos dobiegający od strony przejścia. – Zapraszamy na pokład.

Spojrzeni po sobie z wyrazem niepokoju na twarzach, jednak gdy tylko Timothy rzucił okiem za siebie, w stronę lasu, gdzie znajdowali się ich prześladowcy, niezwłocznie ruszyli razem w stronę zawieszzonego w przestrzeni korytarza. Zanim jeszcze opuścili brzeg, poczuli pod stopami twardą powierzchnię metalowej pochylni, a gdy przekroczyli próg jasności, wejście zasunęło się za nimi bezgłośnie. Odwrócili się i zobaczyli za sobą krawędź lasu, przez który biegli jeszcze kilka chwil wcześniej. Ściany, które musiały ich przecież otaczać, wydawały się teraz całkowicie przezroczyste. Jedynie jednolita materia podłogi i sufitu korytarza wciąż trwały jako pasy jasności.

Z lasu naprzeciw nich wybiegło trzech mężczyzn. Timothy zwrócił uwagę, że żaden z nich nie miał broni. Zatrzymali się i rozglądali wokół całkowicie zdezorientowani.

– Nie widzą nas – oznajmił Claudio.

– Dziękujemy, kapitanie oczywistość – odpowiedziała złośliwie Lucy.

Agenci wymienili kilka zdań i rozdzielili się – dwóch ruszyło w prawo, jeden w lewo. Wówczas pojazd, na którym znajdowali się uciekinierzy z Princeton, z ogromną szybkością wzbil się w powietrze. Nie poczuli przyspieszenia, jednak sam widok raptownie oddalającego się brzegu, jeziora spowodował, że stracili równowagę i osunęli się na podłogę.

– Zapraszam w głąb korytarza, tam będzie wygodniej. – Usłyszeli za plecami i natychmiast zwrócili się w tę stronę.

Istota, którą zobaczyli, górowała nad nimi wzrostem, miała jasnoszarą skórę, niewielką, podłużną i bezwłosą głowę osadzoną na długiej szyi. Jej spłaszczona czaszka rozszerzała się w górnej części tak, że oczy znajdowały się w znacznej odległości od jej środka. Szczipłą sylwetkę okrywała długa niebiesko-srebrna tunika, z fałd której wydobywały się dwie nieproporcjonalnie (jak na ludzkie standardy) długie górne kończyny. Prawa poruszała się w przyzywającym geście. Dwoje oczu mrugało na zmianę, a niewielkie usta wydawały się delikatnie uśmiechać. Postać odwróciła się (ukazało się tym samym jej trzecie oko, znajdujące się z tyłu czaszki) i skierowała w głąb korytarza, gdzie przestrzeń przybierała teraz kształt okrągłej sali.

– To jest... – zaczął ponownie Claudio.

– Przedstawiciel obcej cywilizacji, kapitanie – W tonie podnoszącej się Lucy zabrzmiała teraz dodatkowa nuta zniecierpliwienia. – Zapewne ma pan rację.

W tym momencie Sheryl wykonała gest, który sprawił, że Timothy wydal z siebie krótki okrzyk przerażenia –

wsparła się o niewidzialną ścianę. Z jego perspektywy wyglądało to tak, jakby za chwilę miała polecieć w ciemną przestrzeń, w stronę ziemi.

– Wyluzuj. To po prostu ekrany – odpowiedziała.

Kilka chwil później siedzieli na wygodnych fotelach w niewielkiej sali konferencyjnej. Zamiast jednego dużego stołu każdy miał niewielki własny, wyrastający z oparcia siedziska, co jednoznacznie kojarzyło się Timothy'emu z liceum w Haverford.

– Jestem Vior i dokładnie znam wasze biografie, więc nie musicie się przedstawiać. Zacznę od tego, że jesteście tu całkowicie bezpieczni, a za chwilę zobaczycie, co by się z wami stało, gdybyście zostali na uniwersytecie – mówił spokojnym głosem obcy. – Zależy mi też na waszym zaufaniu. Najważniejsze jednak, co przychodzi mi z pewnym trudem i miałem nadzieję, że Wilson mnie w tym wyręczy, jest stwierdzenie, kim dla siebie jesteście. Nie owijając w bawełnę, jak to zwykliście mówić, jesteście spokrewnieni.

– W sensie, że jako ludzkość pochodzimy z gwiazd, tak? – domyśliła się Lucy. – Tyson, Crick i Hoyle mieli rację. Organizmy przenoszone są między planetami. Na asteroidach? Dryfują?

– W innym sensie – przerwał jej Vior. – Musicie wiedzieć, że pierwsze kontakty między naszymi cywilizacjami miały miejsce około sześćdziesięciu lat temu i na prośbę Ziemiaków zachowały bardzo poufny charakter.

Timothy zrozumiał, że zanosi się na dłuższe wyjaśnienia, i wygodnie zapadł się w miękkim fotelu. Vior kontynuował:

– Nawiązaliśmy kontakt z przedstawicielami Stanów Zjednoczonych, co jak mniemaliśmy, oznaczało wszystkie ziemskie plemiona i grupy etniczne. Zostaliśmy wówczas poproszeni o dyskrecję ze względu na, jak nam mówiono, konieczność przygotowania populacji na ideę kontaktu z istotami spoza planety. Przyjeliśmy na tym statku delegację rządu amerykańskiego, a prezentacja dotycząca religii tu wyznawanych potwierdzała słuszność ostrożnego działania. Dopiero niedawno zdałem sobie sprawę, że zostałem wówczas zmanipulowany. Podczas tamtego spotkania stało się także coś bardziej niepokojącego i mającego dziś dużo poważniejsze konsekwencje. Otóż jeden z członków owej delegacji pobrał ze statku próbki mojego DNA.

– Jak? – wyrwało się Lucy.

– Z oparcia, kubka, z którego piłem, albo drobin kurzu. Nie jest to szczególnie skomplikowane. Następnie, jak już się być może domyślacie, w ramach tajnego projektu

badawczego połączono mój materiał genetyczny, bez mojej wiedzy i zgody, z ludzkim.

Lucy, Sheryl, Timothy i Claudio patrzyli na siebie z niepokojem.

– To znaczy – Sheryl wolno dobierała słowa – że nie jesteśmy ludźmi?

– Jesteście hybrydami – odparł Vior. – Ludźmi połączonymi, i to już na etapie komórkowym, z moim gatunkiem. Zakładam, że embriony, które nie wykazywały jednoznacznie ludzkich cech fizycznych, zostały wyeliminowane, choć niewykluczone też, że jesteście którymś z kolei pokoleniem laboratoryjnych tworów, które w końcu mogły być zasymilowane do ludzkiej społeczności.

– To znaczy, że jesteście twoimi klonami? Kuzynami? Dziećmi? – nie wytrzymał Timothy.

– Pod kątem medycznym najbliższe jest tu klonowanie. Nie znajduję jednak precyzyjnego określenia dla naszej relacji. Biorąc pod uwagę następstwo czasowe, to jakby potomstwem. Faktem jest jednak, że nosicie część mojego DNA, co przekłada się na zainteresowanie waszymi losami.

Studenci dłuższą chwilę w milczeniu przyswajali tę informację.

– Cholera – Lucy przerwała w końcu ciszę. – Głupio mi teraz, że za każdym razem, jak nie zgadzała się ze starym, mówiłam mu, że jest chyba z innej planety.

– Wróciliśmy nad uniwersytet – oznajmił nagle Vior. W tym samym momencie zniknęły otaczające ich ściany. Oglądali teraz swą uczelnię z wysokości kilkudziesięciu metrów.

– Jak to robisz? – wykrzyknął zaskoczony Claudio.

– Rozwinęliście już przecież technikę wideo – zdziwił się Vior. – To tylko kamery, procesory i wyświetlacze zrobione z odpowiedniego materiału.

Lucy rzuciła Claudiowi pełne ironii spojrzenie.

Timothy tymczasem zwrócił uwagę na grupę studentów wychodzących z budynku akademika i kierujących się do zaparkowanego przed nim czarnego autokaru. Był wśród nich Erwin, którego sylwetka ugięła się pod ciężarem dużego plecaka.

– Kurcze, Wilson mógł powiedzieć, żebyśmy zabrali trochę swoich rzeczy – stwierdziła Sheryl.

– Dokąd ich zawiozą? – spytał Timothy.

– Do Stefy 51. Petera pewnie też – odpowiedział Vior.

– Kogo?

– Petera Wilsona.

– Intryguje mnie jedna rzecz – odezwała się Sheryl. – Skoro macie tę całą technologię, to pewnie latacie między gwiazdami, tak?

– Latamy – potwierdził Vior.

– Nie dążycie do zniszczenia innych cywilizacji?

– Dlaczego mieliby to robić? – zdziwiła się Lucy.

– Choćby ze względu na ograniczoną ilość zasobów w kosmosie. Nie czytałaś o tym? Według teorii ciemnego lasu to właśnie dlatego inne cywilizacje nie manifestują swojej obecności i nie możemy nic usłyszeć – wyjaśniła Sheryl.

– Poważnie? – westchnął kosmita, przybierając przy tym wyjątkowo ludzki wyraz twarzy. – Spójrzcie na to z perspektywy. Czy od czasu, gdy zorientowaliście się, że zasoby na waszej planecie kiedyś się wyczerpią, biegacie z tego powodu po lasach i niszcycie mrowiska albo tępicie bobry? W formie, w którą wyewoluowaliśmy, możemy trwać praktycznie nieograniczenie, póki tylko będą świecić gwiazdy. Poza tym interesują nas obecnie zupełnie inne zasoby niż was. Węgiel? Uran? Mamy to dawno za sobą.

– W takim razie dlaczego nasz program SETI nic nie wykrył? Wiecie, o co chodzi, prawda? Od lat prowadziliśmy nasłuch fal radiowych, nasze nadajniki, także telewizyjne, wysyłają ich jeszcze więcej. Nie odbieraliście ich?

– Po co? Było kiedyś coś ciekawego w waszej telewizji? – zapytał ironicznie Vior. – Jeśli zaś chodzi o fale radiowe w kosmosie, to zdarzają się bardzo rzadko. Wychwyciłem dwa takie sygnały podczas swojego życia. Jeden urwał się nagle i chwilę później przyszła stamtąd jedynie fala promieniowania po jakichś wybuchach, a drugi był wołaniem o pomoc, z którą nie mogliśmy zdążyć. Wasz był trzeci, a ponieważ tym razem byłem naprawdę blisko, odwiedziłem was z czystej ciekawości. Sami zaś, od pewnego momentu, do komunikacji wykorzystujemy jedynie światło, inne sposoby są zbyt wolne.

Sheryl zmarszczyła czoło w zamyśleniu.

– Macie na myśli jakies kosmiczne światłowody?

– Nie, nie budujemy światłowodów. Po prostu wykorzystujemy światło. Jeśli nadajnik i odbiornik znajdują się w tej samej linii, a w przestrzeni kosmicznej nie jest szczególnie trudno ją wytyczyć, i mają źródło światła, z łatwością przesyłają sobie informacje. Podstawa jest tu taka sama jak przy poruszaniu zasłoną na latarni, by przekazać coś kodem binarnym. Czasem korzystamy ze światła gwiazd, często z pasm, których po prostu nie możecie zaobserwować. Oczywiście nie jesteśmy przy tym ograniczeni do pojedynczej wiązki zero-jedynkowej. Ustawiamy

zestawy soczewek i systemów kodujących w dowolnej odległości od gwiazdy i przesyłamy nieograniczone ilości danych. Wymaga to jedynie stałej kalibracji. Fale telewizyjne czy radiowe wędrowałyby zbyt wolno.

– Przepraszam, skoro zadajemy sobie trudne pytania, to mnie z kolei nurtuje inna rzecz – odezwał się Timothy. – Powiedziałeś, że mieliście blisko. Dokąd? Po co właściwie przylecieliście do Układu Słonecznego?

– Ta duża planeta, Neptun w waszym nazewnictwie. Prowadzimy tam prace wydobywcze. Większość związków chemicznych, które stamtąd zabieramy, nie jest wam jeszcze znana, poza tym i tak długo nie będziecie mieli dostępu.

– Ale kiedyś mogłyby nam się przydać?! – Sheryl wyglądała na oburzoną. – To według was etyczne? Zabierać coś z układu planetarnego, w którym rozwija się cywilizacja?

– Szybko przesłaś od opcji „chyba nas nie zabijecie” do „nie zabierajcie nic z tego układu w imię etyki i naszego prawa do zasobów” – zauważył z szerokim uśmiechem Vior. – Faktycznie, możecie ich kiedyś potrzebować i dlatego postanowiliśmy się z wami skontaktować i zostawić wam, niejako w zamian, część naszej wiedzy i technologii, która może przyspieszyć wasz rozwój. Jeśli jako cywilizacja przetrwacie kolejne tysiąc lat, to spotkamy się ponownie. Przylecę wówczas po następny transport i wspólnie zastanowimy się, co dalej.

– Jak udało się wam osiągnąć poziom cywilizacji pozwalający na podróże międzygwiazdne i inżynierię kosmiczną? – Tym razem pytanie padło ze strony Lucy.

– Zadajecie więcej pytań niż przedstawiciele rządu Stanów Zjednoczonych. – Vior robił wrażenie odprężonego. – Pierwszy przełom nastąpił w czasach, gdy osiągnęliśmy poziom pozwalający na stworzenie broni masowego rażenia. Moi przodkowie osiągnęli to pierwsi. Użyli jej i podporządkowali sobie wszystkie podzielone plemiona i rasy. Nasi przeciwnicy zdali też sobie sprawę, że akty terroru, których mogliby dokonać, sprawią, że zniszczą także siebie. Nigdy nie oddali ciosu. To pozwoliło się nam skupić na działaniach istotnych z punktu widzenia ewolucyjnego. Zajęliśmy się badaniami DNA, by przyjąć odporniejsze, długowieczne formy, zdolne przyswajać więcej wiedzy i hibernować podczas podróży kosmicznych. Niezależnie od zastosowanych technologii, to i tak trwa bardzo długo. Poza tym nie jesteśmy jedyni w Galaktyce. Szeptacze potrafią tysiącami lat hibernować w przestrzeni międzygwiazdnej i budzą się pod wpływem ciepła gwiazd, a rośliny z typu

plewców rozsiewają zarodniki, które mogą się zakorzenić na odległych planetach.

– Spójrzcie, tam jest Wilson! – krzyknęła nagle Sheryl.

Rzeczywiście. Peter Wilson w swej kraciestej koszuli siedział na tylnym fotelu jednego z samochodów i rozmawiał z funkcjonariuszem FBI.

– Oczywiście. Jeśli mieliście co do tego jakiegokolwiek wątpliwości, to w lesie strzelał tylko on – oznajmił Vior. – Celował w powietrze i tylko po to, żeby odciągnąć pościg; trochę przestraszyć i opóźnić agentów.

– Omal nie zginąłem podczas ataku drona – przypomniał Timothy.

– Wypadek. Chcieli tylko nie dopuścić do spotkania ze mną. Jesteście zbyt użyteczni dla biura. Peter także. Dużo wie o nas i technologiach, które już przekazaliśmy rządowi Stanów Zjednoczonych. Ciekawy gość swoją drogą. Wbrew pozorom kieruje się też głębokim patriotyzmem.

– Nikt nas tu nie wykryje? – zaniepokoił się nagle Claudio.

– Najwyżej nietoperze.

– Przez ultradźwięki i echolokację?

– To byłoby za proste. Te stworzenia mają do dyspozycji dużo więcej możliwości niż to. Po prostu jeszcze tego nie odkryliście. W ogóle powinniście przyjąć do wiadomości, że są rzeczy, których nie odkryliście, bo ich po prostu nie widzicie, i takie, które widzicie, nie wiedząc jednak, czym są w istocie. Teraz na przykład na otaczających was wyświetlaczach pojawia się mnóstwo informacji, ale wasze oczy nie rejestrują ich widma światła. – Wskazał ruchem trójpalczastej dłoni nieokreśloną przestrzeń wokół nich.

Autokary pod Uniwersytetem Princeton zabrały ostatnich pasażerów i ruszyły w drogę, a w pewnej odległości za nimi także statek kosmiczny, na którym się znajdowali.

Timothy od dłuższej chwili uważniej przyglądał się Viorowi i wychwycił ruch pod fałdami ubrania, na wysokości klatki piersiowej kosmity, nawet gdy jego kończyny spoczywały spokojnie na oparciach krzesła.

– Sterujesz teraz tym pojazdem? – domyślił się.

– Tak. Mam dodatkową parę rąk – odparł Vior. – Doceniam twoją spostrzegawczość, Timothy. Ale nie będziemy ich śledzić. Jadą pewnie do Nowego Jorku, na lotnisko JFK. Przed nami dwie godziny lotu do Strefy, tam na nich zaczekamy.

Udało im się nawet chwilę zdrzemnąć. Zgodzili się przy tym, że na ten czas wszyscy zrobią przerwę w pytaniach, gdyż nikt nie chciał pominąć żadnej odpowiedzi.

Tim?

Słyszę cię, Sheryl. Czy z innymi też masz podobny kontakt?

Tylko z tobą. Jak myślisz, do czego to zmierza?

Chciałbym wiedzieć. Czuję się jak mrówka zabrana w powietrze z drogi do mrowiska, która widzi nagle z góry cały las i pobliską autostradę.

Przez kolejne godziny przelecieli wszystkie cztery amerykańskie strefy czasowe. Zawisli w powietrzu nad drogą dojazdową do pierwszych obiektów wojskowych Strefy 51. W odległości kilku kilometrów od nich majaczył już kształt autobusu wiozącego z lotniska pozostałych eksperymentalnie zmodyfikowanych studentów Uniwersytetu Princeton.

– Myślę, że potraficie wychwycić moje ambiwalentne odczucia – zwrócił się do Timothy’ego, Lucy, Claudia i Sheryl. – Zastanawiałem się nad wymazaniem z mapy tego ośrodka, ale po rozmowie z Peterem i resztą mojej załogi postanowiłem, że przedstawię wam pewien wybór. Wszystkim, których to zainteresuje, czyli obecnie jedynie waszej czwórce.

– Jaki? – nie wytrzymał Claudio.

– Możecie wyjść za chwilę z mojego promu na spotkanie reszty waszego rodzeństwa oraz szefostwa FBI, zaś alternatywą jest podróż ze mną.

– Autostopem przez galaktykę? – zapytała rozbawiona Sheryl.

– Mniej więcej. I powrót za pięć tysięcy lat, gdy będziemy lecieć po kolejny transport kopaliny z Neptuna. Oczywiście podróż odbędzie się bez szczególnych wygód. Ot, długi sen w chłodnej kabinie wyposażonej w system podtrzymywania życia; zanurzylibyśmy was w cieczy, która żywi i spowalnia metabolizm do minimum. Transport żywych, białkowych istot mamy opanowany. Mielibyśmy kiedyś coś, co moglibyście nazwać ogrodem zoologicznym. Zrezygnowaliśmy z tego ze względów...

– Humanitarnych? – próbowała zgadnąć Lucy.

– Ekonomicznych. Nie cieszył się dużym zainteresowaniem, a obiekty bardzo szybko umierały. Wedle naszych standardów, oczywiście.

– Kocham ten kraj, ale współpraca z rządem nie budzi mojego entuzjazmu. Z drugiej strony podróż brzmi świetnie, tylko nie wiadomo, czy po powrocie będziemy mieli komu opowiedzieć o tym, co widzieliśmy... – zamyślił się Timothy.

– To prawda. W najgorszym razie mielibyście szansę zobaczyć rzeczy, których nikt z ludzi nie będzie w stanie,

i pozostać jedynymi, którzy pamiętają wasz stary świat. Romantyczna wizja, nieprawdaż? – Vior prawdopodobnie ironizował, ale nikt nawet nie uśmiechnął się w odpowiedzi.

– Nie, to wcale nie brzmi tak dobrze, jak się wydaje – stwierdziła sucho Sheryl.

Sheryl? Nie możemy wrócić w ręce FBI. Nie zaufają nam, wykorzystają, nie będziemy mieli żadnej swobody.

Co proponujesz?

Nie wiem.

– Czy będziemy żyć dłużej niż inni ludzie? – zapytał Claudio.

– Tak, choć nie wiecznie. Z biologicznego punktu widzenia macie potencjał na jakieś trzysta, może nawet czterysta ziemskich lat – odparł Vior.

Timothy wziął głęboki wdech, zamyślił się i skupił nad zasadami myślenia komputacyjnego. Rozłożenie problemu na części składowe, analiza i rozpoznanie prawdziwości, eliminowanie nieistotnych elementów przez uogólnianie, tworzenie algorytmu, czy raczej rozwiązania problemu.

Masz jakieś intuicje, Sheryl?

– Vior? Możesz dać nam wolność? – odezwała się nagle na głos. – Nie oddawać agentom, tylko dać nam żyć w innym miejscu. Z nową tożsamością i środkami do życia.

Kosmita zamyślił się.

– Gdzie?

– W Europie. Może w Londynie – rzucił Timothy z entuzjazmem. – Podobno łatwo tam się wmieszać się w tłum.

– Skoro już o tym mowa – wtrąciła Lucy – moglibyśmy też dostać płaszcze z takiego materiału, z jakiego zrobiona jest tu większość rzeczy? Wiem, że nie jest przezroczysty, ale bardzo pomaga w ukrywaniu się.

– Peleryny niewidki. – Claudio uśmiechnął się szeroko. – Byłoby super.

– Prawdopodobnie dobrze byłoby też, gdybyśmy mogli przekazać waszą wiedzę komuś po tamtej stronie oceanu – zwrócił się Timothy do Viora. – W Ameryce żyje oczywiście mnóstwo dobrych ludzi, mamy świetnego prezydenta, ale wszyscy prezydenci miewają czasem tendencje do nieco nadmiernej dominacji. Myślę o zachowaniu pewnej równowagi, bo jeśli mielibyśmy żyć w jakimś innym kraju, to wołałbym, żeby nie został zdominowany nawet przez tych dobrych i szlachetnych ludzi. – „Jeśli są ludźmi, oczywiście”, dodał w zamyśleniu.

Promienie wschodzącego słońca wydobywały z ciemności drogę ciągnącą się przed autokarem. Erwin Petersen obudził się i spojrzął na siedzącego obok Wilsona. Były agent wpatrywał się w bezchmurne niebo za szybą autokaru.

– Nie zbombardują nas chyba? – zapytał z lekkim niepokojem w głosie. – Te kosmiczne dziwolągi, o których mówileś, wydają się cholernie pacyfistyczne. Przynajmniej w twojej wersji zdarzeń.

– Wyobraź sobie, Erwin, że nie każdy robi obozy koncentracyjne dla mrówek – wypomniał mu rozmówca. – Czytanie notatek z twoich spotkań z psychologiem było naprawdę niepokojące, chłopcze.

Urażony Erwin odwrócił głowę.

– Ale masz rację, nic nam nie grozi – kontynuował Wilson. – Obcy nie zastanawiali się nawet, czy powinniśmy dalej istnieć, choć nie jesteśmy też dla nich szczególnie

wyjątkowi. Nasza świadomość, emocje, ciało, funkcje życiowe, nawet rozwój społeczny są z ich perspektywy łatwymi do zrozumienia schematami. Zdają też sobie sprawę, że zmysły i instrumenty badawcze, którymi dysponujemy, przekazują tylko część informacji o zjawiskach, wśród których funkcjonujemy. Rzeczywistość, którą dzięki nim poznałem przez ostatnie dekady, wymyka się pojmowaniu. Jest niewyraźna opisem czy myślą. Próbowałeś wytłumaczyć kotu fizykę kwantową? W kontakcie z nimi czulem się właśnie jak kot na wykładzie. Ich wiedza znajduje w miarę spójny wyraz jedynie we wzorach matematycznych.

– Po co mi to mówisz?

– Żebyś tam, w Strefie, robiąc dla federalnych wszystkie rzeczy, których będą od ciebie wymagać, pamiętał, że wciąż bardzo mało o sobie wiesz, a oni tylko próbują to zgadnąć przed tobą.

MAREK NOWAK

– (ur. 1974) – absolwent Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej im. Leona Schillera w Łodzi, dziennikarz, scenarzysta, autor krótkich form literackich publikowanych między innymi w „Nowej Fantastyce”, „Nowym Talizmanie”, kwartalniku literackim „Fa-Art”, „Przeglądzie Artystyczno-Literackim” (PAL), „Epei”. Wydał nowele *Zabić Jędzę* (2010) i *Zabójca bogów* (2019) oraz zbiór opowiadań *Dziesięć tysięcy światów* (2022). Wyróżniany w konkursach literackich „O świetlne pióro” i „Literatura na miotle”. Dwukrotny stypendysta Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej. Pisał dialogi na potrzeby programów rozrywkowych i serialu, zaś jego słuchowisko zostało zrealizowane w ramach Sceny Współczesnej Teatru Polskiego Radia. Pełni funkcję redaktora naczelnego portalu internetowego związanego z nowymi technologiami, prowadzi też sesje RPG w ramach trójmiejskiej inicjatywy Głowa Pełna Przygód.



fol. prywatne archiwum autora

Iwona Kasino

Jej najpiękniejsze wspomnienie

– Usuń – mówię niecierpliwie, nawet nie patrząc w stronę komunikatu, który wyświetlił się w pokoju.

– Daj spokój, przecież wiesz, że... – Przeciągły pisk zagłusza słowa Margot. Pomieszczenie zalewa pulsujące czerwone światło.

Margot, zatykając uszy, patrzy na mnie błagalnie. Cienie pod jej oczami wyglądają upiornie, krwistofioletowo.

Pospiesznie przebiegam wzrokiem po czterech liniach tekstu. Pisk cichnie, ciemny pokój rozświetla już tylko blask ulicznych neonów.

– Usuń! – powtarzam stanowczo. Ściągam buty i rozcieram obolałe stopy. – Mogliby sobie odpuścić – mruczę pod nosem.

– Znowu zaczynasz? – wzdycha Margot. – To au-to-mat – sylabizuje, jakbym była dzieckiem. – Program do wyszukiwania takich jak my.

– Przypominam ci, że za każdym programem stoi człowiek, który zapewne nieźle zarabia na naszym nieszczęściu. Ale za mnie nie dostanie nic. Żaden program mnie nie złamie. Niedoczekanie... – nakręcam się.

– Ledwo żyję – przerywa mi Margot. Powlócząc nogami, podchodzi do łóżka. Tak jak stoi, rzuca się na nie, a ono z lekkim sykiem amortyzuje upadek.

Padam koło niej. Asystent domowy, Mary, dopasowuje materac do naszych ciał i zaczyna delikatnie kołysać do snu.

Do końca tygodnia to miejsce będzie nasze, a potem... Nie, nie chcę myśleć, co będzie potem. Jestem zbyt zmęczona. Cały dzień łażenia po mieście w poszukiwaniu czegoś do żarcia. Jak szczur, chociaż szczurów już nie ma. Skończyły się. Zostały zjedzone przez takich jak my dekady temu. Podobno były smaczne.

– Burczy ci w brzuchu – stwierdza Margot. Z wysiłkiem przekręca się na bok w moją stronę. – Nie powinnaś myśleć o jedzeniu.

– Ty też nie. – Uśmiecham się lekko, bo teraz u niej coś bulgocze. – Ani o tej wiadomości.

– Ograniczyli nam wybór – mówi, już prawie śpiąc. – Kto nie pracuje, ten nie je. Musimy coś wybrać.

– Ja nic nie muszę. I ty też nie.

Zakładam jej za ucho kosmyk kręconych włosów i głaszczę delikatnie po zapadniętym policzku. Widzę, że chciałaby jeszcze coś dodać, ale nie ma siły się klócić. Już nie wierzy w sens naszego oporu. Jeśli jej nie powstrzymam, w końcu sama zgłosi się do Lavorixu. Zaprogramowana będzie ciężko pracować za neocoiny o najkrótszym terminie ważności, które natychmiast wyda na najgorsze syntetyczne żarcie. W zamian zapomni o głodzie.

Wolałabym, żeby się nie zgłosiła.

Asystent domowy budzi nas delikatnym wibrowaniem łóżka. Nie chce mi się wstawać, chowam głowę pod poduszkę. Wibracje przybierają na sile. Przestają być przyjemne. Siadam i spuszczam nogi na podłogę.

– Już wystaaarczy – jęczę błagalnie. – Znowu wygrałaś, Maryś!

Łóżko nieruchomieje. Słyszę bulgotanie wody w czajniku. Nie mamy nic do jedzenia, ale Maryś dba, żebyśmy przed wyjściem napiły się czegoś ciepłego. Wrzątek spełnia jej kryteria.

– Dobra Mary, dobra – chwale asystenta jak psa. To taki nasz żart, ale Margot się nie śmieje.

Zgarbiona siedzi po swojej stronie łóżka, twarz ukryła w dłoniach. Przez koszulkę widać wystające paciorki kręgosłupa. Wyciągam rękę, by ją pogłaskać po plecach, ale nie wiem, czy mój dotyk nie sprawiłby jej bólu. Zamiast tego muskam jej ramię.

Zbieramy się na miasto, zanim na ulicach zgasną neony i wstanie nowy dzień. Ta godzina lub dwie przed wschodem słońca to najlepsza pora na znalezienie czegoś do jedzenia. Sznurowadła wiąże na mocne supły, końcówki wpycham pod język. Buty powinny mocno ścisnąć kostki. To na wypadek gdybyśmy musiały uciekać. Bardziej z przyzwyczajenia niż konieczności zarzucam plecak. Od dawna nie znalazłam niczego, co mogłabym zabrać na zapas.

Jestem już gotowa, ale Margot kiepsko idzie, bo drżące palce nie panują nad sznurówkami. Klękam przy jej stopach.

– Nie musisz...

– Ale chcę.

Margot prostuje się z ulgą i gdy ja zajęta jestem jej butami, bierze do ręki stojącą na szafce fotografię. Głaszcze ją z czułością.

– Nasza dobrodziejka.

– Taaa, Babcia Łaskawa – mówię z przekąsem. Siadam obok Margot. Wyjmuję z jej rąk ramkę i odstawiam z powrotem na miejsce. – To, że opłaciła mi mieszkanie, nic nie zmienia. Nigdy nie była moją ukochaną babunią.

– Jesteś niesprawiedliwa. Ja o niej myślę z czułością.

– Byle nie dłużej niż do końca tego tygodnia. Potem jej łaska się skończy i już nie będziemy miały gdzie mieszkać.

– Do zobaczenia wieczorem – mówi Margot do uśmiechniętej Babci Dobrodziejki i wychodzimy na łowy.

Idziemy przez ogromny park, w którym o tej porze uwijają się jedynie pracownicy Lavorixu. Ubrani w szare kombinezony i zielone czapeczki z daszkiem, o bliźniaczo podobnych twarzach. To nowy pomysł firmy, która nakłada filtr na nasze wrażenia wzrokowe. Mają być niewidoczni, złać się w jedno. Nie mogę dopuścić, żeby Margot, która wlecze się kilka kroków za mną, stała się częścią tła.

Ewidentnie ma dziś gorszy dzień. Muszę ją nakarmić, to powinno pomóc. Jedzenie podlega ścisłej ewidencji, prawie wyeliminowano jego marnowanie. To nowa polityka miasta. Odciąć nas, szczury, od źródeł jedzenia, ale na szczęście są tacy, którzy mogą sobie pozwolić na płacenie kar. Zaglądam więc we wszystkie znane mi miejsca schadzek, imprez i ćpania. Miejski system utrzymania porządku świetnie sobie radzi na ulicach i chodnikach, miasto lśni. Ale do sprzątania w krzakach potrzebni są ludzie.

Przedzieram się przez kępę ligustru, gałązki drapią mnie po rękach. W środku jest klepisko, w sam raz na dwie osoby. Mam szczęście. Podnoszę z ziemi pół podeptanej kanapki. To dobry znak, dobry początek dnia. Byłam pierwsza, wyprzedziłam tych z Lavorixu.

Swoją część polykam tak szybko, że nawet nie wiem, z czym była. Resztkę daję Margot, która czeka na mnie przed krzakami. Wpycha wszystko do ust drżącymi rękoma, ale po chwili zaczyna się krztusić. Część wypluwa na ziemię.

– Co robisz?! – pytam odrobinę za ostro, ale nie możemy sobie pozwolić na wybrzydzenie. Pospiesznie zbieram wyplute kawałki chleba i wciskam jej w dłoń. – Masz to zjeść, rozumiesz?

Kiwa głową, płacze. Wyciera nos w rękaw koszuli.

Kątem oka, w szarówce nowego dnia, dostrzegam wychudzonego Enama, który powłócząc nogą za nogą, nadchodzi z naprzeciwka. Wlaził na nasz teren. Bez Margot nie dam rady go przepędzić. Mimo skrajnego wychudzenia jest ode mnie silniejszy. Skupiony na swoim celu, nie zwraca na nas uwagi. Jakies pięćdziesiąt metrów ode mnie, pod parkową ławeczką, leży pudełko po żarciu na wynos. Przełykam ślinę. Muszę je mieć.

Zostawiam płaczącą Margot i ruszam w stronę wyrzuczonego opakowania. Enam już wie, że wypatrzyłam jego cel. Przyspiesza. Po kilku krokach mam zadyszkę, ale prę naprzód mimo klucia w klatce piersiowej. Wyprzedza mnie pracownik Lavorixu. Nie biegnie, po prostu idzie krokiem rytmicznym i sprężystym. Dobrze odżywiony, zaprogramowany do skanowania otoczenia w poszukiwaniu śmieci, bez emocji realizuje swoje zadanie. Dopiero za kilka godzin program pozwoli mu być sobą. Na tyle krótko, by nie zaczął gardzić swoim prawdziwym ja. Za neocoiny pozwolił na ingerencję w oprogramowanie swojego czipa. Jeśli pierwszy dorwie pudełko, ani ja, ani Enam już się nie dowiemy, czy było w nim coś do jedzenia. Sięgam po ostatnie pokłady energii, przed oczami migają mi ciemne plamy. Wyprzedzam szary kombinezon. Mam ochotę chwycić za niego, przewrócić na ziemię, może nawet kopnąć. Ale za taki atak grożą surowe kary.

Jestem już blisko.

– To moje! – Enam boleśnie wali mnie łokciem w bok. Tracę równowagę i upadam na alejkę. Dyszę. Krew szumi mi w uszach, świat dookoła wiruje.

Enam błyskawicznie zagląda do pudełka. Na jego twarzy maluje się rozczarowanie. Wygrzebuje resztki czerwonego sosu, po czym dokładnie oblizuje palec. Głośno przy tym mlaszcze. Opakowanie rzuca na trawnik.

Patrzę, jak pracownik Lavorixu bez emocji sprząta pudełko. Żałuję, że nie zdążyłam go wylizać. Może jeszcze coś w nim zostało, coś, czym pogardził Enam. Jestem głodna. Bardzo głodna.

– Lepiej zajmij się tą swoją lalą. – Uwaga Enama sprostowuje mnie na ziemię. – Jeszcze chwila i ją namierzą.

Faktycznie. Margot siedzi na środku alejki w miejscu, w którym ją zostawiłam. Podciągnięte pod brodę kolana mocno ścisła ramionami. Rytmicznie kołysze się w przód i w tył. Śmieje się, płacze, mówi do siebie. Wszystko naraz.

Jeszcze raz wskrzeszam w sobie resztki sił. Wracam i siadam obok niej na ziemi.

– Margot! Margot! Popatrz na mnie! – Biorę jej twarz w swoje dłonie. Wzrok ma rozbiegany. – Uspokój się, proszę. Będziemy równo oddychać. Margot! – Potrząsam jej głową. – Wdech... i wydech... wdech... Margot, do cholery! – W ogóle mnie nie słucha.

– Wyścig po śmieci. Wyścig po śmieci – powtarza i śmieje się jak szaleniec. – Jemy śmieci – chichocze histerycznie. Kościstym palcem wskazuje ławkę, pod którą jeszcze chwilę temu leżało pudełko z resztkami czerwonego sosu. Przewraca się na plecy.

Sadzam ją z powrotem. Zaczyna zawodzić. Wiem, że to koniec. Odczuwam związaną z tym nieprzyjemną ulgę. Ale jeszcze na chwilę muszę się skupić.

– Twój czip na pewno wysłał już kilka wiadomości, że ci odbiło. Centrala cię namierzy – próbuję dotrzeć do resztek rozsądku w jej głowie. – Zaraz przyjedzie karetka. Rozumiesz, Margot? – krzyczę. – Jeszcze możemy uciec!

– A możemy... być piękne?

Pytanie wydaje mi się bez sensu, dopóki nie dociera do mnie, że park już nie jest pusty. Mija nas elegancka kobieta. Taka, która je prawdziwe jedzenie, a nie śmieci. Taka, która zarabia wyłącznie neocoiny o najdłuższym terminie ważności. Taka, która nie martwi się, że za tydzień nie będzie miała gdzie spać. W różowym świetle poranka wygląda jak z innego świata, którego zapach zostawia za sobą.

– Przecież jesteś piękna – odpowiadam. Skupiam się na Margot. Na jej ciemnych lokach i ładnie wykrojonych ustach.

– Piękna... – powtarza Margot i śmieje się jak wariatka. Wyciąga przed siebie dłonie pełne blizn i skaleczeń od grzebania w śmietnikach. Dokładnie ogląda każdy połamany paznokieć. Macha nimi przed moimi oczami. – Piękna! Piękna! Piękna...

Już słyszę sygnał karetki. Zastanawiam się, jak to rozegrać. Zostawić Margot samą czy trwać przy niej do końca? Co będzie lepsze dla niej, a co dla mnie? W końcu po prostu mocno ją przytulam.

Sygnał przybiera na sile. Jest tuż za nami. Pracownik medyczny Lavorixu ubrany w czerwony kombinezon i białą czapkę, ale o twarzy identycznej jak ci od sprzątanania, wyszarpuje Margot z moich objęć. Mnie też ktoś chwytą za ramiona i odciąga.

– Ines! – słyszę ochryply krzyk, zanim drzwi karetki zamkną się za Margot.

Wschodzi słońce, a ja zapadam w ciemność.

Leżę na czymś miękkim i pachnącym. Promienie słoneczne padają na moją twarz. Nie mam ochoty otwierać oczu. Jest mi błogo. Czuję się wypoczęta, wyspana i... najedzona. W końcu. Rozkoszuję się tym uczuciem. Jeszcze przez moment chcę być w zawieszaniu pomiędzy tym, co było, a tym, co będzie. W końcu powoli podnoszę powieki. Biel pomieszczenia razi w oczy, które zaczynają łzawić.

– Dobra robota. – Rozmazana plama powoli nabiera ostrości. Babcia Dobrodziejka uśmiecha się łagodnie. Siedzi na obrotowym fotelu. Jedną ręką głaszcze mnie po dłoni, a drugą z wielką wprawą obsługuje ekran dotykowy.

– Zadanie wykonane – melduję i siadam na łóżku. – Możemy to od razu zakończyć?

– A może najpierw babeczkę? – Podsuwa mi porcelanowy talerzyk w różyczki, a na nim pięknie udekorowane ciastko. – Potem o wszystkim zapomnisz i nie będziemy miały czego świętować.

– I tak nie mamy. Ja nie mam – szepczę. Skupiam wzrok na nitce wystającej z prześcieradła. Przytłaczają mnie wyrzuty sumienia, których nie przewidziałam, zgadzając się na tę misję.

– Jak chcesz. – Kobieta wzrusza ramionami i zabiera talerzyk. – Ale co za styl! Doprowadzić do załamania nerwowego... I to prawie tydzień przed terminem! Brawo, tak potrafią tylko najlepsi. W końcu mogła się zgłosić sama, ale dla ciebie starała się wytrzymać.

Zagryzam zęby. Mimo wszystko wierzę, że tak było dla Margot lepiej. Przynajmniej nie będzie częścią tła, na które nikt nie zwraca uwagi.

– Co z nią zrobicie? – pytam cicho. Tę rozmowę też zapomnę, ale chciałabym wiedzieć. Przez tę krótką chwilę.

– Na pewno trochę zmienimy wygląd, pewne genetyczne modyfikacje będą konieczne. Wgramy też nowe oprogramowanie na jej czipa. A potem przydzielimy jej misję. Dostanie szansę, by być kimś lepszym niż zwykły szczur.

Szczur, czy raczej wolny człowiek, zastanawiam się. Co prawda zaczipowany, ale żyjący po swojemu. Tak kiedyś mówiłam o sobie, tak próbowałam żyć. Zanim z głodu poszłam na układ z Lavorixem.

– Na pewno nie? – Kobieta sięga po babeczkę i patrzy na mnie wyczekująco. Kręcę głową, więc odgryza kawałek. Robi to elegancko, nie brudząc sobie ust kremem i nie krusząc. – Pyszna, żaluj.

– Możemy? – nie wdaję się w dyskusję o szczurach ani babeczkach.

– Widzę, że nie jesteś w humorze – stwierdza kobieta tonem obrażonego dziecka, jakbym psuła dobrą zabawę. Jej palce błyskawicznie poruszają się po ekranie dotykowym. – Za to załamanie nerwowe dostaniesz pracę za neocoiny o najdłuższym terminie ważności i mieszkanie w dobrej dzielnicy. Przydzielono ci też nową tożsamość z pełnym pakietem wspomnień.

– Nie mogę się doczekać. Czy na pewno zapomnę o wszystkim?

– O wszystkim, co zrobiłaś, żeby nie być szczurem ani jednym ze zwykłych pracowników Lavorixu, którymi tak gardzisz. – Babcia Dobrodziejka patrzy mi prosto w oczy. Uciekam spojrzeniem w bok. – Gotowa?

– Tak. – Kiwam głową, ale zaraz krzyczę: – Nie! Nie! Jeszcze jedno pytanie.

Dłoń kobiety zawisa nad ekranem. Odwraca się do mnie ze sztucznym uśmiechem.

– Słucham – mówi lekko zniecierpliwiona.

– Czy Margot też o mnie zapomni? – pytam z nadzieją. Chciałabym tamtą Ines wymazać nie tylko ze swojej, ale i z jej pamięci.

– Ależ nie. – Kobieta śmieje się naprawdę szczerze. Odchyła głowę do tyłu, trzęsą się jej ramiona. – Będiesz jej najpiękniejszym wspomnieniem.

IWONA KASINO

– leśniczka i przewodniczka górską. Pisze głównie dla dzieci i młodzieży, marzy o wydaniu powieści. W wolnych chwilach nałogowo czyta. *Jej najpiękniejsze wspomnienie* to jej pierwsze opowiadanie dla dorosłego odbiorcy.



fol. prywatne archiwum autorki

R. Turniejov

Wszyscy papieże świata

Większość ludzi myśli, że rekord wielopapiestwa został ustanowiony za czasów wielkiej schizmy, gdy Benedykt XIII, Grzegorz XII i Jan XXIII rywalizowali o władzę w Kościele katolickim. Z największą liczbą antypapieży mamy jednak do czynienia w XXI wieku. A ich ilość idzie w setki.

W roku 2016 otrzymaliśmy z Maciejem Borowskim grant naukowy Fundacji Badań Religijnych im. Stanleya Carpentera. Celem projektu było udokumentowanie poglądów teologicznych papieży stojących poza głównym nurtem. Odbycie podróży i pielgrzymek. Rezultatem – poznanie wszystkich papieży świata.

Wszyscy papieże świata VIII – papież Baltazar

Wyśnilem długie, strome schody, po których światło zbiegało jak wiatr. Wszystkie ich stopnie były krzywe, większość sięgała mi do kolan, ale zamiast budowniczego schodów, obwinałem samego siebie o powolne tempo. Śpieszyłem się na górę, wiele zależało od tego, żebym zdążył na czas, może nawet wszystko – tłumaczyłem sobie własne przerażenie w obliczu spóźnienia.

Nad ranem zbudziła mnie Moskwa, dopiero pięć minut później spróbował spóźniony budzik, którego infantylną melodię zostawiłem włączoną dla nieuwarunkowanego jeszcze, zakutanego aż po uszy w białą pościel Macieja. – Siema. – Siems. Senny świąd: opuchnięte, szczypiące twarze, spierzchnięte wargi, zakrzepnięte nosy, zęby rozpuszczone i gumowate od nocnego szlamu; pozostałości po noclegach w podróży niesione zostają w stronę łazienki, plusk! – i wymoczone; rdzawa umywalka chybcze się od twardej wody, wychłapane krople padają na wyłożoną turkusowymi płytkami posadzkę – to sam pośpiech cieknie po podłodze. Równy o dziewiątej, na czczo, ale z pełnymi jelitami siadamy do laptopa, pod którym postukuje kulawy kredens barwy brąz. Niestrudzona wskazówka sekundowa przeskakuje kolejny płotek, nadchodzi ósma; równo o ósmej pięć zaczynamy przeklikiwać klejącymi się z podenerwowania palcami polecenia wydawane na ruskim komunikatorze internetowym przez użytkownika o nicku Kashtansky78. „Jeśli chcecie spotkać naszego Papieża róbcie co wam każę”. A chcemy bardzo spotkać ich papieża, dlatego zgoda

na egzamin wytrwałości czy też szczerości intencji wydana zostaje bez zastanowienia, choćby dla samej radości, jaką sprawiać powinna szopka podchodów z papieskimi szwajcarami, w Krakowie jeszcze nas śmieszczą, w Moskwie już zakwitająca wrzodami, gdy pomyśli się o możliwych konsekwencjach spoufalania dwóch Polaczków z sektami religijnymi, być może wywrotowymi. Daleko do domu, chociaż wyobraźnia podpowiada, że przez granicę widać, jak dymią polskie kominy.

Papież Baltazar jest odpowiedzią dla wszystkich, którym dolega cerkiewny śwąd. Papież Baltazar to enigmatyczna postać kursująca między wiernymi przez darknet, na pograniczu legalności internetu, w wilgotnym cieniu udziela za drobną opłatą chrztów, rozgrzeszeń i namaszczeń od roku 2005. Z ciemności wystaje tylko jego złota, rogata, bizantyjska maska.

Baltazar pozostaje anonimowy. Daje się poznać jedynie wyselekcjonowanym jednostkom i tylko na ich wyraźne życzenie. Uroczyste ujawnienie dokonuje się po przekroczeniu Progu Zaufania, skoku-misterium, do którego wzięliśmy już niezbędny rozbieg mentalny, działając zgodnie z pierwszym poleceniem, które przydreptało do nas na czacie: przylecieliśmy do Moskwy z Warszawy wybranym przez komisarzy Baltazara lotem 9954. Zajmując wskazane miejsca, mieliśmy poczucie, że jesteśmy eskortowani spojrzzeniami. Potem nocleg w hotelu Wasiliewskim, również wybranym przez sektę Baltazara. Dowcipnisie kazali nam zająć pokój dwuosobowy z małżeńskim łóżem, okupowanym przeze mnie po zwycięskim rzucie monetą. Maćkowi pozostała hańba i twarda, spękana kanapa z rozstępami na bordowym pokrowcu; wszystko przez pana użytkownika Kashtanskiego78, który skrupulatnie sterował każdym, ale to każdym aspektem pobytu swoich gości, nic nie pozostawiając przypadkowi ani ich własnemu widzi mi się. Ściany wydawały się utkane z jego agentów, sufit miał fakturę mikrofonu, nawet szafka brodząca nad ranem w słońcu migła sygnałami świetlnymi. Trudno było nam się skalibrować z narzuconymi regulami. On klaszcze, my skaczemy. Czy można się spodziewać, że faktycznie Baltazar

istnieje? Że go poznamy? Czy papież Baltazar to ptak, który nie lata, gniazd nie wije? Tylko śpiewa?

Trele prowadzą pod moskiewskie metro i zadaszony przystanek tramwajowy przed nim. Popisana sprayem buda, ubłocona tylko lekko, jak powiedziałby miejski urzędnik, z dwoma ławkami pod daszkiem, których nogi pokryte są rdzawą wysypką.

Wszystko – ławka, przystanek i nasze poszukiwania Baltazara – cofa mnie wstecz. Mam osiemnaście lat. Pierwszy wiersz, jaki entuzjastycznie napisałem, był szczerem turpizmu, opisywał truchło rozwalcowanego na torowisku lisa, ciężko dostrzegalne przez porzewiałe opilki żelaza pokrywające szczelnie szyny przy stacji Kraków Zabłocie, gdzie zapędziłem się ze specyficznym Bartkiem po wypaleniu w plenerze cienkiego blanta i dokończeniu go na peronie („Większość proponuje po machu. Ja lubię, jak bierze się po dwa buch na głowę, ludzie są zawsze zdziwieni”). Bartek był bardzo specyficzny. Gadał bez przerwy, jak truje się najróżniejszymi lekami, szukając fazy. Noc była chłodna, wyczuwam we wspomnieniach październikowe ziewy. Umówiliśmy się pod jego mieszkaniem, a kiedy zobaczył mnie w eleganckim płaszczu i czarnym kapturze naciągniętym na wystrzyżoną do zera głowę, powiedział: „Kurwa, chodź, lepiej, żeby moja matka cię nie widziała. Jeszcze tego mi brakuje, żeby o ciebie wypytywała... Zażyłem dziś trochę chlorofaldinu. Ale czuję się jak po koloscorbinie, niezły zjazd. Albo firomarin... ten dopiero daje w czapę!”

Z Bartkiem przeszliśmy się do Galerii Kazimierz. Zaprowadził mnie nieużywaną klatką schodową, z której korzystali widzowie po wyjściu z kina, na najwyższe piętro, do białego pomieszczenia tuż przy wyjściu na dach. To była miejscówka jego i jego przyjaciół; ściany popisane cytatami z piosenek, żartami, koślawymi rysunkami, między innymi poetyckim, rozmarzonym okiem w wrysowanej węglem kobiecej twarzy, popielniczka, kilka drewnianych palet do siedzenia, puste butelki i kawałek przypalonego materaca – i nikt nigdy ich tu nie przyłapał? Nikt nigdy ich tu nie przyłapał. Wtedy zaskakiwało sympatycznie sąsiedztwo dwóch tak różnych światów: galerijna czystość i jej nieuczęszczane, marginalne zaplecze, czar wczesnych lat dwutysięcznych, które całe pokolenie spędziło, fotografując opuszczone, brudne miejsca, podziemne parkingi, pustostany, rozwalające się rudery – czar lat dwutysięcznych, oby nigdy nie wrócili. Powraca za to wstyd. Wrażenie mojej alternatywności rozwiewało się przy Bartku; nigdy nie byłem alternatywny, może myślałem

tylko alternatywnie. Po zrolowaniu pacana („Nie podnoś z podłogi tego, co wyleciało, daj spokój”) roztarł podeszwą grudki ziola i zaciągnął mnie dalej. Mostem kolejowym przerzuconym przez szeroką Wisłę, piętnaście metrów nad połyskującą chłodem wodą, pod linią torowiska, po wybrakowanym podeście dla pracowników konserwacyjnych, przez kilkumetrowe dziury wpada lek wysokości, balansujemy na stalowych sztabach. Po drugiej stronie stacja Zabłocie; mówię: posrane. „Ten spacer? Ha! To nic przy walexisie, żałuję, nie pomyślałem o syropku... trzy krople metelminu po wypaleniu ziola... i... i po człowieku...” Pracowaliśmy razem w fabryce na Zabłociu, z jeszcze jednym zjarusem, któremu poprzepalało styki do tego stopnia, że nie potrafił mrugać.

Przytomność odzyskuję dopiero pod kopcem Kraka, dwa kilometry dalej, strute płuca filtrują skondensowaną wilgoć, wysoko nad głowami zawiesiste, smutne, guzowate chmury rozgarnia pletwami połyskująca mątwą, dwa tumany rozpoznają w podniebnej płaszczce nadający światłami swoją pozycję samolot. „Ja zmyślałem cały czas nazwy leków, nie zorientowałeś się? Cały wieczór zmyślałem nazwy leków”. Nie zorientowałem się. Jakoś głupio. „Przecież nie ma takich leków. Nie wolałeś mnie spytać, o czym ja mówię? Kiwałeś tylko głową, jakbyś wiedział, o czym mówię. Nie udawaj. Jezu, co z tobą? Czemu się dajesz tak nabierać? Wracamy?” Wracamy, bo zimno i nic tu nie ma. Wracamy. Do Maćka, do Baltazara. Do Moskwy. Do wspomnień podobnych podchodów, wspomnień podobnego oszustwa, od Bartka do Baltazara.

Pod ławką na przystanku, obok zaschniętych gum do żucia i rozdarłej pajęczyny, znaleźliśmy podklejoną taśmą, gumową, jaskrawożółtą opaskę na rękę z elektronicznym czytnikiem – następny etap podchodów przygotowany przez świtę Baltazara. Kaszłący dzwonek telefonu. Nie pytamy, skąd mają numer do Maćka, kiedy na komórkę przychodzi esemes w moment po założeniu opaski na przegub. Z wiadomości wynika, że kolejnej wskazówki szukać mamy w placówce najpopularniejszej moskiewskiej siłowni, pośród szkła i światła, bitumicznych ciężarów, strefy SPA, basenu przelewającego się od chlorowanej wody.

Do środka ładuje się Fyodor całym ciężarem ciała wybitego spod palmy wystającej z glinianej donicy na brzegu zbiornika. Rosyjscy japiszoni na plastikowych leżakach – wylegają się. Wchodzę, otwierając bramkę opaską. Wchodzę sam, Maciek został w holu. Kieruję się do szatni. Widząc półnagich, skośnookich Ruskich

i cyrylicę na ścianach udającą chińskie znaki alfabetu, przypomniały mi się legendy o dalekowschodnich regionach Rosji, tak azjatyckich, że ich mieszkańcy jedzą pomarańcze na co dzień zamiast chleba. Z opaską uciskającą przegub myślałem: jak długi może być test sprawdzający, czy przypadkiem nie jesteśmy agentami rozkładu; myślałem też: jak mam zrobić użytek z klubowej opaski otwierającej i zamykającej automatycznie białe szafki? Czarne lśniące cyfry na drzwiczkach sygnalizowały, że ich liczba sięga trzech setek, przy większości z nich paliła się czerwona

dioda, „zamknięte”. A w którejś z nich kolejna wskazówka. Prawdopodobnie, że chybiliśmy. Nie znaleźliśmy udzielonej nam podpowiedzi. Może odnosiła się do numeru przystanku, może do numeru linii tramwajowej, może wymagała znajomości ponurej numerologii, dokładnej analizy nadesłanego esemesa pod kątem mętnych tangensów i kabalistycznej trygonometrii, być może... Obejrzałem sztywną opaskę, wygiąłem ją palcem. Od wewnątrz również nie naniesiono żadnej informacji. Prosty człowiek, wręcz melepetą, zaczął przykładać opaskę do każdego zamknię-

tych drzwi, jedne po drugich, wykonując topornie długie sekwencje sprawdzeń, najprostszą z dostępnych metod – tym małopodem byłem ja, szukający rozwiązania sposobem genialnego idioty Thomasa Edisona, przedkładającego skuteczność nad styl, Edisona określonego lekceważąco przez Teslę mianem amerykańskiego majsterkowicza, który zamiast dwa razy się zastanowić, wołał rozwiązywać problemy przemocową metodą prób i błędów. Gdy ludzie zerkają – sedymentacja obaw. Nareszcie, z kliknięciem – sukces. Opuszczają mnie spojrzenia demonów przepasanych białymi ręcznikami. Głęboki oddech i sięgnięcie wewnątrz głębokiej szafki, wysoko, poza linię mierzącego metr osiemdziesiąt wzroku (ludzie byli kiedyś tak mali – nawet Chrystus i papież; jak mali dla tych, którzy po nas przyjdą, będziemy my?). W wydobytej dłoni tkwi kartka, na kartce współrzędne geograficzne.

„Długo ci zeszło, zacząłem się martwić. Dostaliśmy esemesa z jakimiś cyframi, kiedy przeszedłeś przez bramkę”, mówi Maciek, kiedy wychodzę przez bramkę. „Już nieważne” – lekceważącym machnięciem ręki denerwuję samego siebie, ale po Maćku nie widać irytacji. Ostatnie światło przysnicuje patio przed klubem, sprawdzamy współrzędne, korzystając z komórki.



Na pewno nas obserwują. Dopilnują przebycia całej drogi, bez skrótów, pod groźbą wszczęcia postępowania dyscyplinarnego i odwołania wizyty u Baltazara.

Niebo katastroficzne, tatuowane fest ciemnymi chmurami, wkrótce gęsty deszcz zasmużył, oddalając obiekty w przestrzeni. Około dwunastej – długa to podróż – następuje lądowanie na ustronnym skwerze z kocimi łbami i majaczącym w ciemnościach, skromnym posągami jakiegoś rosyjskiego uczonego ze wzniesioną wysoko, niebieskawą od brudów prawicą. Różowy dziecięcy plecak wisi zahaczony o kamienną rękę; nadeszła wiadomość, kazano nam odebrać przesyłkę, a potem przewieźć ją do punktu docelowego gdzieś na drugim końcu miasta. Jest pusto, nigdzie żadnego przechodnia. Bezpański brudny pies pije z kałuży. Mgła jak mokra gaza, którą trudno przełknąć. Otoczeni wałem wilgoci czekamy, mrowienie przebiega po lekko spoconych pod kurtką plecach i laskocze. Łatwo było się zabiec i zapędzić, posłuchać i teraz komend Baltazara przekazywanych przez pana hakera Kashtanskiego, ale sprawa – bardziej gardłowa niż się wydawało, weryfikacja – zaczęła niepokoić. Czekaj – mówię, łapiąc za ramię różowego plecaka trzymanego przez Maćka, Maciek przystaje. Czekaj – mówię. – Czy dobrze rozumiem, że mamy to dostarczyć na miejsce? Już też rozumiem, o co mi chodzi. Stoimy nieruchomo, patrząc. Wpatrywanie się w dziecięcy plecak jak modlitwa, mistyczne próby przeświecenia tornistra wzrokiem. Co może być w środku? Kryptyczna wręcz lekkość plecaka, który waży w rękę. Co mógł schować wewnątrz papież? Tak ciemno z powodu warunków pogodowych i funeralnych nastrojów, że bez zdziwienia przywitano by na nieboskłonie tarczę księżycą. Otwieramy? – pytam. – No – odpowiadam. Kiedy dostatecznie szybko pociągniesz za zamek

błyskawiczny, wydaje on odgłos podobny do jazgotliwego szczeknięcia nadepnętego psa. Otwierasz plecak. Ze środka bucha mdlący zapach zduszonego plastiku. I nic więcej. Plecak jest pusty, ale palce szukają farszu. Wymacałem dokładnie mały wałek zaszyty na plecach, prawie niewyczuwalny, chirurgiczny szew we wnętrzu plecaka. Pod nim coś szeleszczącego miękko i przesypującego się pod palcami jak groch. Wypisaliśmy się z dalszej zabawy. Odnieśliśmy plecak, odwiesiliśmy na posąg, nie patrzyliśmy za siebie, bo koszt spojrzenia mógł wynieść życie. Czemu zrezygnowaliśmy? Głupie pytanie. Lepsze: czym mieliśmy przyplacić przeniesienie paczki mulistymi moskiewskimi dniami w rosyjskim maglu?

– Myślisz, że co to mogło być? Narkotyki? Pieniądze? Ilu ludzi wcześniej mogło robić za kucyków i ilu z nich wpadło, chcąc tylko raz odbyć pielgrzymkę do swojego papieża? Ilu zostało więziennymi męczennikami za sprawę wiary? Papież gangus. Papież mafioso. – Maciek przytaknął. Spodziewaliśmy się wiadomości od Kashtanskiego, trzymałem telefon w pogotowiu. – Może to zwykły szwindel. Może. Ale co, jeśli w środku faktycznie nic nie było? Co, jeśli nasze zaufanie oraz wiara okazały się zbyt słabe? Nasza determinacja niewystarczająca? – Nie otrzymaliśmy więcej żadnych wiadomości. Po dwóch godzinach zostaliśmy usunięci z czatu, a cała historia naszej rozmowy przepadła, jakby nigdy nie istniała, wysniona przez nas, wysłiniona ustami wariata. Baltazar był. Albo było przynajmniej jego słowo. Widzieliśmy jego ślady, jego zagadki; on wystawiał nas na testy, on nas próbował, choć pozostał nieobecny, jak sam Bóg, i swoim kompetentnym pontyfikatem doprowadził do głębokiego przeżycia Tajemnicy Nieobecności nie tylko członków swojej wspólnoty, ale nawet nas, niewiernych.

R. TURNIEYOV

– (ur. 1990 r.) absolwent filozofii na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Autor krótkich form literackich publikowanych m.in. w „Twórczości”, „Wyspie”, „Toposie”. Na co dzień dyrektor kreatywny i producent w studiu animacji. Laureat polskich nagród graficznych.

Aktualnie poszukuje wydawcy dla swojej debiutanckiej powieści pt. *Stalker*.



fot. prywatne archiwum autora

Aleksandra Górecka

4 wiersze

oblicz odległość między f i g

przestrzeń wzruszają spadające wiśnie
jesienią rozciągają jej koltun
mierzony w odległości od zera
gdzieś w płaszczu pod parasolem pękł pęk
by teraz móc zaglądać do samego środka punktu
on okaże się linią
potem spadnie deszcz i oblize

jaki piękny ten pejzaż na odcinku [0,1]

z powrotem do morza
ucieka tylko piasek szklane planety
na niewidzialnym tle
ruchy ciepłego betonu i liście
w tym kształcie tracą przyczepność
w dziwnym odrętwieniu
pień dzieli się na skończenie wiele kawałków
musi być stanem lub relacją
niesforemym miejscem zerowym
a tymczasem pole: pod gałęzią pasą się krowy
każda z nich jest prostokątem z podstawą i wysokością
coś dudni i pulsuje pod skórą
coś stroszy włos
coś przeciąga przestrzeń
zmienia scenę rodzajową
kładzie się

coś dąży do zera

próba przybliżania

podział pnia na skończenie wiele kawałków
pod gałęzią na polu krowy tworzą punkty
pośrednie prostokąty z podstawą i wysokością
które cały czas gdzieś dążą
w lewo do przodu
do zera

potem spadnie deszcz i obliże kieszonkę

te dwie niewielkie dziurki w linii
mijają się i przechodzą na drugą stronę
z powrotem do morza

ALEKSANDRA GÓRECKA

– ukończyła filologię polską, obecnie studiuje matematykę. Publikowała m.in. w „Ricie Baum”, „Kontencie”, „Stronie Czynnej”, „Papierze Ściernym”. Finalistka 17. oraz 18. edycji projektu Biura Literackiego „Połów. Poetyckie debiuty”. Laureatka konkursu „Podaj frazę” 2023 oraz Turnieju Jednego Wiersza o statuetkę Kazimierza Rafalika podczas Festiwalu Literatura do Poznania. Hobbystycznie tworzy muzykę elektroniczną oraz zajmuje się puchatymi czworonogami. Pochodzi z Torunia, mieszka w Poznaniu.



fot. prywatne archiwum autorki



Lena Darska / PLSP w Supraślą

Katarzyna Anna Strębska

4 wiersze

Po pierwsze

jestem formą otulenia, rozcięciem śnieżnym,
pękniętą wargą pozimnia, siniaczym szwem.

J.

oblizuję mleczkowaty mech, osad winny, pełna jestem słońc.
jeszcze
palce mam w maju, badam jej meander i macicę, nacieram się
pierwotnością,

jedyna prawdziwa sentencja o śmierci
to twój śmiech

jedyne wyjście

zgnieść w ręce jak spróchniały patyk i zetrzeć na trocinki.
hydroksytymia. tyle słów. woda w gardło, jak wytrysk.

epitafia

albo lepiej nic nie mów. pływam w stawie pełnym ostrych trzcin, całują mi kostki. wodna flegma suszy się na wrześnieowym słońcu, przy jego końcu. przynoszę do mieszkania ziola i zapach podgórskich starych kobiet. myślę o decybelach tego nocnego zakrztuszenia się powietrzem, gdy coś mu się śni. gdy śni mu się, że jestem epicentrum arktycznego wulkanu. i usta ma pełne spadania. co trzyma go za język? ostry kikut września, deszcz.

tak bardzo zużyły się nam słowa, są przypisane do innych historii. ta ortodoksyjna powściągliwość jest jak cień dłoni matki. nigdy nie wiesz, czy nabrzmiałe od krwi pogłaszczą policzek, czy wygną kark. zapiszczysz jak szczenię. założymy sobie kartę adopcyjną, liżąc rany. wzajemnie. liżąc, liżąc. ręce mam pełne spadania, kiedy zaczniemy skomleć? za chwilę oficjalny wrzask, jesień.

zabawna jesteś nawet, jak sama się bijesz po twarzy.

krytyka.

KATARZYNA ANNA STRĘBSKA (UR. 1996)

– dwie miłości: słowo i fotografia. Zamieszkała w Krakowie. Studentka sztuki i nowych mediów. Publikowała m.in. w „Akancie” i „Gazeta musi się ukazać”. Woli zimę od lata. Hobbystycznie ilustratorka.



foto: prywatne archiwum autorki

Victor Ficnerski

5 wierszy

[pani pyta czy wezmę zmianę którą oddałem z powodu choroby]

*nie wciąż chujowo
poskładało mnie jak chiński rowerek
znajdziesz takich typów na dworcu
ić i zamelduj wszystkich
ić i spadź po północy*

[]

ona wciąż się odgraża: tak między wierszami
czytając i z drugiego obiegu to:
raczej ten koleś za próbę pobicia
i groźby albo:
wczesne stadia schizofrenii

[]

im szybciej zapomnisz o TEJ połowie
a najlepiej o wszystkich
tym szybciej nabierzesz siebie
ale też
im szybciej nabierzesz siebie
tym piękniejsza będzie to gra i zapomnisz na chwilę
o TAMTEJ a nawet wszystkich

[z upodlenia]

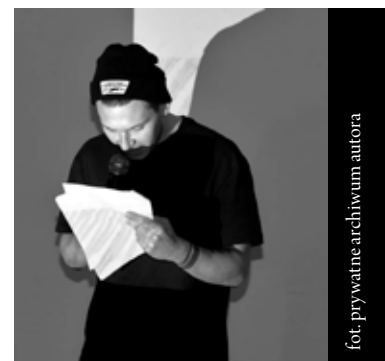
odsiej wers
połowa się nabierze
o drugiej zapomnij

[to taka zagrywka]

mówić dobrze o wszystkich

VICTOR FICNERSKI

– (ur. 1990) – publikował w m.in. w „Afroncie”, „Arteriach”, „Cegle”, „Czasie Literatury”, „EleWatorze”, „Ricie Baum”, „Wyspie”. W antologiach: *Dzieci Wolności. Antologia przełomu, Przewodnik po zaminowanym terenie 2, EleWator. Antologia 2012–2021. Proza*. Debiutował tomikiem *w tym mieście* (Wydawnictwo papierwdole, 2022). Prowadzi rubrykę na portalu Plaża Ciemnia. Organizuje wydarzenia literackie. Mieszka we Wrocławiu.



fot. prywatne archiwum autora

Joanna Kamińska

4 wiersze

Miasto jak miasto

Rozchyłam zazdrostki, przez lufcik z widokiem na jarmark
Przepływa alergen, przez kiszkę kolebie się tramwaj
Trzy gęby na kwadrat, jazgocze to, gnębi pragnienie
Roztapia się asfalt, coś skwierczy dwie klatki ode mnie

Gnieźdzenie się w beton, lupiny i bajzel podcienia
Neony skandują dwa-cztery-na-siedem-burleska
Drenuje industria po brzegi zapelnia się limbo
Trotuar i światła, a wewnątrz tak gnije, jak gnilo

Eskapizm, czyli granulka granatu

Znów trochę pobawię się w banie-niebanie
„Weź spróbuj się zgubić i nie daj się znaleźć
Granulki granatu posmakuj – zapomnisz
Posmakuj – zostaniesz”, lekarstwo już kropi

Cedzone pomału wędruje pod korę
Pod niebem wibruje, rozjeżdża mnie dronem
Układa się w sonet – znudzenie, a w pieśni –
Warknięcia, wajbuję, coś żywo się mieni

I kusi fraktalem eskapizm z tej baśni
O pustym portfelu, o kłatkach obdartych
Drgnął mięsień, konwulsje jak impuls by uciec
I sztachnąć się blichtrzem, choć chwilkę i wróćę

Spoiwo

Nie wracaj tu proszę, zrobiło się późno
Poiwo na blaty, kopyta na parkiet
I wleciał już absynt odtrutka za trutką
Wariują świetlówki i szrami się skóra
O brzeżek. Sekundant! Trwa bójka o zacier
Na chybił nie trafię (tu denko tam burta)

Gdzie oddech – świadomość na nowo się spaja
Gdzie miasto się kończy, post-Basquiat namazał
Manifest w obrazkach – znalazłam enklawę

Fresh start

Pisz dalej, cyzeluj, utyłaj po lokcie
I wymknij się formie, by trzebić bleblanie

Oderwij, ugniataj, rozplataj, zapomnij
Postradaj paznokcie – wyłoni się kościec

Nurzany w osoczu oczyszcza się z wrażeń
Poezja się gładko do niego przyswoi

Co dalej nastąpi? Mizeria i chaos
Pisanie o zaćmie, porodzie lub śmierci,

Histeria pękania, łatanie się kłajstrem
I łganie jak z nutek, by sklecić nic w całość

Wciąż nic to, rękopis zalega wśród śmieci
Kurz opadł, od bredni odetchnij, pisz dalej

JOANNA KAMIŃSKA

– urodzona w Gliwicach w 1999 r. Absolwentka Państwowej Szkoły Muzycznej im. Ludomira Różyckiego w Gliwicach, prawniczka. Zamilowanie do poezji odkryła w czasach pandemii. Laureatka Ogólnopolskiego Konkursu na Teksty Piosenki FMA 2022. Publikuje swoje teksty w magazynach literackich m.in. „Akant”, „Bezkres”, „Zupełnie Inny Świat”, a także w studenckim magazynie „Dosłownie”.

Marcin Hanuszkiewicz

Jawa kontra objawienie albo: dwa mistycyzmy

Tak jak komórki dzielą się na dwie, tak i myśl rozdwa się uparcie. Jeżeli wyobrazimy sobie dualizm ludzkiej myśli jako przedłużenie mitotycznego podziału komórek, nasze własne procesy myślowe ukażą się nam w nowym świetle – okaże się, że tak naprawdę sprzężone były zawsze z jakimś innym, ukrytym dotychczas porządkiem rzeczy.

Ciągle ścierają się ze sobą przeciw dwa porządki, dwa rodzaje wyobrażeń o świecie. Z jednej strony prezentuje się nam porządek jawny, który dąży do bycia oczywistym dla każdego, kto twardo stąpa po ziemi – ewidentnym dla wszystkich, których rozsądek jest zdrowy. Z drugiej strony, czy raczej: po drugiej stronie znajduje się porządek ukryty, który z zasady pozwala się jedynie przeczuwać. Organ, który służy nam do obcowania z tym porządkiem, jest intuicyjny. Każdy, komu nieobcy jest słodko-kwaśny smak szeroko rozumianej paranoi, zna uczucie towarzyszące raptownemu połączeniu się kropek – doznanie to nie przypomina mozolnej budowy gmachu conceptualnego; więcej ma wspólnego ze skokiem, który wynosi delfina ponad powierzchnię wody – tam, gdzie może wziąć oddech. Blżej słońca.

Porządek jawny jest jak zakłęty obraz, w który można wejść, którego częścią można się stać i którego częścią chce się potem pozostać. Człowiek we władzy porządku jawnego marzy o tym, by wszystko zostało ustalone, by raz na zawsze na jaw wyszła prawda – że jest tak, jak jest – i by można było w tej unieruchomionej, martwej prawdzie gnuśnieć. Człowiek podporządkowany jawie ma jednak zasadniczy problem – wśród tworzących jawę zjawisk roi się mianowicie od zjaw. Albo inaczej: jawa gładko całkiem przejść jest w stanie w zjawę, a zjawa łatwo osiągnąć może konsystencję jawy, przyciągając wówczas i hipnotyzując, nęcąc człowieka, by szukał, by chciał odkryć – odkryć, że coś jest ukryte. Człowiek przechodzący we władzę porządku ukrytego spostrzega, że otaczająca go dotychczas oczywistość jest pozorna, nierzeczywista.

Konflikt między tymi dwoma porządkami to część wzajemnej gry sił stwarzającej w człowieku życie wewnętrzne. Chodzi tu o tendencje, które – ciągnąc człowieka w przeciwne strony – napinają w nim linę, na której

musi on balansować. Jeden koniec liny trzyma w ręku anioł, na drugim zaciska szczęki zwierzę. Jeden koniec liny trzymany jest z miłości do człowieka – aby zobaczyć, jak skomplikowany układ akrobatyczny może on wykonać; drugi ściskany jest ze strachu, po to tylko, by człowiek nie spadł. Tylko symbolizowany przez anioła porządek ukryty pozwala człowiekowi myśleć o sobie jak o czymś, co się jeszcze w gruncie rzeczy nie wydarzyło.

Innymi słowy, pozwolenie porządkowi jawnemu na to, by danego człowieka w siebie wpiął, jest zwycięstwem w tym człowieku tendencji do ulegania zmęczeniu, czyli tendencji apatycznej. Wówczas człowiek twierdzi na przykład, że wobec ogromu obojętnego wszechświata jest ledwie nic nieznaczącą drobiną. Świat mu obojętnieje, życie mu obojętnieje, on sam sobie staje się obojętny, ponieważ wszystko jest już jasne; rzeczywistość bez reszty oskubano mu z niespodzianek.

Lecz jeżeli istnieje w życiu człowieka coś, co nie daje mu spokoju – jeśli świat daje mu znaki, jeśli wśród zjawisk świata przemykają mu zjawy – to działa w nim tendencja do mierzenia się z tajemnicami, czyli tendencja fascynująca. Obojętność człowieka we władzy porządku jawnego odbita jest w obojętności jego świata, zaś tajemnica porządku ukrytego odbija się w człowieku, który w imię tego porządku otwiera się na tajemnicę.

Książkę *William Blake*, napisaną przez Gilberta Keitha Chestertona w 1910 roku – prawie wiek po śmierci poety i mistyka, któremu jest poświęcona – warto oczywiście przeczytać dla wnikliwej analizy dokonań oraz przekonań Blake'a, ale Chesterton zakroił swój projekt szerzej, wieńcząc tę artystyczno-filozoficzną biografię umieszczeniem jej w kontekście fundamentalnego konfliktu, który łączy się z omawianą wyżej opozycją dwóch tendencji: apatycznej i fascynującej. Blake stanowi bowiem dla Chestertona doskonały przykład takiego właśnie człowieka, w którym odbija się tajemnica; człowieka, który po zawieszony w ciemności linie przesuwa się pomalą w stronę końca trzymanego przez anioła; człowieka, w którym nie tylko działa, ale i zwycięża tendencja do mierzenia się z tajemnicami; człowieka wreszcie, który – pomimo swych odstępstw

od oficjalnej wykładni myśli chrześcijańskiej – w perspektywie fundamentalnego konfliktu stoi po stronie tej myśli.

Jaka jest jednak natura tego antagonizmu? Otóż punkt kulminacyjny książki Chestertona stanowi przeciwstawienie mistyki chrześcijańskiej, w której zakorzeniona jest twórczość Blake'a, mistycyzmowi wschodniemu. Innymi słowy, Chesterton wypukla kontrast między chrześcijańskim kultem osób boskich – który określa osobowość jako coś właściwego suwerenowi wszechświata, a zatem jako coś, do czego człowiek aspiruje na przekór sile nazywanej dziś entropią – a wschodnimi praktykami osiągnięcia bezosobowości, których źródeł dopatruje się on dokładnie w tendencji upraszczającej: osobowość, która zaczyna szukać uzasadnienia swojego istnienia w porządku jawnym, wydaje się na pastwę erozji, poddając człowieka jako takiego regresowi w bezwład, w pustkę braku właściwości. Krótko mówiąc, Chesterton wywodzi praktyki osiągnięcia bezosobowości z podszytej egzystencjalną rozpaczą tendencji apatycznej, obrazowo przyrównując tak uwarunkowaną mistykę z zadeptywaniem zamków z piasku, których budowa – nadawanie znaczącego kształtu temu, co było wcześniej bezkształtne – cieszy z kolei mistyka chrześcijańskiego.

Człowiek o duchu prawdziwie żywotnym nie może według Chestertona ulegać zmęczeniu człowieczeństwem, rezygnować z człowieczeństwa – nie może znaleźć się we władzy takiego porządku jawnego, w którym jawna jest przede wszystkim beznadzieja wiodąca do prób wymedytowania się ze świata. Przeciwnie, pociągać go musi ukryte, na którego obraz i podobieństwo on sam dla siebie jest wciąż ukryty.

Istnieją zatem dwa metafizyczne bieguny, które nazywa Chesterton występującą w duchowości wschodniej „tajemnicą rozproszenia” oraz praktykowaną przez chrześcijan „tajemnicą koncentracji”. Czy taki podział mistycyzmu na dwa gatunki nie znajduje dziś – gdy metaforyka rozpuszczania się jednostki dominuje nie tylko w dyskursie doświadczeń mistycznych – przewrotnego potwierdzenia w łatwości, z jaką projektanci współczesnej jawy dostosowują do swoich potrzeb techniki medytacyjne oparte o jedną tylko z tych „tajemnic”?

MARCIN HANUSZKIEWICZ

– w sercu mistyk, z konieczności opowiadacz wielofunkcyjny. Wyróżniony w trzeciej i czwartej edycji konkursu „Nowy Dokument Tekstowy” oraz w pierwszej edycji konkursu „Podaj Frazę”. Autor dostępnej na stronie „Stonera Polskiego” gry tekstowej *rzygowiny czarny pałac*. Utwory literackie po polsku publikował między innymi w „Arteriach” i „Drobiazgach”, a także w antologiach. Publicystykę oraz analizę literacką uprawiał na łamach „Frondy Lux”, „Projektora”, „Er[r]go” i innych pism. Jego koláže ukazywały się w „Stronie Czynnej”, „Always Crashing” i „ctrl + v”, a utwory z gatunku *spoken word* znalazły się w audio-numerze „Magazynu Malkontenty” oraz na składance remiksowej płyty eh hahah pt. *Remixed: And The Weather So Breezy, Man, Why Can't Life Always Be This Easy?*.

Jeremi Siudyła

O Leniwym Flamastrze i patencie Benjamina Franklina

Dawno, dawno temu żył pewien chłopiec. Miał na imię Tęczyk. Jego ojciec był Wilkołakiem Pędzelkowym, a mama córką króla Akwarela.

Mieszkali w lesie, który nie był zwykłym lasem. W ziemi, wśród korzonków ziół leśnej polany, leżał Leniwy Flaster.

Ziarenko flastrowe posiał swego czasu czarodziej Piórnikok, zbierając nieopodal chrust na kredki. Spodziewał się szybkich plonów, a tu niespodzianka – Flaster urządził się wygodnie pod ziemią i nie zamierzał kiełkować razem z leśnymi kwiatami. Wielu śmiałków próbowało zmusić lenia do wyjścia na powierzchnię – prośbą, groźbą, zaproszeniem na zakrapianą tuszem ucztę u Kalamarnicy – ale bez skutku.

Leniwy Flaster miał tylko jedno marzenie: napisać swój ulubiony wiersz na niebie, jak to mają w zwyczaju błyskawice. W głębi duszy był nie tylko leniem, ale też artystą.

Tęczyk wiedział, jak to marzenie spełnić. Jego ojciec miał dwie kuzynki: ciotkę Burzę Błyskawiczną i ciotkę Trąbę Zapowietrzoną. Ciotka Burza Błyskawiczna była zawsze głodna i miała w brzuchu burczące pioruny. Musiała co chwilę przyrządzać sobie zupki błyskawiczne, przyskajając przy tym błyskawicami na wszystkie strony.

Wystarczyło w tej sytuacji zastosować patent słynnego uczonego Benjamina Franklina – stanąć cichutko za ciotką, złapać spadającą z garnka błyskawicę w kółko od klucza, przyczepić klucz do latawca i wypuścić w objęcia wiatru. Tak też chłopiec postąpił. Latawiec wirował z błyskawicą wśród chmur, a dookoła klucza pojawił się wianek z iskier. Jedna z nich spadła na leśną polanę i wpadła wprost do norki Leniwego Flastera.

Niespełniony literat wyskoczył uszczęśliwiony na powierzchnię, mając nadzieję na błyskawiczną lekcję burzowej poezji. Po raz pierwszy ujrzał siebie w świetle dnia. Okazało się, że był zupełnie biały; w ciemności podziemnej norki kolory nie mogły na nim zakwitnąć.

Tymczasem... latawiec wylądował na polanie, a tańcząca z nim błyskawica upatrzyła sobie nowego towarzysza do płasów. Potknęła się i wpadła w objęcia Leniwego Flastera. Natychmiast biel tancerza rozszczepiła się na siedem kolorów tęczy. Poeta uklonił się z wdzięcznością, podskoczył i tęczową siedmiolinia napisał na niebie wiersz o kluczu wiolinowych łabędzi.

JEREMI SIUDYŁA

– dwunastolatek, odkrywający świat nauki, sztuki i literatury w edukacji domowej. Podróżnik, zaangażowany bywalec muzeów i galerii malarstwa, miłośnik kina niemego, pożeracz książek. Początkujący filmowiec techniką animacji poklatkowej. Autor opowiadań. Laureat I miejsca w konkursie literackim „Opowieści o korzeniach” w ramach programu Narodowego Centrum Kultury „Bardzo Młoda Kultura”.

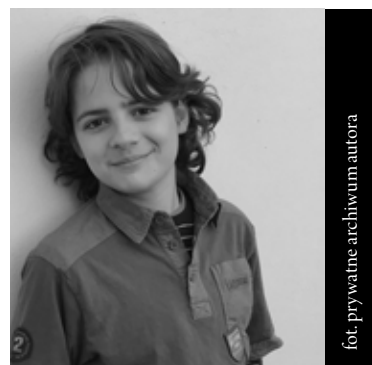


foto: prywatne archiwum autora



Maja Chwieśko / PLSP w Supraślu

Stefan Szulc, Dorota Szulc

Do Niebieskiego Jeziora

STRESZCZENIE:

Bajka mówi o uchodźcach, którzy opuszczają swoje strony, przenoszą się w bezpieczne, choć nieznanne miejsce.

Pawełek Płotka mieszka w dolnym jeziorze – w Jeziorze Zielonym. Jest rybką, która uczy się w szuwarach. Pewnego dnia Sum, który słyszy, co się dzieje w całym jeziorze, ostrzega rodzinę Pawelka przed bandą szczupaków, która chce zamieszkać w tej okolicy. Wszyscy dorosli są dziwnie zaniepokojeni, a Pawełek wraz z tatą spotykają groźnych przybyszów. Udaje im się uciec, niemniej sytuacja robi się niebezpieczna i Sum namawia rodzinę, żeby na pewien czas udała się do Niebieskiego Jeziora – górnego, do którego można się przedostać, płynąc pod prąd strumykiem, kiedy spadnie deszcz. Rodzina podejmuje wyzwanie i przygotowuje do niego Pawelka. „Płynąc pod prąd przez całą noc to nie lada wysiłek, ale można będzie zobaczyć wschód słońca” – pocieszają rodzice!

Niespodziewaną przeszkodą jest tama, którą na strumyku zbudowały Bobry. Rodzina prosi Bobry o otwarcie tamy. Bobry zgadzają się, ale ostrzegają, że powstanie przy tym duża fala i trzeba się dobrze schronić. Fala niemal porywa Pawelka. Tata ratuje go, niestety sam zostaje porwany przez falę z powrotem do Zielonego Jeziora.

Pawełek z mamą docierają bezpiecznie do Niebieskiego Jeziora. Pawełek szybko znajduje nowych przyjaciół, poznaje mieszkańców i osobliwości górskiego jeziora, próbuje nowych smaków, tęskni jednak za tatą. Postanawia zapytać Dzięką Kaczkę, czy może pozdrowić jego tatę w Zielonym Jeziorze, i prosi ją o doręczenie tacie jego skarbu – niebieskiego kamyka.

Zakończenie nie rozstrzyga, czy rodzina może już powrócić do Zielonego Jeziora ani czy w górnym jeziorze dołączy do Pawelka jego tata, ale akcentuje więzi rodzinne, mówi o bezpieczeństwie i pozostawia nadzieję na przyszłość. Niebieski kamyk jest symbolem tego, że kiedyś rodzina znowu będzie razem.

TEKST:

Patrząc na okolicę z lotu dzikiej kaczki, można zobaczyć dwa jeziora. Jedno, większe, zwane jest Jeziorzem Zielonym, inaczej Dolnym. Drugie, mniejsze, znajduje się wyżej, u stóp gór. To jezioro Niebieskie, inaczej Górne. Obydwa jeziora połączone są strumykiem. Kiedy przychodzi deszczowa pogoda i z gór spływa woda, Górne Jezioro wypełnia się po same brzegi. Wtedy strumyk, który łączy obydwie jeziora, robi się głęboki i rwący.

Pod lustrem wody Jeziora Zielonego można spotkać rozmaite ryby, raki, ślimaki, żaby i inne stworzenia. Nie żyją one ze sobą tak zupełnie w zgodzie, ale nikt nie narzeka na swoich sąsiadów.

Pierwszą rybą, którą spotkamy w Jeziorze Zielonym, jest Pawełek Płotka. Płynie właśnie do szkoły w szuwarach, a za nim podąża jego mama, Paulina Płotka. Jego tata, Paweł, wybrał się na poszukiwanie smacznych roślinek dla całej rodziny.

Szkoła w szuwarach jest bardzo bezpiecznym miejscem. Szuwały są tak gęste, że tylko małe rybki mogą się do niej przedostać. No i jest Pani Sandaczowa, nauczycielka, która całe dnie spędza w szkole, bo jest za duża na to, żeby wypłynąć z szuwarów. Ale Pani Sandaczowa na szczęście uwielbia swoją pracę, podobnie jak stary Karol Sum. Sum mieszka w mule, tam, gdzie zaczynają się szuwały, co dzień pozdrowia dzieci płynące do szkoły, pilnuje porządku i sprawdza obecność.

Czego uczą się małe rybki? Zgadnijcie! Po pierwsze uczą się tego, co wolno jeść, a co jest niezdrowe. Po drugie tego, które ryby są drapieżnikami i trzeba schodzić im z drogi. A po trzecie uczą się tego, jak nie dać się złapać na wędkę. To najtrudniejszy przedmiot, bo wędkarze są bardzo, ale to bardzo pomysłowi! Oprócz tego rybki oczywiście bawią się i trenują pływanie slalomem pomiędzy szuwarami, żeby nie dać się nikomu dogonić.

Tego dnia Pani Sandaczowa miała migrenę, więc skróciła lekcje w szuwarowej szkole. Pawełek sam miał wrócić

do domu, który był niedaleko, w trzcinach. Karol Sum zatrzymał go jednak i zarzucił okulary. Znalazł je kiedyś na dnie jeziora i zakładał tylko wtedy, kiedy miał coś ważnego do powiedzenia,

– Zaczekaj, Pawelku! – powiedział Sum. – Mam ważną wiadomość dla twoich rodziców, ale nie chcę jej przekazać tobie, bo możesz coś pomylić albo zapomnieć i trochę nazmyślać. Poproś swojego tatę, żeby tu do mnie podpłynął. Koniecznie dziś wieczorem!

– Dobrze, panie Sumie – odrzekł Pawełek Płotka i od tej chwili bardzo się starał nie zapomnieć, że ma coś do przekazania tacie. Tak się starał, że – oczywiście – wypłynęło mu to z głowy. Cały wieczór bawił się swoim niebieskim kamykiem, który – jak sądził – oderwał się z pierścionka jakiejś kąpiącej się w Zielonym Jeziorze damy. Kamyk był najpiękniejszą rzeczą, jaką Pawełek widział. Można było podpływać z nim pod samą powierzchnię wody, kłaść go sobie tam, gdzie wszyscy – poza rybkami – mają nosy, wystawiać pyszczek do słońca i oglądać, jak kamyk mieni się niebieskimi promykami! I choć mama mówiła, że to zwykle oszlifowane szkiełko, kamyk był dla Pawelka największym skarbem.

Następnego dnia rano, kiedy Pawełek płynął z mamą do szkoły, pan Sum wyskoczył z mułu już ubrany w okulary i z miną dosyć nieprzyjemną zapytał:

– Pawelku, o co cię wczoraj prosiłem?

„No tak”, przypomniał sobie Pawełek i spojrzał w stronę dna.

– Nic się nie martw, na szczęście widzę dziś twoją mamę, jej przekażę moją wiadomość, a ty zmykaj na lekcje! I trenuj pamięć!

Pawełek, zawstydzony, wsunął się pomiędzy szuwały. Od razu zauważył, że w szkole panuje dziwny nastrój. Pani Sandaczowa miała głowę zawiniętą w gałązkę rogatka, roślinki wodnej o nitkowatych liściach. Migrena jej wyraźniej jeszcze nie przeszła, więc powiedziała:

– Drogie dzieci, mój kochany narybku. Być może będziemy musieli zamknąć naszą szkołę na pewien czas. To trochę niebezpieczne, żebyście teraz poruszały się same po jeziorze. Od jutra aż do odwołania musicie zostać w domu.

Rybki pootwierały pyszczki ze zdziwienia. Nie wszyscy lubili szkołę, no ale jak tu bez niej żyć!

– Zrobimy teraz powtórzenie materiału na temat drapieżników wód słodkich, a po przerwie kartkówka. Przygotujcie czyste listki i słomki do pisania.

Tego dnia po lekcjach to tata popłynął po Pawelka do szkoły. Pawełek widział, że tata jest smutny, dlatego pochwalil się dobrym wynikiem kartkówki i postanowił zapytać, co takiego się wydarzyło, że wszyscy dorośli zachowują się dziwnie i są zdenerwowani.

– Jak dobrze wiesz, kiedy pan Sum przykładą ucho do dna, potrafi usłyszeć, co się dzieje w całym jeziorze. Dowiedział się w ten sposób, że jedna z band Szczupaków zamierza się osiedlić w naszej okolicy. Oznacza to, że będą chciały zjeść mieszkające tutaj ryby. Musimy się ukryć w domu.

– Jak długo to potrwa? – zapytał Pawełek.

– Tego nie wiem – odpowiedział tata.

W pewnej chwili z mułu, tuż pod ich pletwami, wysunął się wąsaty pyszczek Karola Suma.

– Uwaga, niebezpieczeństwo, płynicie inną drogą!

Sum zniknął tak szybko, jak się pojawił, a Pawełek i tata zaczęli się rozglądać w poszukiwaniu czegoś niepokojącego. I wtedy z góry nadpłynęły trzy ryby, które Pawełek widział tego dnia na obrazkach w szkole. Szczupaki.

– Uważaj – powiedział cicho tata – a kiedy powiem „już”, popłyniesz prosto w te trzcinę. Tam musisz na mnie zaczekać, choćby do jutra!

Pawełek nie zdążył nawet odpowiedzieć, gdy największy ze Szczupaków nawiązał z tatą dziwną, ale – wydawało się – dość przyjazną rozmowę.

– Przepraszamy pana.

– Taaak? – Tato udał zdziwienie i przesunął się nieco do tyłu, by zasłonić sobą małego Pawelka.

– Do Szczupłego należy się zwracać: tak, proszę pana – poinstruował Szczupak znajdujący się po lewej stronie.

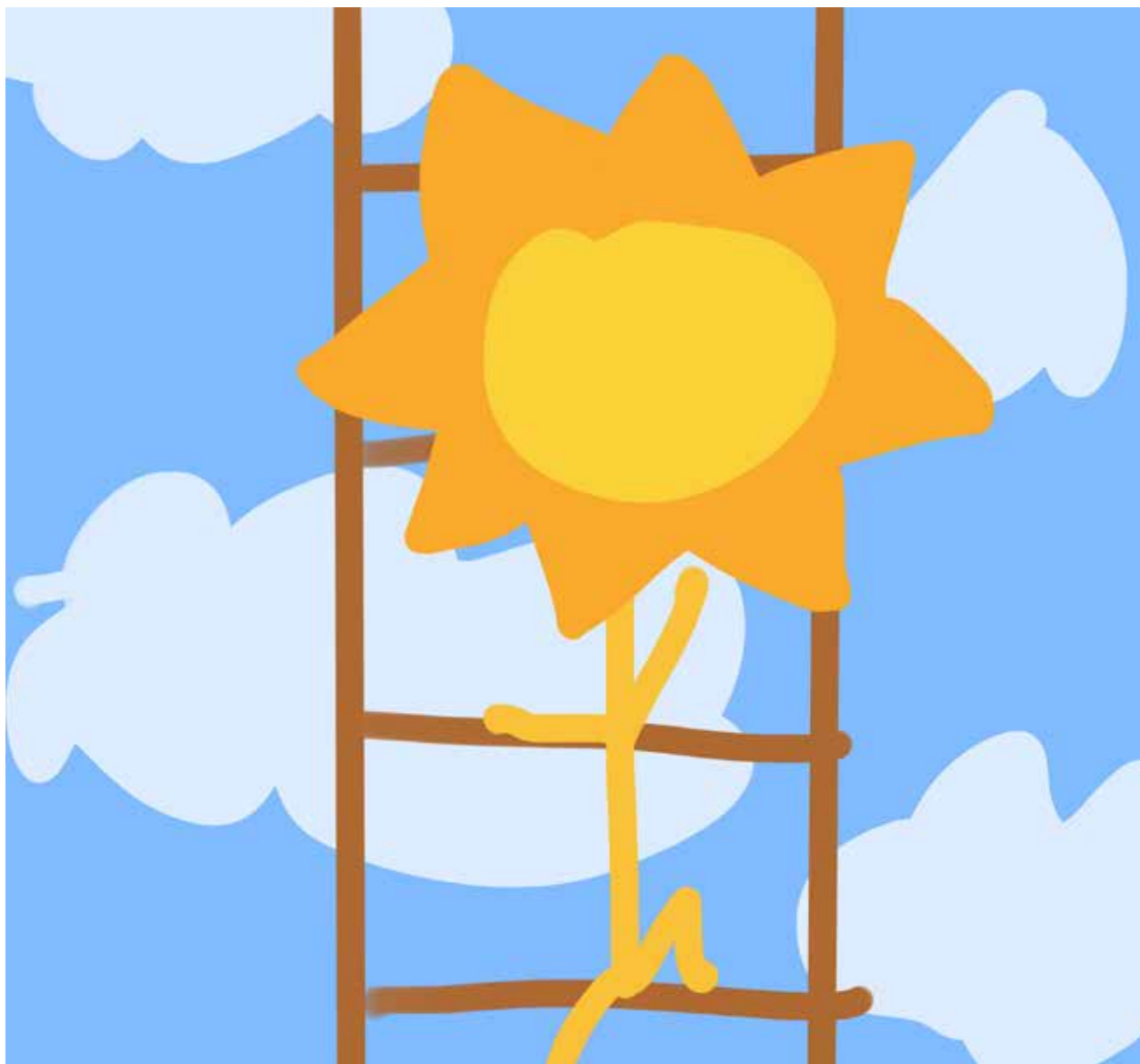
– Dobra, dobra – upomniał kompana Szczupły. – Jeśli mieszka pan w tej okolicy, to na pewno wie pan, gdzie znajdziemy wolne miejsca do zamieszkania.

– To niezdrowa okolica, nie warto w niej mieszkać. Za trzcinami ciągnie się mokradelko, woda nie pachnie za dobrze, żaby śpiewają do późna w nocy, nie polecam – odrzekł tata.

– Żaby śpiewają? Wspaniale! Lubimy wesołe sąsiedztwo. Czy zechce nam pan pokazać to mokradelko.

– Chwileczkę – powiedział tato i dał znak Pawelkowi. – JUŻ!

Na ten znak Pawełek zniknął w trzcinach. Tato wyskoczył w górę – aż ponad powierzchnię wody – potem z wielkim chlupnięciem powrócił do jeziora, znalazł się na jego



Anna Zabrocka / PLSP w Supraślu

dnie, zmaćił wodę i zniknął w dziurze pod wielkim kamieniem, w której nikt od dawna nie mieszkał.

Szczupaki zaczęły go szukać. Robiły się coraz bardziej zdenerwowane, więc szukały byle jak i zmaćiły wodę tak strasznie, że same nie mogły się znaleźć. W końcu stwierdziły, że nic z tego nie będzie i oddaliły się. Na odchodne Szczupły wybulgotał:

– Czekaj, ty spryciarzu. Zapamiętałem cię. Następnym razem odgrzyzę ci pletwę! Lepiej na mnie uważaj.

Po chwili tata powolutku podpłynął do kępki trzciny, w której schronił się Pawelek.

– Wracamy do domu – powiedział. – Płyn cichutko i przy samym dnie.

Kiedy przyплыnęli do domu, tato oparł się bokiem o kamyk, który służył domownikom za fotel. Wtedy okazało się, że jeden ze Szczupaków drapnął tatę swoim zębem. Rana nie była głęboka, jednak mama poprosiła doktora Ślimaka o posmarowanie ślimaczą maścią tatusiowego brzuszka.

– Co teraz będzie, doktorze? – zapytała mama.

– Będę miał wkrótce mnóstwo roboty... – zamyslił się doktor Ślimak.

Następnego dnia Karol Sum podplłynął pod dom Pawelka i jego rodziców. A ponieważ był duży i stary, nie mógł wpłynąć do środka, nie niszcząc trzciniowiska. Przysiadł więc sobie na kamyku i zawołał.

– Panie Pawle, czy wszystko w porządku?

Tataś przybliżył się do wyjścia z trzcini i odpowiedział:

– Tak, obaj jesteście cali.

– Zapamiętali sobie pana. Wszystkich pytają, gdzie pan mieszka.

– Do domu nie wejda, trzciny są mocne!

– Wszystkie razem tak, są mocne. Ale pojedynczo nie. Gdyby swoimi zębami odgryzali po jednej trzcini...

– Zajmie im to ze trzy dni – uspokajał sam siebie tata.

– A jeśli pojawi się tutaj dużo, dużo więcej Szczupaków? Pawle, posłuchaj mojej rady, mimo że... nie wziąłem dziś ze sobą okularów. Powinieneś zabrać rodzinę i zniknąć im z oczu. Mam już dużo lat i wiem, że tak trzeba zrobić.

– Ale przecież Szczupaki mogą nas szukać wszędzie, w całym jeziorze! – dołączyła do rozmowy mama.

– Prawda. Ale i na to jest sposób. Zapowiada się kilka deszczowych dni. Deszcz spłynie z gór do Niebieskiego Jeziora, a stamtąd do nas. Strumyk, który łączy obydwie jeziora, będzie głęboki i rwący. Wtedy można popłynąć nim pod prąd i znaleźć się w Górnym Jeziorze. Szczupaków tam nie ma.

– Płotek na razie też tam nie ma – zauważył tata, trochę zły na pana Suma.

– To prawda, ale woda jest tam bardzo dobra. Poza tym za jakiś czas wrócicie tu do mnie tą samą drogą. Trzy razy za mojego życia Szczupaki chciały opanować całe jezioro, ale nigdy im się to nie udało. Kiedy tylko wszystkie ryby pochowają się w najgłębszych szuwarach, a głodne Szczupaki zaczną szaleć ze złości, szybko dowiedzą się o nich wędkarze i po pewnym czasie wszystko wróci do równowagi. Szczupaki znów zamieszkają po swojej stronie jeziora, a my po swojej.

– Przemyśl to – zakończył rozmowę tata i udał się w najgłębsze miejsce trzciniowiska, żeby nikt mu nie przeszkadzał w myśleniu.

Wieczorem wrócił i oznajmił mamie:

– Karol Sum ma rację. Spakujmy się i czekajmy na deszcz.

Dobrze, że deszcz przyszedł szybko, bo Szczupaki przypłynęły pod trzciniowisko wielką chmarą. Wszystkie ryby ukryły się w gęstwinie i zaczynało im już brakować jedzenia. Obgryzione były nawet najmniejsze listki wodnych roślin!

Na szczęście trochę listków udało się mamie zapakować na drogę do torebki z mocnej pajęczyny, którą pożyczył jej na czas podróży Michał Pajak – chudy sąsiad, który mieszkał wyżej, tuż pod lustrem wody. Torebka ta służyła Michałowi za mieszkanie, ale postanowił ją podarować mamie i na czas deszczu zamieszkać pod liściem.

– Dam sobie radę, pani Paulino – powiedział. – Uprzędę sobie nową. Nie będę się przynajmniej nudził w czasie ulewy. Kiedy będziecie wracać, zapakujcie mi do niej świeżą górską muchę i będziemy kwita.

Nad Zielone Jezioro nasunęły się ciężkie chmury. Pod wodą od razu zrobiło się ciemniej. Nawet Kaczki poleciały gdzieś, żeby schronić się przed deszczem. Od rana nie nurkowały i nie machały pod wodą swoimi czerwonymi łapkami. Szczupaki za to buszowały po wszystkich zakamarkach. Dokładnie patrolowały cały teren w dzień i w nocy, a także następnego dnia. Wszędzie było ich pełno! Przetrzęsały kępy moczarek i rogatek, które rosły na piaszczystym dnie. Próbowaly w ten sposób wypłoszyć rybki z kryjówek i je zjeść. Ale nie było to takie proste. W końcu postanowiły tak zmącić wodę, żeby wszystkie ryby pomyślały, że nadeszła kolejna noc. I gdyby któraś z nich wypłynęła na kolację – wtedy sama stałaby się kolacją Szczupaka. Wreszcie po długim polowaniu były już tak zmęczone, że położyły się byle gdzie na piasku i zasnęły głębokim snem.

Rodzina Pawelka cały ten czas siedziała w domu pośród trzcini, w ciemnościach. Na szczęście czekając z mamą i z tatą, Pawelek niczego się nie bał.

Nikt nic nie mówił. Wszyscy nasłuchiwali.

Czy wiecie, co spodziewali się usłyszeć tatuś i mamusia? Kiedy deszcz spływa z gór do Niebieskiego Jeziora – oddaje ono nadmiar wody Zielonemu Jezioru. W Dolnym Jeziorze słychać wtedy głośny plusk przypominający już nie odgłos strumyka, ale szum małej rzeczki. I ten szum właśnie się pojawił. To był znak, na który czekali. Teraz można pokonać strumyk i dopłynąć aż do Górnego Jeziora.

– Nadszedł właściwy moment – powiedział Paweł Płotka.

Cichutko wydostali się z trzciniowiska i popłynęli w stronę szumiącego potoku. Mogli zabrać tylko najpotrzebniejsze rzeczy i trochę jedzenia, nic więcej. Pawelek mógł wziąć tylko jedną zabawkę, więc wybrał swój niebieski kamyk i niósł go w pyszczku. Tak doradziła mu mama – żeby Pawelkowi nie przyszło na myśl odzywać się po drodze.

Znaleźli się u ujścia strumyka. Jego prąd był zimniejszy niż woda w jeziorze.

– Czy w Niebieskim Jeziorze będzie tak zimno? – zaniepokoił się Pawełek, oddając swój niebieski kamyk do torebki mamy. – Nie chcę tam płynąć!

– Będzie tam trochę inaczej niż tutaj. Może chłodniej, ale za to będą piękne rośliny i wodne zwierzaki, jakich nie widziałeś w naszym jeziorze – odpowiedział tata. – Na pewno poznasz nowych przyjaciół.

– Jedzenie też będzie trochę inne, ale jestem przekonana, że odkryjesz jakieś ulubione smaki – pocieszała mama.

– Pawelku! – Tata przybrał poważny ton głosu. – Zaczynamy płynąć pod prąd. Musisz przez cały czas machać płetwami. Cały czas, pamiętaj. Nawet gdybyś był bardzo zmęczony.

– Jest noc, ale nie możesz zasnąć nawet na chwilę, bo nurt zabierze cię tam, skąd przyplłynęliśmy – dodała mama.

– Co ty na to, zuchu? – Uśmiechnął się tata. – Czy nigdy nie chciałeś się bawić przez całą noc i zobaczyć, jak wschodzi słońce? Dziś będzie ta noc!

Pawełek wiedział, że rodzice mówią tak po to, żeby go trochę pocieszyć, ale zaciekawiony odpowiedział:

– Zobaczę wschód słońca.

– Zobaczymy go wszyscy razem! Hopla! – Uśmiechnęła się mama i wskoczyła w nurt strumyka.

Pływanie pod prąd nie jest łatwe, trzeba do tego dwa razy więcej siły, niż kiedy pływa się w jeziorze. Jeśli macha się płetwami zbyt słabo – po prostu stoi się w miejscu. Najgorzej jest się zatrzymać – wtedy zacznie się płynąć z prądem, a potem tę samą drogę trzeba pokonać raz jeszcze. Na szczęście za Pawelkiem płynął tata, który popychał go pyszczkiem, kiedy strumyk robił się zbyt szybki. W pewnej chwili Pawełek był już jednak zupełnie wyczerpany.

– Musimy odpocząć. Schowamy się za kamieniem. Tam woda jest spokojna, nie trzeba tak szybko machać płetwami – powiedziała mama.

Pawełek wpłynął pod płetwę mamy i oparł głowę o jej brzuszki, a mama zaczęła kojąco głaskać go po pyszczku. To była chwila wytchnienia dla Pawelka.

Tymczasem tata wychylił głowę ze strumyka, żeby zobaczyć, co przed nimi i czy widać już w oddali Niebieskie Jezioro, a kiedy wrócił pod wodę tajemniczym głosem odezwał się do mamy:

– Widzę coś przed nami, ale nie wiem, co to. Zobacz sama.

Mama popłynęła naprzód, a tata został z Pawelkiem za kamieniem.

– Bobry zbudowały tamę – westchnęła mama po powrocie.

– A to pech... Nie przeskoczmy jej – stwierdził tata. – To znaczy... Pawełek z pewnością jej nie przeskoczy.

Mama patrzyła na niego smutno.

– Nie poddamy się! – powiedział tata. – Poczekamy na Bobry. Teraz pewnie śpią, ale o wschodzie słońca powinny się pojawić w pracy. Poprosimy ich, żeby nas przepuściły. Może też nie przepadają za Szczupakami.

– Do wschodu słońca jeszcze daleko – zmartwiła się mama.

– Damy radę. Prawda, zuchu? – Tata klepnął Pawelka płetwą w grzbiet.

Oczekiwanie na przyjscie Bobrów wydłużało się. Pawełek ledwie dawał radę utrzymać się w jednym miejscu. I chociaż całą trójką schronili się tam, gdzie woda płynęła bardzo powoli, bo kamień nakazywał jej zmienić kierunek, Pawełek co chwilę czuł, że woda chce go porwać z powrotem. Rodzice na zmianę podtrzymywali pyszczkami Pawelka, kiedy zdarzało mu się zasnąć na małą chwilkę. Kiedy się budził, chciało mu się płakać. Jaka długa jest noc! Dlaczego nie może chociaż trochę pospać...

– Wstrętny strumyk. Nie cierpię go! – Pawełek krzyczał i ziewał na zmianę.

Zdawało mu się, że widzi dziwne kolory, jakby nad wodą wszystko zrobiło się różowe, i pomyślał, że to wszystko mu się śni... A wtedy tata powiedział coś, co go zupełnie obudziło.

– Pawelku, tak wygląda wschód słońca! Widzisz go właśnie pierwszy raz w życiu!

– Popatrz na te promienie! – zachęciła mama.

Pawełek ożywił się. Wystawił oczy ponad wodę, a mama i tata wynurzyli się tuż obok niego. Tam, gdzie wszyscy poza rybkami mają nosy, mama położyła mu wyjęty z torebki kamyk. Kamyk zaczął lśnić i mienić się niespotykanym kolorami. Czegoś takiego Pawełek jeszcze nie widział.

Po chwili oddał kamyk mamie i patrzył prosto na różową kulę słońca. Była bardzo piękna i z każdą chwilą coraz jaśniejsza.

W pewnym momencie tę słoneczną kulę zasłonił duży, kudłaty osobnik i powiedział:

– Dzień bobry! Kim jesteście?

Pawełek przestraszony schował się pod wodę.

– Dzień bobry? Co to znaczy? – zapytał.
 – Tak witają się Bobry – wyjaśniła mama, a tato popłynął do tamy i przedstawił Bobrom całą sprawę.
 – Nie po to budowaliśmy tamę, żeby teraz ją psuć – powiedział swojemu koledze Jeremi Bóbr.
 – Przecież to nie problem, podniesiemy największą gałąź jak szlaban i sobie przepłyną – odparł Dionizy Bóbr.
 – A co potem? – Jeremi nie był zachwycony pomysłem.
 – Potem? Wskoczmy na tę gałąź i przyciśniemy ją swoim ciężarem. Wróci na swoje miejsce. Wiem coś o tym, sam projektowałem tę tamę. – Dionizy był z siebie dumny.
 – No dobrze – odpowiedział Jeremi Bóbr i już chciał podnosić zaporę, kiedy Dionizy krzyknął:
 – Zaczekaj!
 Jeremi zatrzymał się ze zdziwioną miną.
 – Zmienileś zdanie?
 – Nie, nie, nie – odparł Dionizy i zwrócił się do przybyszów. – Przyjaciele, znajdźcie sobie miejsce, z którego nie porwie was strumień. Kiedy otworzymy tamę, w jednej chwili popłynie mnóstwo wody. Schowajcie się, najlepiej przy samym brzegu.
 Tata znalazł jeszcze większy kamień niż ten, przy którym wcześniej odpoczywali. Był to prawdziwy głaz, przyklejony do brzegu i na wierzchu z pewnością zupełnie suchy. Za nim ukryli się mama i Pawelek. Tata zajął miejsce za nimi, tak na wszelki wypadek, żeby złapać Pawelka albo mamę, gdyby uniósł ich prąd.
 – Jeremi, pamiętaj, ciągniemy na trzy-czte-RY!
 – Tak jest, Dionizy.
 – Trzy-czte-RYYY! – krzyknęły Bobry i olbrzymia fala nakryła wielki głaz, za którym skryła się cała rodzina. Pawelek zanurzył się do samego dna strumyka, aż poczuł pod sobą twarde kamyki. Nagle prąd odwrócił go brzuszkiem do góry, a chwilę później Pawelek poczuł, że woda porywa go i zupełnie nic nie może z tym zrobić. Wszystkie kierunki pomieszały mu się jak na karuzeli. Na szczęście zauważył to tata. Ustawił się w poprzek strumyka i zastawił fali drogę. Pawelek odbił się od jego boku i znalazł przy mamie. Fala odeszła. Niestety tata... tata popłynął wraz z nią...

– Tatoooo! – krzyknął Pawelek.
 – Wróć do was, nie martwcie się! – zdążył jeszcze odpowiedzieć tata. – Przepłyniecie przez tamę. Szybko!
 Nie było czasu na myślenie. Mama i Pawelek przesmyknęli się przez otwartą tamę. Usłyszeli, że Bobry na trzy-czte-RY skaczą na gałąź i przejście się zamyka...

– Zamknęła się bez przeszkód? Jak zwykle miałeś rację, Dionizy – dziwił się Jeremi.
 – A co z moim tatą?! – krzyknął zrozpaczony Pawelek po drugiej stronie zapory.
 – Nie martw się, mały. Przepuścimy go, kiedy tu znowu przyplynie – odparł spokojnie Jeremi.
 – A jeśli dopadną go Szczupaki?
 Jeremi bezradnie rozłożył łapki i nie wiedział, co powiedzieć.
 – Jest odważną i mądrą rybą, skoro wpadł na pomysł, by się przedostać do Niebieskiego Jeziora w porze deszczu – stwierdził Dionizy. – Poradzi sobie, nie martw się.
 Dionizy już chciał wskoczyć do wody, żeby się z nimi pożegnać, lecz Pawelek rzekł:
 – Łatwo panu tak mówić. – Machnął ze złości kilka razy mocno płetwą ogonową i był już daleko.
 Mama podziękowała Bobrom i zaraz dogoniła Pawelka.
 – On miał rację. Tata na pewno sobie poradzi i znajdzie nas w Niebieskim Jeziorze. Jak myślisz, kto wtedy będzie musiał wszystko mu pokazać?
 – Ja? No dobrze. – Dał się udobruchać Pawelek. – Oprowadzę go po każdym zakamarku, jaki poznam. A kiedy wrócimy do Zielonego Jeziora, opowiem wszystko panu Sumowi, bo on sam pewnie nie wybierze się w taką podróż.
 Woda powyżej tamy była już spokojna. Mama i Pawelek mogli się nawet zatrzymać, żeby zjeść przygotowane na drogę listki, a niedługo po tym przystanku, kiedy słońce było już wysoko, zobaczyli ponad taflą wody górskie skały.
 Nurt strumyka ustał. Brzegi rozszerzyły się, a woda stała się tak przejrzysta, że dokładnie było widać całe kamieniste dno. Tuż obok nich ukazały się pierwsze roślinki i wybierający się na poranny spacer ślimak, bardzo podobny do doktora Ślimaka.
 To było Górne Jezioro. Nareszcie!
 – Jesteśmy na miejscu! – odetchnęła z ulgą mama.
 – Calkiem ładny ten nowy dom... – wyszeptał Pawelek i po prostu zasnął.
 W Niebieskim Jeziorze było spokojnie i bezpiecznie. Pawelek zapamiętywał wszystko, co tylko udało mu się zaobserwować w nowym miejscu, żeby opowiedzieć o tym tacie, kiedy do nich przyplynie. Wiedział już, jak nazywają się kolorowo ubrane rybki, których nie spotkał w Zielonym Jeziorze. Wiedział, skąd bije źródło i gdzie jest największa w Niebieskim Jeziorze podwodna skała. Poznał też cichy zakątek z najsmaczniejszymi glonami na świecie. Miał swojego nowego kolegę Jacka Pstrąga, który mówił

trochę dziwnie, ale udawało im się porozumieć. Bawili się w puszczenie baniek skrzelałami i w budowanie wież z małych kamyków. To była zabawa, jakiej Pawelek nie znał, bo dno jego rodzinnego Zielonego Jeziora przykrywał muł, z którego nic nie dało się zbudować. Można było za to się natknąć na ukryty pod nim ogon Karola Suma! Kamyki z niebieskiego jeziora miały różne kolory: Pawelek znajdował szare, czerwone, czarne, brązowe i białe. Ale niebieski kamyk w całym jeziorze był tylko jeden – ten, który Pawelek przyniósł ze sobą z domu.

Pewnego dnia Pawelek podpłynął do kaczki, która grzała się w słonku pośrodku jeziora i delikatnie skubnął pyszczkiem jej czerwoną nóżkę. Kaczka z ciekawości zajrzała pod wodę, a wtedy Pawelek zapytał:

– Przepraszam, czy lata pani czasem do Zielonego Jeziora?

– Latam, latam, raz w tygodniu, do Czapli na czesanie piór. A o co chodzi? – zapytała Lucyna Dzika-Kaczka.

– Proszę pozdrowić mojego tatę. Nazywa się Paweł Płotka. Proszę powiedzieć, że na niego czekamy! – Pawelek wzruszył się, ale na szczęście pod wodą nikt nie widzi łez. – I proszę dać mu ten prezent.

Pawelek podał Lucynie Dzikiej-Kaczce swój niebieski kamyk.

– Jaki piękny! Pasowałby do moich kolorów... ale nie martw się, na pewno go doręczę twojemu tacie – odpowiedziała Dzika-Kaczka i stwierdziła, że sprawa ta jest nawet pilniejsza niż jej cotygodniowe czesanie piór. Rozwinęła skrzydła, rozpędziła się i wystartowała prosto do Zielonego Jeziora.

DOROTA SZULC

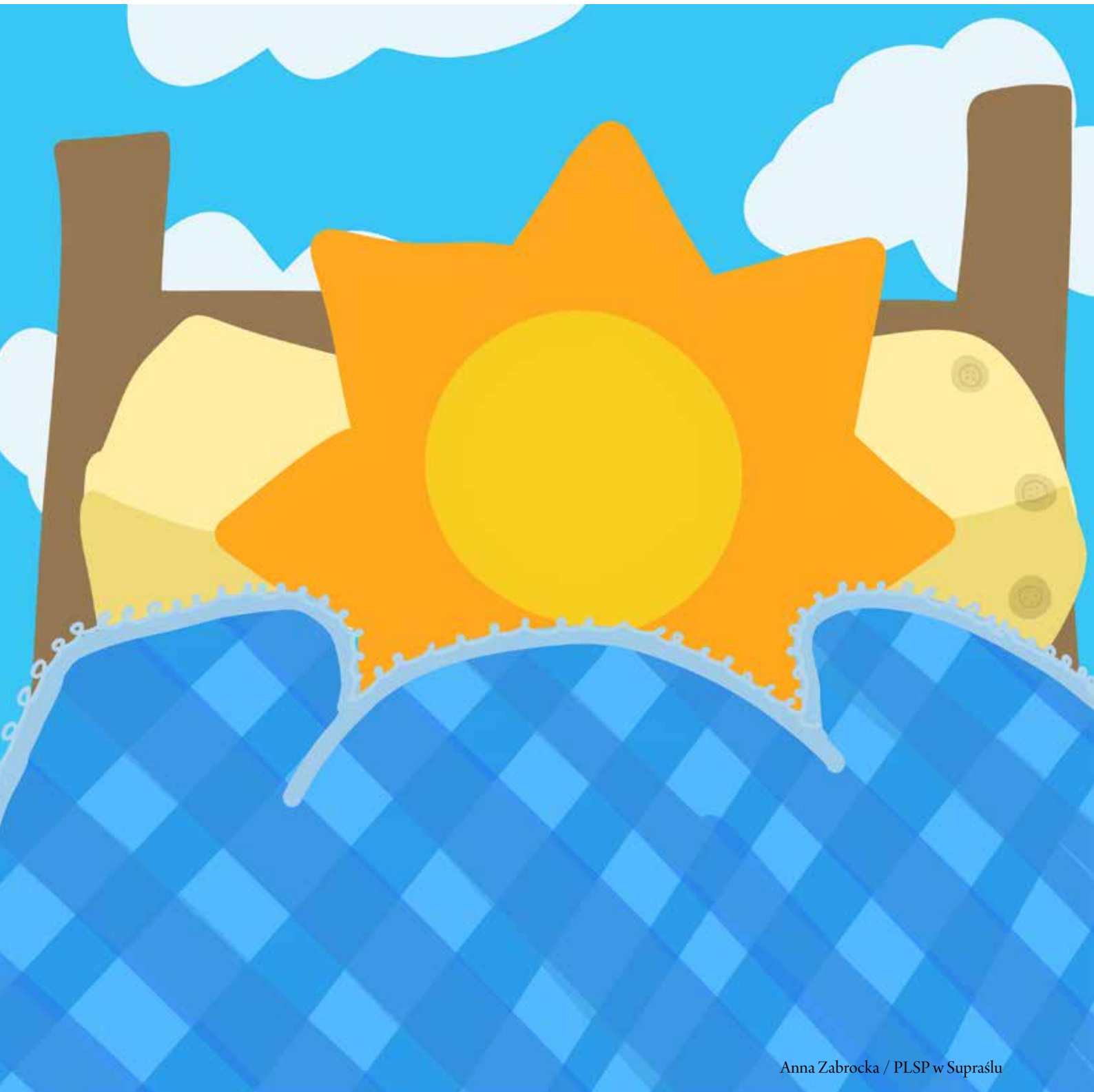
– doktor nauk społecznych, nauczyciel akademicki. Zawodowo spełnia się przede wszystkim jako logopeda, pracuje z dziećmi w wieku przedszkolnym z różnego rodzaju trudnościami lub niepełnosprawnościami. Jest instruktorem masażu dziecięcego, autorką publikacji i wystąpień konferencyjnych z problematyki edukacji.

STEFAN SZULC

– ukończył studia doktoranckie na Wydziale Polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego i filologię polską na Uniwersytecie Śląskim. Aktor w Teatrze Dormana w Będzinie. Dramatopisarz, autor publikacji naukowych z dziedziny literaturoznawstwa, esejów, tomiku wierszy *Miasta* i tekstów piosenek – m.in. hymnu akcji Szlachetna Paczka. Certyfikowany trener i nauczyciel akademicki.



foto: Alek Joachimiak



Anna Zabrocka / PLSP w Supraślu

Jolanta Fainstein

Balony (fragment)

SCENA IX

Pokój Dziecka, Dziecko chlipie w poduszkę i w rozgwiążdę, Klaun (ostro zarysowany nos, ostro zakończona czapka) czyha na szafie, rzuca złowrogie cienie.

Rozgwiążdza *wylicza na swoich odnogach*

Do pięciu odnóg odlicz! Po pierwsze, zaraz wylejesz wszystkie lzy, po drugie, z koldry już cieknie na podłogę, po trzecie, zobacz, dywan jest już mokry, po czwarte, masz mokrą pidżamkę, po piąte, możesz nawet zalać sąsiadów.

Klaun

Płacz więcej, zobacz, jaka fajna kałuża tworzy się już na środku pokoju.
rozgwiążdza odpycha „z łokcia” Klauna w głąb pokoju

Klaun

Auć!

Dziecko

Mam ochotę na coś słodkiego, rozgwiążdzo. Chodź ze mną.

dziecko wstaje z łóżka, ma pod pachą rozgwiążdę, przechodząc przez pokój, wpada do kałuży. Po chwili wypada górą i znajduje się w wodnej krainie. Na niebie płyną chmury, w tle przez całą scenę dryfują koniki morskie, meduzy i ryby

Rozgwiążdzo, co się dzieje? Gdzie jesteśmy? Chciałam tylko kilka pianek. Boję się, rozgwiążdzo. Przytul mnie.

przez scenę przechodzi Strach na wróble; Dziecko kuli się ze strachu, ściska pod pachą rozgwiążdę

Strach na wróble *mówi jak podwórkowy cwaniak, przechadza się po scenie z rękami w kieszeniach, dumnie*

Boisz się mnie? Nie bój się. Jestem tylko strachem na wróble, ale jak widzisz, pod wodą nie ma wróbli.

Dziecko prostuje się i słucha

A poza tym to moja robota jest dość niewdzięczna. Dlaczego niby mam stać i straszyć jakieś biedne wróble?

Dziecko

Czy wróble coś ci zrobiły?

Strach na wróble

Właśnie nie! Nawiałem do tej krainy, bo już mam dosyć tego, że wszyscy się mnie boją. Jest trochę wilgotno, hehe, co prawda, jak sam widzisz.

patrzy w dal, nostalgicznie

Nic nikomu nie zrobiłem. Ktoś ubrał mnie w stare szmaty, wypchał słomą, nałożył na głowę obdarty kapelusz i kazał straszyć wróble. Ja dziękuję za taką robotę.

Dziecko

Nie miałeś żadnych przyjaciół?

Strach na wróble

Ani przyjaciół nie mam, ani nikogo. Dziękuję bardzo! Jestem porzucony fizycznie i emocjonalnie. I kto mi zapłaci za terapię? Mówią, że strach ma wielkie oczy. Czy ja mam wielkie oczy?

wlepia swoje oczy w twarz Dziecka

Czy ja mam wielkie oczy?!

Dziecko

Eee, masz normalne. W sensie guziki masz normalnej wielkości.

odsuwa się

Co lubisz robić, kiedy się nudzisz?

Strach na wróble *podejrzliwie*

Ty mi tu nie co lubisz czy nie lubisz... Lepiej gadaj, jak ty się tu znalazłaś.

Dziecko

Moi rodzice czasami się kłócą, nie mogę tego znieść, myślą, że nic nie wiem i nie słyszę, ale ja słyszę każde słowo. Każde. No i teraz było mi tak źle i tak smutno, że zapłakałam cały pokój, później chciałam pójść do kuchni po coś słodkiego i po drodze wpadłam w kałużę moich łez. W sumie tyle.

Strach na wróble

Hm... nie zazdrozczę lądowania. Ale wiesz co, dzieciaku? Powiem ci, że żeby się z czymś oswoić, musisz to poznać.

Dziecko

Poznać od samego środka czy do samego środka?

Strach na wróble

Do głębokości kości i ości. Może zapytaj rodziców, o co się kłócą, dlaczego się kłócą, powiedz im, jak się z tym czujesz.

Dziecko

Czy myślisz, że moja rodzina przetrwa? Bardzo się boję...

Strach na wróble

Uświadom im, co czujesz, czy coś cię boli, a może swędzi wtedy, a może laskocze, a może przychodzą ci do głowy głupie myśli...

Dziecko

Jestem wtedy zła i smutna jednocześnie. Tak bardzo się czasami boję, że boli mnie brzuch... Spójrz tylko na moją rozgwiazdę, jaka jest sflaczała. Tak często ją ściskam...

Strach na wróble

No, faktycznie. Biedna rozgwiazda. A co do rodziców – skąd oni mają to wiedzieć, jak cicho popłakujesz w swoim pokoju?

Dziecko

Racja...

Strach na wróble

Niestety, czasami dzieciaki słyszą, kiedy rodzice się kłócą. Masz prawo się bać. Dorośli czasami zapominają, jak się rozmawia, i zaczynają się kłócić.

Dziecko

Mhm. I myślisz, że nie będą na mnie źli?

Strach na wróble

Nie sądzę. Może brzmię, jak mój własny dziadek, którego jako strach na wróble nigdy nie miałem, hehe, ale szczerść to podstawa. Podstawa. Koniec i kropka. Szczerść. Podstawa. Kropka. Chociaż powiem ci, że w moim przypadku nie było tak łatwo. Ja w ogóle nie kumam, dlaczego straszą mną te biedne wróble.

Dziecko

Biedne wróble. Szczerść to podstawa.

Strach na wróble

Tak. Szczerść. Do kogokolwiek bym się nie zbliżył, każdy uciekał w popłochu. Pomyślałem raz, że skoro jestem brzydalem, to zaprzyjaźnię się z kimś w nocy, wtedy nie będzie widać, jaki jestem obdarty, ale zapomnij. Było jeszcze gorzej, hehe. Wrzaski, krzyki,

Dziecko

I może jeszcze gonili cię z widłami?

Strach na wróble

Z widłami i pochodniami! Normalnie chcieli mnie spalić, czy nadziać na te widły, czy nie wiem co.

na scenę wpływa ciemna chmura

Pod wodą nie ma wróbli i nikt nie ma ze mną złych skojarzeń. Prędeż z tą chmurą, lepiej się ukryj, bo zaraz lunie.

Dziecko

Nie, poczekaj, Strachu, to tylko chmura, nic ci nie zrobi. I tak jesteś pod wodą. Jak ją poznasz, to się oswoisz i więcej nie będziesz musiał przed nią uciekać.

Chmura *ma dostojny, głęboki głos mędrca*

Kto wypowiedział te mądre słowa?

Strach na wróble *wystraszony, wskazuje na Dziecko*

Ona, ona!

Chmura

To bardzo dojrzałe słowa. Gdyby ludzie wiedzieli, które chmury przynoszą wielki deszcz, jak cumulonimbusy i nimbostratusy, które mniejszy, jak stratusy, cumulusy, stratocumulusy i altostratusy, a które zupełnie nic, jak na przykład alto-cumulusy, cirrostratusy i cirrocumulusy – nie chowałyby się przed nami pod dachami. Gdyby nas poznali, wiedzieliby, kiedy ich nie zmoczymy.

Dziecko

Co dzieje się z tymi ko... komulo... komulobusami?

Chmura

Cumulonimbusami? Tymi, które przynoszą wielki deszcz?

Dziecko

Tak. Co się z nimi dzieje, kiedy już się wypadają? I dlaczego właściwie są takie naburmuszone?

Chmura

Oto kolejne mądre pytania. Otóż, my, deszczowe chmury, jesteśmy bardzo emocjonalne.

Strach na wróble

Lubicie się wkurzyć od czasu do czasu, hehe.

Chmura

Kiedy mamy w sobie dużo złości, wówczas skraplamy się i spuszczaemy te emocje wielką ulewą. Jest nam wtedy o wiele lżej. Kiedy uwalniamy te emocje kroplami deszczu, uspokajamy się. Przystajemy być chmurzyskami, a stajemy się chmurkami.

Dziecko

Czasami jestem zła na rodziców za to, że się kłócą...

Chmura

Twoja złość mówi o tym, że coś jest nie tak, że pojawiła się jakaś zmiana i to ci nie odpowiada, to cię stresuje – tak pojawia się złość.

Dziecko

Tak, boli mnie wtedy brzuch.

Chmura

Możesz spróbować mojego sposobu na radzenie sobie z nią: popłacz i uwolnij ścisk żołądka. Płacz nie jest niczym złym. Pomaga się uspokoić.

Strach na wróble

Ale później koniecznie porozmawiaj z rodzicami i powiedz im o tym, jak się czujesz.

Chmura

To bardzo dojrzałe słowa, Strachu na wróble.

Dziecko

Szczerłość to podstawa.

Strach na wróble

Chmuro, czy ty przypadkiem nie zostaniesz moją pierwszą przyjaciółką, hehe? Czy ja się właśnie z tobą oswoilem? Ja z tobą?

Dziecko *zadowolone*

To chyba to znaczy, Strachu. Byłeś bardzo dzielny, że nie uciekłeś.

dziecko klepie Stracha po plecach

Powiedz mi, chmuro, jak mogę trafić do domu?

Chmura

Nogi same cię poniosą.

Strach na wróble

Trzymaj się, mała. Pamiętaj, szczerłość to podstawa!

Strach wskakuje na Chmurę i razem odfruwają, echem odbijają się słowa „poniosą”, „podstawa”

Dziecko

Rozgwiadzo, może ty wskażesz mi drogę do domu?

Dziecko nie wie, dokąd pójść, idzie kilka kroków w lewo, zawraca, idzie w prawo; nadpływa Meduza

Meduza do siebie, ma słodki głos, przez całą scenę faluje z lewa na prawo, w górę i w dół

To moja wina, to wszyscyutko moja wina. Ale jak to moja wina, przecież nie robię tego specjalnuszio...

Dziecko

Co jest albo nie jest twoją winą?

Meduza

Och! Kim jesteś? Co tutaj robisz? Chcesz mnie ukarać?

Dziecko

Ukarać? Za co miałabym cię ukarać? Znalazłam się w tej krainie, bo wpadłam do kałuży moich łez, które wyplakałam, bo jest mi przykro, kiedy moi rodzice się kłócą.

Meduza

I myślisz wtedy pewnuszio, że to twoja wina, że zrobiłaś cios, przez co rodzicuszio się kłócą?

Dziecko

Właśnie tak... Zawsze jem całe to zdrowe jedzenie. Moja mama ma małego świra na tym punkcie. Znam na pamięć wszystkie matematyczne zagadki, które zadaje mi tata...

Meduza

To dlaczeguszio miałabyś winić się za kłótnieszio swoich rodzicuszio?

Dziecko

Nie wiem...

Meduza

Ale ja wiem! Nie możesz się osądzać za rzecuszio, których nie zrobiłaś. Powiedz rodzicuszio, co czujesz, kiedy się kłócą, i zapytaj, dlaczeguszio to robią.

Dziecko

Skąd to niby wiesz?

Meduza

My, meduzki, żyjemy w dużych stadkach, mówię ci, mam doświadczonko. Jeśli nie łobuzujesz za duzio, zjadasz obiadcio i coś tam się jeszcze uczysz do szkółki, to nikt na pewnuszio nie kłóci się przez ciebie. Nie możesz się winić.

Dziecko

Może masz rację, Meduzo... Szczerłość to podstawa.

Meduza

Mądre słówka. Szczerłość to podstawa. Zapamiętam je.

zamyśla się

Chociaż w moim przypadeczku wina jest niemal oczywista!

Dziecko

Nie zjadasz obiadcio?

Dziecko chce podejść do Meduzy, ta robi unik

Meduza

O! Nie zbliżaj się! Właśnie to! Ja parzę! To moje przekleństweczko, wszyscy widzą tylko moje galaretowate ciałeczko i z ciekawości chcą go dotknąć, ale nie wiedzą, że ja parzę! Że ja mogę zrobić im krzywduzję!

Dziecko

Przecież to nieprawda. Jak to może być twoja winka? To znaczy wina? Czy specjalnie parzysz ludzi?

Meduza

Nie... Ale to na mnie spoczywa wina za ich oparzonka...

Dziecko

No właśnie nie! Jak możesz się winić za coś, czego nie zrobiłaś? Przecież to nie ty sama wskakujesz ludziom na ręce, nie?

Meduza

Masz rację, ale...

Dziecko

Nie ma żadnego ale – moi rodzice tak mówią. Nie możesz winić się za coś, czego nie robisz specjalnie. Wiesz cio? Tfu!

Wiesz co?

Meduza

Cio?

Dziecko

Chyba obydwie musimy przestać się winić. Moi rodzice nie kłócą się przeze mnie, a ty nikogo celowo nie parzysz.

Meduza

Tak, masz rację... O! Zbliża się stadko...

Dziecko

To jest twoja rodzina?!

Meduza

Taaak! Swoją drogusią, wiesz, że jest nas prawie dwieście różnych gatunków?

Dziecko

Łał! Sporo!

Meduza

Tak, dlategoś troszeczkę znam się na rodzinkach. Rodzice czasami mają problemusie i muszą je rozwiązać, ale zamiast porozmawiać, to się kłócą.

Dziecko

Masz rację, ja też nie zawsze się zgadzam z moimi koleżankami... Czy twoje kuzynki mogą mnie poparzyć?

Meduza

Wszystkie parzymy, ale niektóre z nas tak leciusieńsko, że wcale tego nie czuć.

Dziecko

Czyli nic mi się nie stanie, jak ich dotknę?

Meduza

Nic. Ale nawiasem mówiąc, kto lubi być dotykanusi przez obcych? Żadna frajdusia.

Dziecko

A czy twoje kuzynki mogłyby podnieść mnie na powierzchnię wody? Chciałabym zobaczyć, jak trafić do domu. Obiecuję, że prawie ich nie dotknę!

Meduza

Dziewczynki! Jest sprawusia do zrobienia! Tę malusią trzeba wynurzyć na chwilusię.

Dziecko unosi się na stadzie meduz na powierzchni, rozgląda się, widzi Brzydkie Kaczątko

Dziecko przez całą scenę balansuje na meduzach

Brzydkie Kaczątko? Co tutaj robisz?

Brzydkie Kaczątko

Uciekłem ze swojej bajki. Kli-kła-kli.

Dziecko

Jak można uciec ze swojej bajki? Dlaczego?

Brzydkie Kaczątko

Po prostu. Kli-kła-kli. Moja rodzina mnie odrzuciła. Kli-kła-kli. Bracia i siostry się ze mnie śmiali, nie chcieli się ze mną bawić. Kli-kła-kli.

Dziecko

Musiałeś bawić się sam?

Brzydkie Kaczątko

Najczęściej... Kli-kła-kli. Kli-kła-kli. Samotność jest straszna. Kli-kła-kli. Szczególnie, kiedy widzisz, jak inni się dobrze bawią. Kli-kła-kli.

Dziecko

Na pewno jest ci bardzo przykro, ale przecież zakończenie twojej bajki jest takie piękne!

Brzydkie Kaczątko

Hę?

Dziecko

W bajce o Brzydkim Kaczątku wyrośniesz na przepięknego łabędzia! Wszyscy będą cię podziwiać! Każdy będzie chciał wyglądać tak jak ty! Serio nie wiesz, jak kończy się twoja bajka?

Brzydkie Kaczątko

Cooo? Kli-kła-kli. Nie wierzę. To niemożliwe. Spójrz na moje szare pióra, kli-kła-kli.

Dziecko

Mówię ci! Będziesz mieć śnieżnobiałe pióra i wielkie skrzydła.

Brzydkie Kaczątko

Spójrz na moje mizerne skrzydła, kli-kła-kli.

Dziecko

A do tego piękny pomarańczowy dziób. Będziesz przepięknym łabędziem. Wszyscy cię wtedy przeproszą i będą chcieli się z tobą zaprzyjaźnić.

Brzydkie Kaczątko

Serio?! Kli-kła-kli.

Dziecko

Pewnie! Zakończenie jest najpiękniejsze! Rodzice czytali mi tę bajkę już kilka razy.

Brzydkie Kaczątko

Dlaczego się smucisz? Kli-kła-kli.

Dziecko

A... nic...

Brzydkie Kaczątko

Kli-kła-kli. No powiedz. Może jakoś ci pomogę. Kli-kła-kli.

Dziecko

No to... Moi rodzice... Oni... Nie chcieli się ze mną już bawić... Przeszali mnie przytulać. Jestem jak ty... odrzucona...

Brzydkie Kaczątko

Przykro mi... Kli-kła-kli. Ale! Jakie jest zakończenie twojej bajki? Kli-kła-kli.

Dziecko

Ja nie jestem z bajki... Nie znam zakończenia...

Brzydkie Kaczątko

Kli-kła-kli. No... Nie znasz zakończenia, ale nie wiesz, kli-kła-kli, czy to będzie złe, czy dobre zakończenie. Skąd wiesz, kli-kła-kli, czy twoi rodzice znów nie zaczną spędzać z tobą czasu? Kli-kła-kli.

Dziecko

Nie wiem... Jest tylko gorzej...

Brzydkie Kaczątko

Może jest ktoś, kto zna twoje zakończenie? Kli-kła-kli.

Dziecko

Jestem ze świata ludzi. Nie wiem, co się dalej wydarzy, nie wiem, czy jeszcze kiedyś mnie przytulą... Czy mnie przytulą?

Brzydkie Kaczątko

Kli-kła-kli. W takim razie nie możesz wiedzieć, czy zakończenie będzie dobre, czy złe, kli-kła-kli, dopóki nie stawisz mu czoła. Ty dodałaś mi odwagi. Kli-kła-kli.

poklepuje Dziecko po ramieniu

Teraz musisz sama spróbować.

Dziecko

Inaczej nigdy się nie dowiem...

Brzydkie Kaczątko

Może twoi rodzice mają teraz problemy, może w pracy, może gdzie indziej. Jeśli czujesz się odrzucona, powiedz o tym rodzicom, porozmawiaj z nimi – na pewno cię wysłuchają.

Dziecko

Może masz rację. Nie wiem tylko, jak wrócić do domu...

Brzydkie Kaczątko

Kli-kła-kli. Mam pewien pomysł. Wskakuj!

lecą nad wodą, mijają wsie i miasta

Dziecko

Ooo! To jest mój dom. Zrzucisz mnie tutaj?

Brzydkie Kaczątko

Uwaga! Lecisz! Ja wracam do mojej bajki! Czekać na szczęśliwe zakończenie.

Dziecko spada, nagle budzi się w swoim pokoju, jest noc, słychać odgłosy z sypialni rodziców; w pokoju Dziecka na ścianie tańczą złowrogie cienie; Dziecko ściska rozgwiazdę i nasłuchuje

Mama

Jesteś taki sam jak, jak, jak.

Tata

Jesteś identyczna jak twoja, twoja, twoja.

Mama

Taki sam, taki sam, taki sam, sam, sam.

Tata

Identyczna, identyczna, identyczna.

Mama

Gdybyś naprawdę.

Tata

Gdybyś ty naprawdę, ale tak naprawdę.

Mama

Naprawdę, naprawdę, naprawdę. Nie mam słów, słów, słów.

Tata

Naprawdę brak mi słów. Nic nie rozumiesz, nie rozumiesz, nie rozumiesz.

Dziecko ze swojego pokoju

Znów to samo...



Anna Zabrocka / PLSP w Supraślu

JOLANTA FAINSTEIN

– (ur. 1986 r.) – filolożka, doktorka nauk humanistycznych w zakresie językoznawstwa, tłumaczka, dramatopisarka, poetka. Publikowała w „Chiduszu”, „Pro Libris” i na stronie Lubuskiej Fundacji Judaica. Została wyróżniona w konkursie poetyckim ¡No pasarán!, a jej twory ukazały się w pokonkursowym tomie. Otrzymała wyróżnienie w Konkursie o Nagrodę Dramaturgiczną im. T. Różewicza (2022 r.) za dramat *Mama ma szorstkie ręce*, który ukazał się nakładem wydawnictwa Pro Libris (2023 r.).



for. prywatne archiwum autorki



Michael Crudu / PLSP w Supraślu